NAD NIEMNEM.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

TOM DRUGI.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1888.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 15 Января 1888 года

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

I.

W Olszynce, za olchowym gajem, od którego zapewne folwark ten wziął nazwanie, na łagodnéj wyniosłości gruntu, dom niewielki, drewniany, nieotynkowany, niby z kosza zieleni wychylał się ze starych, ogromnie rozrosłych bzów i z gęstego rzędu fasoli, która tuż przy ścianie położona, gęste i teraz kwitnące sploty zarzucała na tyki, sięgające prawie nizkiego dachu. Z tyłu domu znajdował się spory sad owocowy, prostym częstokołem ogrodzony, bez dróg i upiększeń żadnych. Z przodu, za małym, trawą i gdzieniegdzie chwastami porosłym dziedzińcem, po łagodnéj spadzistości, spływały aż ku olchowemu gaowi duże i urodzajne ogrody warzywne. Gajj był świéży czysty, z grubemi, cienkiemi drzewami, rzadko rozstawionemi na wilgotnéj i rzadkiéj murawie. Za rzadko rozstawionemi i gładkiemi pniami przebłyskiwał w płaskich brzegach płynący Niemen i ukazywało się gdzieniegdzie przeciwległe wybrzeże, okryte jak okiem sięgnąć,

gładkiém, wilgotném pastwiskiem. Gdzieniegdzie, niby drobne obrazki w zielonych ramach, widać było zza drzew pasące się na téj zarzecznéj płaszczyźnie trzody, albo pastuszków skupionych dokoła roznieconego ognia, albo nędzną, nie wiedziéć czyję, samotnie śród przestrzeni stojącą chatę. Za domem i sadem leżały gładkie pola; z obu stron warzywnych ogrodów zieleniały nizkie łąki, na których rosły grupy wiérzb, a w mokrych zagłębieniach gruntu rozpiérał się jasnozielony *ajer* (tatarak) i stały wysokie łozy, z długiemi, obwisłemi liśćmi i wierzchołkami podobnemi do aksamitnych kołpaków.

Było to miejsce ciche, skromne i prawie odludne. Z domu i całego jego otoczenia odrazu wnieść było można, że wśród średniéj własności ziemskiéj, Olszynka była posiadłością możliwie najmniejszą. Wniosek ten potwierdzała wieś chłopska, pomiędzy łąkami, do grupy wiérzb przyparta. Składało ją chat kilkanaście, dość czysto i dostatnio wyglądających. Z blizkości, w któréj się znajdowała od dworku, łatwo było zgadnąć, że niegdyś do Olszynki należała. Był to więc dawniéj mająteczek kilkunasto-chatowy, czyli znajdujący się na granicy, za którą już do najdrobniejszych ułamków ziemi spływała własność mała.

Ostry chłód zapanował po niedawno spadłym gradzie; silny wiatr kołysał wiérzchołkami kilku

rosnących na dziedzińcu topoli włoskich; dészczowe chmury szybko biegły jedna za drugą, to zasłaniając, to odkrywając błękit nieba. Jednak w Olszynce wszystkie okna domu, otoczone kwitnącą fasolą, były na ościéż otwarte. Stały na nich, pomiędzy kilku mirtami i rozmarynami, kwitnące fuksye i róże miesięczne. Na ganku, jedna z ławek zastawiona była *hładyszami* (dziéżkami) pełnemi zsiadłego mléka, na drugiéj stał snadź naprędce tu umieszczony kosz z sałatą i jarzynami. Długa sień, przedpokojem zarazem będąca, rozdzielała dom na dwie połowy, z których w jednéj znajdowały się pokoje mieszkalne, w drugiéj kuchnia i izba czeladna. W głębi sieni wielki zamek, wiszący u drzwi nizkich i wązkich, oznajmiał spiżarnią. Za starą szafą widać było drabiniaste schodki na strych wiodące; pod ścianami stały proste drewniane skrzynie, kosze z łoziny wyplecione, a na miejscu najwidoczniejszém, niecki pełne świéżo upranéj bielizny. Miano ją zapewne na strych wynosić, ale tymczasem tu jeszcze pozostawiono. Zapach mydlin, z kuchennemi woniami złączony, napełniał sień pomimo drzwi na ganek otwartych; w kuchni trzeszczał ogień i rozlegały się głosy kobiéce i dziecinne; w pokojach mieszkalnych cicho było zupełnie i tylko czasem dolatywało z nich monotonne mruczenie, z którego można było odgadnąć pracowicie uczące się dziécko.

Po sieni, kuchni i izbie czeladnéj krzątała się Kirłowa. Dla chłodu i panujących w domu cugów, miała na sobie rodzaj sukiennego tołubka, zpod którego widać było tylko brzég perkalowéj spódnicy. To nawet gospodarskie grube ubranie, uczynić jéj nie mogło grubą i niezgrabną. Z kibicią prostą, wysmukłą, o wdzięcznéj linii biustu i ramion, która nadawała jéj zdaleka pozór piérwszéj młodości; z ogorzałą cerą twarzy, mocno odbijającą od zawiązanéj na szyi białéj chustki; ze ślicznym warkoczem jasnych włosów niedbale z tyłu głowy skręconym,—zaglądała ona do dzieży, w któréj dziéwczyna miesiła żytnie ciasto, albo przechodząc do izby czeladnéj, naglądała prania bielizny, albo od płonącego w wielkim piecu ognia odstawiała hładysze, w których mléko zsiadłe zamieniło się już na twaróg, i zastępowała je coraz innemi, które z ganku przynosiła.

Miała dnia tego wiele zajęcia około trzech razem odbywających się robót: prania bielizny, pieczenia chléba i robienia sérów. Była niezadowoloną z siebie saméj, bo takie zbiéganie się na dzień jeden robót kapitalnych uważała za błąd i złe rozporządzenie się gospodarskie. Należało inaczéj, wcale inaczéj czas i zajęcie rozłożyć; bo tym sposobem wszystko razem robiąc, nic się prawdziwie porządnie nie zrobi. Chodząc, krzątając się, naglądając wszystkiego, a to i owo wła-

snemi rękami wykonywając, żale swoje wypowiadała dwom pomocnicom, dużym i silnym dziéwkom, z których jedna chléb miesiła, a druga bieliznę prała. Nie znaczyło to wcale, by te dziéwczęta o cokolwiek obwiniać miała. Wcale nie. Sama była winna wszystkiemu: czy zaleniła się trochę, czy téż jéj tak jakoś pomieszało się w głowie. A tu i Marynia pielenia ogrodów warzywnych doglądać musi, i pomocnicą jéj być nie może! Ostatni ten wykrzyknik oburzył trzynastoletnią dziéwczynkę, która kosz z jarzynami tylko co z ganku przyniósłszy i zawinąwszy po łokcie rękawy staréj perkalowéj sukienki, zabiérała się właśnie do mycia sałaty i skrobania marchwi.

— A ja, mamo?—zawołała,—przecież ja tu jestem! Czy to tylko Marynia jest mamy córką?

Przechodząc, Kirłowa ręką gorącą od hładyszy, które w téj chwili od ognia odstawiała, pogładziła jasne, krótko ucięte włosy córki. Wszystkie one miały takie jak len jasne włosy: i ona sama, i szesnastoletnia Marynia, i trzynastoletnia Rózia, i nawet chłopcy. Nie wiedziała tylko, i nieraz nawet aż w głowę zachodziła, zkąd ten najmłodszy jéj dzieciak, ta sześcioletnia Bronia, która jak cień za człowiekiem krok w krok za nią chodziła, wzięła swoję cygańską cerę, razem z czarnemi jak węgiel oczyma?

Było to w jéj rodzinie pod każdym względem wyjątkowe stworzenie. Żadne z jéj dzieci, gdy

było małém, tak stale i nieustannie nie trzymało się jéj spódnicy, jak ten mały i czarny rozczochraniec... Tak, rozczochraniec, bo włosy dziecka nie tylko były czarne, ale i wiecznie rozczochrane; kręciły się jak wióry, i żeby nie wiedziéć ile razy na dzień je czesać, zawsze wszystkie do góry powstawały, albo na śniade czoło opadały, a zpod nich jak żużle gorejące, czarne oczy patrzyły na matkę, ciągle na matkę. I teraz oto, tuż przy jéj tołubku, nieustannie, z kuchni do sieni, z sieni na ganek, z ganku do izby czeladnéj drepce a drepce. w starych, zrudniałych trzewikach, których tasiemki, gdyby je sto razy na dzień najmocniéj związać, zawsze rozwiążą się i wloką po ziemi za malutkiemi nóżkami. W takim samym jak matka tołubku, bo najmłodszą będąc, najłatwiéj zaziębić się może, drepce i gada, tak samo nieustannie gada jak drepce, choć nikt jéj słuchać ani myśli, a tylko jedna Rózia, od kuchennego stołu, na którym sałatę myje, odzywa się do niéj czasem, z żartobliwą przekorą, rozpoczynając sprzéczki czy napomnienia, o które znowu ona wcale nie dba. Wtém biédaczka potknęła się i jak długa upadła. Zaraz przecież zerwała się z ziemi, patrząc wystraszonemi oczyma, czy przez czas jéj padania matka od niéj nie uciekła. Kirłowa na ziemi usiadła i spełniać zaczęła robotę Penelopy, czyli związywanie u trzewików tasiemek, które były przyczyną upadku.

— Żebyś bo ty, Broniu, choć na moment gdziekolwiek przysiadła!...

Dziecko zaśmiało się na całą kuchnię, a potém niespodzianie, z zadziwiającą logiką swojéj sześcioletniéj, rozczochranéj główki, odpowiedziało:

— Kiedyż ja, mamo, jeść chcę!

— Masz tobie! — wstając stęknęła Kirłowa,— godzinę temu przecież obiad jadłaś...

Dziéwczynka tym razem ramiona w grubych rękawach tołubka széroko rozłożyła i bardzo poważnie usprawiedliwiła się:

— Kiedyż ja jeść chcę!

Kirłowa wyjęła z szafy bochen razowego chléba, odkroiła zeń kawał spory, miodem posmarowała i podała małéj. Ząbki jak perełki drobne i białe zatopiły się chciwie w czarnym i osłodzonym chlébie macierzyńskim; ale właścicielka ich głośno przeżuwając i różowe policzki miodem sobie osmarowując, nie mniéj wytrwale, niż wprzódy, tuż przy matczynym tołubku dreptała, a tasiemki jéj trzewików, znowu rozwiązane i wijące się w różne esy, ciągnęły się za nią po ziemi.

Jak tam przecież było, to było z córkami, ale co robią chłopcy? mianowicie młodszy Boleś, którego w bawialnym pokoju, codzień na parę godzin matka na klucz zamyka, aby od książki odejść nie mógł? Starszy, Staś, pewno tam z chłopskiemi dziećmi po łące czy drodze hasa i powróci z czołem pełném guzów. Ale jemu więcéj wolno, bo

z promocyą do czwartéj klasy na wakacye przyjechał. Boleś zaś dwa lata już w drugiéj klasie przesiedział i jeszcze promocyi nie dostał. Zlękła się była tego ogromnie. Na rok trzeci w téj saméj klasie pozostać nie wolno. Pójdzie precz ze szkoły, i co ona z nim potém zrobi? Pojechała była do miasta i wyprosiła, wychodziła, wyjęczała dla niego pozwolenie zdania powtórnych egzaminów po wakacyach. Powinien się więc do nich przygotowywać, a nie chce, bo swawolnik i leniwy. W ojca się wrodził. Cóż robić jednak? Napędzać dziecko trzeba, bo bez szkół — zginie. Ile ją już ten chłopiec bezsennych nocy kosztował!

Rzecz ciekawa, czy teraz Boleś, zamknięty w pokoju na klucz, uczy się, albo pustuje? Wyszła do sieni, aby przez drzwi posłuchać, co się w bawialnym pokoju dzieje; ale w téjże chwili dał się słyszéć stuk, brzęk rozbijanego naczynia, a na dziedzińcu tętent szybkich kroków. Kirłowa, a za nią malutka Bronia i większa Rózia, na ganek wybiegły. Okazało się, że więzień, długiém zamknięciem zniecierpliwiony, przez okno wyskoczył, wazon z kwitnącą fuksyą stłukł i za bramę uciekał.

Rozległy się wołania matki i siostr, na które on przecież był głuchy; z rozrzuconemi włosami, w przeszłorocznéj podartéj bluzce szkolnéj, co sił

uciekał i w ucieczce téj ukazywał podarte podeszwy butów.

Gdyby Kirłowa na bunt ten zrezygnowała się pobłażliwie, macierzyńska powaga jéj ucierpiałaby na tém wielce. Nie piérwszy to już raz zresztą Olszynka była świadkiem podobnych skandalów. Dziéwka od dziéży dogoniła zbiega, który z pogardą eskortę jéj łokciami odpychając, nadąsany, ale i zawstydzony do domu wrócił.

Kirłowa z rozpaczą w oczach i gestach, ze skrzyni stojącéj w sieni i będącéj składem przeróżnych rupieci, gruby sznur dostała.

— Chodź! — z powagą do syna rzekła, i za rękę go wziąwszy, do bawialnego pokoju wprowadziła, drzwi za sobą zamykając. Słychać było, że mówiła tam z gniéwem i krzykiem, to znowu tonem upominania i przekonywania. Wyszła po chwili z twarzą w ogniu, z drżącemi trochę rękami i ustami. Widać to srogie mentorstwo, które zmuszona była względem dzieci okazywać, wiele ją kosztowało. Drzwi na klucz już nie zamykała, a na wystraszone i pytające spojrzenie Rózi, odpowiedziała:

— Przywiązałam go do kanapy i. kazałam uczyć się... Mocno przywiązałam...

Ale wnet uderzyła w nię troska nowa:

— Żeby tylko Staś nie zaziębił się, w taki zimny dzień latając... Dziś zrana gardło go bola-

ło. A nie widziałaś, Róziu, w czém Marynia do ogrodu poszła?

Marynia poszła w tołubku, ale Staś poleciał w jednéj płóciennéj bluzce, i mówił Rózi, że gardło go coraz bardziéj boli.

— Masz tobie!—za głowę schwyciła się Kirłowa. — Poszłabym go szukać, ale czasu nie mam...

Istotnie, nie miała ani chwili czasu, bo oto i teraz we drzwiach od kuchni zjawił się młody oficyalista, „namiestnikiem" tytułowany, jedyny jéj w gospodarstwie pomocnik, który oznajmił, że ci kupcy, którzy tu tydzień temu zajeżdżali, przybyli znowu i życzą sobie zobaczyć wełnę. Ucieszyła się tą wiadomością bardzo. Miała około dwustu owiec, z których co rok sprzedawała mniéj więcéj dziesięć pudów wełny. Był to jedyny grosz, który wpływał do jéj kieszeni w miesiącach letnich, nie licząc nabiału i warzyw, których sprzedażą w najbliższém miasteczku opędzała potrzeby domowe. Przy zbliżających się żniwach, które znacznego wydatku na robotnika potrzebują, kupcy na wełnę byli jéj niezmiernie pożądani. Zapomniała na chwilę o chlébie, sérach, praniu, przywiązanym do kanapy Bolku i chorym na gardło Stasiu — z wielkim kluczem wyszła z domu i skierowała się ku spichrzowi, przy którego drzwiach oczekiwali na nię przybyli kupcy.

Jednokonny ich wózek stał przy bramie; za bramą i dziedzińcem widać było ogród warzywny,

na którego zagonach siedziało kilka kobiét wiejskich. W pobliżu tych kobiét na zagonie także siedziała młodziutka dziéwczyna w sukiennym tołubku, na który spadał gruby warkocz jasnych włosów. Siedziała na zagonie i podnosiła głowę ku siedzącemu na płocie młodemu człowiekowi w myśliwskiém ubraniu. Młody ten człowiek miał na plecach fuzyą, i z wielkiém ożywieniem o czémś rozprawiał. Pomiędzy dwojgiem młodych ludzi leżał wielki czarny wyżeł i ponsowemi czapkami świéciło kilkoro drobnych chłopskich dzieci.

Kirłowa, patrząc na ten dość daleki, ale wyraźnie widzialny punkt przestrzeni, uśmiéchnęła się. W rozmawiającéj i dziécięcym drobiazgiem otoczonéj parze poznała najstarszą córkę swoję i młodego Witolda Korczyńskiego. Nie miała jednak czasu przypatrywać się im długo; z ciężkością wielkim kluczem spichrz otworzyła i we wnętrzu jego razem z kupcami zniknęła. Zabawiła tam dobry kwadrans, potém ukazała się znowu na dziedzińcu.

Wiatr zadął silniejszy jeszcze niż wprzódy i nizko giął szczyty topoli. Olchowy gaj szumiał, za nim przebłyskiwały burzące się fale Niemna; ciemna i gruba chmura w otoczeniu mniejszych i lżejszych sunęła samym środkiem nieba, ostry i zimny dészcz padać zaczął, Kirłowa obejrzała się na ogród warzywny i zobaczyła młodą parę, z gromadką dzieci i czarnym wyżłem szybko dą-

żącą ku małemu budynkowi, który u końca ogrodów warzywnych do płotu dziedzińca przyparty, służył za skład nasion ogrodowych. Kobiéty pielące, nie wstając z zagonów, podniosły głowy, i patrząc na dziecinny drobiazg, który zapewne do nich należał, a teraz pod dach był uprowadzany, śmiały się głośno i z uradowaniem. Kobiéta, pomiędzy dwoma kupcami od śpichrza ku domowi idąca, uśmiéchnęła się znowu, ale wnet do towarzyszy swych zagadała. W burzliwéj fali wichru i dészczu, z mokremi włosami, zziębłe ręce w rękawy tołubka chowając, szła jak zwykle prosta, zgrabna i zdala dziwnie młodo i delikatnie wyglądająca, ale mówiła głosem podniesionym, z coraz większą energią i zaciętością; słychać ją było na całym dziedzińcu i aż w kuchni.

Targowała się z kupcami, którzy jéj dawali po ośmnaście rubli za pud wełny, a ona żądała po dwadzieścia. Coraz głośniéj i energiczniéj dowodziła przymiotów swego towaru; powoływała się na Korczyńskiego i innych sąsiadów, którzy za tę cenę wełnę swą sprzedawali; przysięgała na dzieci, że taniéj nie odda. Tak doszła aż do ganku, na którym jednak gdy stanęła twarzą ku dziedzińcowi zwrócona, umilkła, a potém wykrzyknęła:

— A toż co?

Drogą pomiędzy gajem olchowym a warzywnemi ogrodami szybko jechała i już ku otwartéj

bramie dziedzińca zawracała zgrabna, błyszcząca od szkieł i posrébrzeń, cztérema pięknemi końmi ciągnięta karétka. Konie były w angielskiéj uprzęży, na koźle siedział brodaty stangret i młody lokaj, w zielonéj, pozłacanemi taśmami szamerowanéj kurcie. Poznała karétę i konie Różyca. Kupcy na widok przybywającego grzecznie oświadczyli, że do odjazdu gościa, na zakończenie interesu czekać będą. Ale Kirłowa nie słyszała tego, co mówili. Zmieszała się tak, że przywiędłe policzki i drobnemi zmarszczkami porysowane czoło okrył aż po brzegi jasnych włosów świéży, jak u młodéj dziéwczyny, rumieniec.

Wielki Boże! trzy hładyszki z mlékiem zsiadłém na ławce ganku, w sieni necki z mokrą bielizną i zapachy mydlin, a ona sama w starym tołubku i białéj muślinowéj chustce na szyi! Do sieni wpadła i z energicznemi gestami przywoływała dziéwkę kuchenną, półgłosem rozkazując jéj wnieść do izby czeladnéj necki z bielizną.

Dziéwka bosa, w grubéj koszuli i krótkiéj spódnicy, z czerwonemi po łokcie obnażonemi i twarogiem poplamionemi rękami, wypadła z kuchni, porwała necki i biegła z niemi przez sień właśnie w chwili, kiedy Różyc wysiadłszy z karetki, w progu domu stanął. Za nim, na ganku, widać było zieloną, złotym galonem oszytą czapkę i trochę hardą, a trochę drwiącą twarz młodego lokaja.

Dziéwczyna z neckami jak wryta stanęła, széroko oczy i usta otwiérając, i żadne mrugania ani gesta gospodyni domu poruszyć jéj z miejsca nie mogły.

Ale Różyc zdawał się wcale nie spostrzegać kłopotu, którego był przyczyną, i twarzą ku wieszadłom zwrócony, bardzo powoli, z pomocą lokaja paltot zdejmował. Potém, zwrócił się ku gospodyni, która milcząc ze zmieszania, rękę mu na powitanie podawała. Zrazu mniemać było można, że z niejaką przykrością przyjdzie temu wykwintnemu panu ścisnąć tę opaloną, widoczne ślady blizkich stosunków z kuchnią i praczkarnią noszącą rękę kobiécą. Przed chwilą właśnie od dotykania worów z wełną przylgnęło do niéj trochę białawego pyłu, a przy zakręcaniu wielkiego klucza w zamku śpichrza, gwóźdź jakiś ją zadrasnął i pozostawił długą, czerwoną krésę. Jednak Różyc, nizko pochylony, złożył na téj ręce pocałunek nie ceremonialny, ale długi i przyjacielski. Bardzo ładne i jeszcze różowe usta Kirłowéj, zarysowały pośród zwiędłéj twarzy uśmiéch serdeczny. Otworzyła drzwi bawialnego pokoju.

— Proszę wejść, kuzynku, bardzo proszę; tak cieszę się, że cię widzę... tak dawno u nas nie byłeś.

Widać było, że cieszyła się istotnie. Ale zaledwie przestąpiła próg pokoju, rumieniec znowu zalał jéj twarz i czoło. Na kanapce, przed roz-

łożoną książką, siedział nadąsany, jak piwonia czerwony Boleś, z nogą do nogi kanapy przywiązaną. Ten okropny chłopiec, wyskakując przez okno, rozlał atrament i w kilku miejscach poplamił nim pomalowaną na czerwono podłogę. W dodatku, tuż przy jéj tołubku, znalazła się znowu Bronia, czarna, rozczochrana Bronia, ze swemi utrapionemi tasiemkami od trzewików, które ciągnęły się po ziemi. Mniejsza już o te tasiemki, ale chłopca odwiązać trzeba, choćby dlatego, że siedzi na jedyném miejscu, na którém z gościem zasiąść ona może!

Pobiegła ku kanapie, przysiadła na ziemi i drżącemi trochę rękami rozwiązywała sznurek, który sama z przebiegłością więziennego dozorcy, w mnóztwo węzłów była splątała. Różyc i tego jéj kłopotu zdawał się wcale nie spostrzegać. Nachylił się do Broni, pytając, czy zdrowa? i dlaczego sobie czarnych oczu lepiéj nie umyła? — a potém nawet wziął dziecko na ręce, i w oba miodem osmarowane policzki ucałowawszy, zwolna znowu na ziemi postawił.

Podniesienie tego małego ciężaru sprawiło mu widać zmęczenie, bo ręką powiódł po drgającém czole i głęboko odetchnął. Binokle opadły mu na piersi. Uśmiéchał się do dziecka, ale wyraz oczu jego był smutny.

Nakoniec, uwolniony z więzów chłopiec, czerwony i zawstydzony, w kształcie ukłonu szasnął

przed gościem nogami, z pokoju wypadł i drzwi za sobą ze stukiem zatrzasnął. Różyc trzymając ciemną rączkę dziéwczynki, zwrócił się do Kirłowéj:

— Ta faworytka moja wyrośnie na niepospolicie piękną kobiétę; zobaczysz to, kuzynko. Już ja się na tém znam!

— Zawsze jesteś łaskaw na tego małego rozczochrańca, kuzynie, — z ponętnym uśmiéchem odpowiedziała Kirłowa; ale oczy jéj miały ciągle wyraz roztargniony, a postawa była wahającą się i zmieszaną. W małéj bawialni postrzegła nieporządki, które ją zawstydzały. Kwieciste perkalowe pokrycia skromnych sprzętów, swawolni jéj synowie poplamili piaskiem i atramentem, pył okrywał stojącą pomiędzy oknami mahoniową komodę, i była to już wina Rózi, do któréj codzienne sprzątanie mieszkania należało. Z pośpiechem zamykała drzwi, przez które widać było sypialny pokój, z dwoma usłanemi łóżkami i toaletą mahoniową, wielkiém lustrem i rzeźbami przyozdobioną. Łóżka były czyste i nawet ozdobnie usłane, a staroświecka wyprawna jéj toaleta stanowiła sprzęt dość osobliwy i kosztowny. Ale Kirłowa pamiętała dobrze o tém, że sypialnia, nawet najozdobniejsza, nie powinna ukazywać się oczom gości. Cóż kiedy w tym domku były po stronie mieszkalnéj tylko cztéry pokoje: bawialny, sypialny, dziecinny i mała ja-

dalnia, w któréj teraz sypiali chłopcy i kilka kur siedziało na jajach! Nie sposób było w takiéj ciasnocie zachować wszystkich przepisów przyzwoitego urządzenia domu!

Właśnie w chwili, kiedy drzwiami, otwiérającemi się z jednéj tylko strony widok sypialnego pokoju przed gościem zasłaniała, Różyc rękę jéj zdjął ze staréj, żelaznéj klamki, i zatrzymując ją w chudych, ale jak atłas białych i gładkich dłoniach, z uśmiéchem zaczął:

— Widzę, kuzynko, że przyjazdem swoim sprawiam ci zawsze kłopot, i to mnie martwi... Będę w tym wypadku, o! tylko w tym wypadku, lepszym od ciebie, bo zupełnie otwartym, i poproszę, abyś mnie szczerzéj uważała za krewnego, przed którym nie czuje się potrzeby ani ukrywać czegokolwiek, ani czegokolwiek się wstydzić... Dobrze? kuzyneczko, proszę powiedziéć, że tak nadal będzie? Dobrze?...—Rękę jéj ciągle w dłoniach trzymając, mówił to z tak serdeczném połączeniem żartu i czułości, że Kirłowa uradowana i ujęta, znowu po brzegi włosów zarumieniona, ręce jego mocno ściskała.

— Dziękuję ci, Teosiu — zaczęła,—bardzo dobry jesteś... Ale ja, widzisz, mam dawne, o! dawne przyzwyczajenia, których nigdy pozbyć się nie mogę...

— Niechże ci więc te przyzwyczajenia bróżdżą w stosunkach z innymi, ale nie ze mną — żywiéj

niż zwykle zawołał Różyc.—Zresztą—dodał—powinnaś wiedzieć, że tyle już widziałem i zaznałem wszelkiego rodzaju zbytków, że mię największe bogactwa zadziwić nie mogą. Gdybyś była taką, jakiemi zwykle bywają kobiéty bogate, mniejbym się czuł do ciebie pociągniętym...

Zupełnie już ośmielona, z figlarnym błyskiem oczu, który zdradzał, że niegdyś, w piérwszéj może młodości, zalotność nie była zupełnie obcą dla niéj, zauważyła:

— Lubisz rozmaitość, kuzynku, i temu to widać względy twoje zawdzięczam!

Siadając obok niéj na kanapie, z uśmiéchem odpowiedział:

— Jestem, moja droga kuzynko, wielkiém nic dobrego, choruję od objedzenia się marcepanami i z uszanowaniem spoglądam na chléb razowy...

— O!—zawołała,—bardzo trafne nazwanie dla siebie wymyśliłeś! Trzeba rzeczywiście być wielkiém nic dobrego, aby tak ślicznie urządzić się ze wszystkiém...

— Otoż to—potwierdził,—otoż tak obchodź się ze mną zawsze! Jesteś jedyną w świecie osobą, która mi w oczy gorzkie prawdy mówi. Z początku mię tém zadziwiłaś, a potém zachwyciłaś. Chciałbym, abyś mnie więcéj jeszcze łajała. To coś nakształt uczucia owych dawnych pokutników, którym się zdawało, że za każdém uderze-

niem dyscypliny jeden grzéch spadał im z pleców...

— Gdyby wszystkie twoje grzéchy z pleców ci zrzucić, trzebaby ręki silniejszéj niż moja,— zaśmiała się Kirłowa.

Śmiéch jéj przecież, z początku swobodny i trochę rubaszny, topniał w żalu, który napełniał jéj oczy. Wzięła rękę krewnego, i patrząc mu w twarz, zapytała:

— Cóż? jakże? czy nie chorowałeś bardzo w tych czasach? może już obejrzałeś swoje majątki? A z tém okropném przyzwyczajeniem.. Wiész! co słychać? Może choć trochę starasz się przyzwyciężać?...

Różyc uśmiéchnął się niedbale, ale zarazem i przyjaźnie:

— Tyle mi naraz pytań zadałaś, moja droga spowiedniczko, że nie wiém, na co wpiérw odpowiadać. Nie chorowałem gorzéj, a nawet, ponieważ jedyną chorobą moją jest nieopisana apatya, mam się trochę lepiéj niż zwykle, bo znalazłem coś, co mnie w ostatnich czasach trochę podniecać zaczęło. Majątków swoich nietylko jeszcze nie obejrzałem, ale mię sama myśl o tych oględzinach w rozpacz wprawia. Wiész dobrze, dlaczego. Lenistwo nieprzezwyciężone, zupełne do podobnych rzeczy i ludzi nieprzyzwyczajenie, nakoniec, i najbardziéj może, wieczne i nieodparte pytanie: poco?

— Nakoniec i najbardziéj — z żywością przerwała,—to twoje dziwne, okropne, z paskudnego tego świata, w którym żyłeś, przywiezione przyzwyczajenie...

Zaśmiał się głośno.

Kirłowa brwi zmarszczyła, i energicznie ściśniętą ręką o dłoń drugiéj uderzając, zawołała:

— Śmiéj się, ile chcesz, a ja zawsze powiém, że to jest jakaś niesłychana i niewidziana okropność. Już nasi chłopi lepsi, co się po prostu wódką upijają...

— Niesłychana i niewidziana rzecz dla ciebie, moja kuzynko, i dla was wszystkich w odludnych kątach żyjących; ale na szérokim świecie rozpopowszechnia się to bardzo, staje się prawie chorobą epidemiczną...

Kirłowa bystro zmęczonemi oczami na niego popatrzyła:

— Czy nie mogłeś uniknąć téj epidemii? Zkąd ją wziąłeś? Nigdyś mi jeszcze o tém nie mówił?

— Bardzo prosto—odpowiedział.—Pojedynkowałem się i byłem raniony w taki sposób, że cierpiałem okropnie... Z początku zadawano mi znaczne dozy narkotyku dla zmniejszenia bolów, a potém do niego przywykłem... Jedyne to już wyjście, przez które uciekam od ciężkiéj nudy, od upadku sił i może jeszcze od... czegoś podobnego do rozpaczy!

Przykrył binoklami oczy, w których przebiegły gorączkowe błyski. Ona słuchała go ze zdziwieniem, i ciszéj niż wprzódy wymówiła:

— Pojedynkowałeś się! Jezus, Marya! I to więc prawda, że pojedynkowałeś się! Z kim? o co?

Z ostrym, nerwowym śmiéchem gość odrzucił plecy na tylną poręcz kanapy. Po drgającém czole i dokoła śmiéjących się ust, przebiegła mu błyskawica cynizmu, gdy odpowiedział:

— Z kim? Mniejsza o to! O co! Wiész? o ściérkę!

Kirłowa obie dłonie do głowy podniosła.

— A niechże dyabli wezmą ten wasz wielki świat, na którym rosną takie szkaradzieństwa i takie trucizny! Wolę ja już być głupią parafianką, gęsią, owcą, a takiego wielkiego świata nie znać!

— I masz słuszność, — krótko odrzekł Różyc.

Słowa te ułagodziły ją w mgnieniu oka. Z powagą mówić zaczęła:

— Ponieważ kuzynie, zwierzyłeś się przedemną ze wszystkiém, uważałabym się za podłą, gdybym ci pobłażała i przytakiwała...

Urwała i zmieszała się trochę, bo uczuła nagle, że w mowę jéj wplątywać się zaczęły wyrażenia grube, które sama dla siebie za niewłaściwe uważała. Tych wyrażeń i pewnych szorstkich dźwięków głosu nabrała w ciągłéj styczności ze służbą,

z parobkami, z robotnikami, a tak przytém była żywą, że uniknąć ich nie mogła nawet wtedy, kiedy tego najbardziéj chciała.

— Jak wprzódy w swoim domu, tak teraz w swojéj mowie, coś nieeleganckiego spostrzegłaś, prawda? — zapytał przybyły.

Zarumieniła się znowu trochę, ale wnet od siebie myśl odwracając, z zamyśleniem wymówiła:

— Dziwna rzecz! Jesteś jednak i dobry i rozumny... To tak zupełnie wygląda, jakby w jednym człowieku było dwóch ludzi...

Różyc w rękę ją pocałował.

— Powiedziałaś, jak filozof. Widzisz, to ta dwoistość jest kluczem do odgadywania wielu na świecie zagadek...

Splotła ręce na kolanach i kołysała głową w obie strony.

— Wiész co, kuzynie?—zaczęła,—zdaje mi się, że byłbyś daleko szczęśliwszym, gdybyś się tak bogatym nie urodził.

— Albo — przerwał — gdybym się był urodził bardzo głupim.

— Jakto? — zapytała.

— Zgadnij! — zażartował, i z ciekawością na nię patrzał.

Przez chwilę myślała.

— Cóż to tak trudnego do odgadnięcia! Gdybyś był głupcem, nie dbałbyś o nic i do końca hulałbyś sobie wesoło; a ponieważ, choć późno, do

rozumu przyszedłeś, zrozumiałeś, coś zmarnotrawił i stracił.

Śmiał się.

— Nie masz pojęcia, kuzynko, jak lubię z tobą rozmawiać. Zupełnie rozumne rzeczy wypowiadasz w taki sposób...

Zamyślili się oboje. Kobiéta roztargnioną stawać się zaczęła. Przypomniała sobie swoje dzisiejsze roboty i interesa, myślała: czy téż chléb wsadzono już do pieca i czy kupcy na wełnę nie zniecierpliwili się czasem i nie odjechali? Wstała z kanapy, a zupełnie jednocześnie z nią podniosła się z ziemi, siedząca dotąd u jéj kolan, Bronia.

— Każę zaraz podać herbatę...

Różyc z żywém poruszeniem upewnił, że herbaty nigdy prawie nie pija. Popatrzyła na niego trochę przenikliwie, a trochę ze zmieszaniem. Po chwili jednak śmiało rzekła:

— Mówisz nieprawdę. Herbatę lubisz i pijasz jéj wiele... wiém o tém od męża... Ale raz już spróbowałeś naszéj i wiész, że nie jest tak wyborną, jak ta, do któréj przywykłeś...

Różyca prawdomówność jéj widocznie bawiła i ujmowała.

— Moja wina! — zawołał; — złapałaś mnie na kłamstwie. Wszelkiéj rzeczy niesmacznéj lękam się, jak ognia...

— Trzeba było tak powiedzićć od razu: poco kłamać? I bez tego już pewno nakłamałeś w życiu jak ostatni faryzeusz. Przyniosę ci więc konfitur, bo o konfiturach moich nie będziesz mógł powiedzićć, że są niesmaczne. Nauczyłam się niegdyś przyrządzać je od Marty Korczyńskiéj... Nie wiele ich zwykle smażę, ale lepszych pewno w swoim Wiedniu nie jadłeś!

Prędko wyszła z pokoju, a razem z nią, tuż przy tołubku podreptała Bronia, w ręce klaszcząc i wołając:

— Konfiturzki będą! konfiturzki! i ja mamo, chcę konfiturzek!

Z całéj, dość osobliwéj rozmowy dwojga krewnych, dla téj małéj rozczochranéj, czarnookiéj istotki ten jeden wyraz posiadał sens zrozumiały.

W gruncie rzeczy, oprócz szczéréj chęci uczęstowania krewnego, Kirłowa pałała żądzą zajrzenia na drugą stronę domu. Musiało tam coś w jéj nieobecności zepsuć się, czy nie zupełnie udać, bo do bawialnego pokoju doszedł po chwili podniesiony nieco głos, którym przemawiała do służących. Potém jeszcze zamieniła już w sieni kilka słów z kupcami, i nakoniec do bawialnego pokoju weszła, niosąc na tacy kilka napełnionych konfiturami spodków. Tuż obok niéj, potykając się co chwila o rozwiązane tasiemki trzewików, przydreptała Bronia. Za nią Rózia wniosła talerz pięknych malin i miałki cukier w staroświeckim,

kunsztownie wyrobionym kubku. Takie kosztowne i piękne przedmioty, jak mahoniowa komoda pod ścianą, dwa olejne portrety na ścianie, tualeta z wielkiém lustrem i rzeźbami, srébrny, osobliwego kształtu kubek, dziwnie odbijały na skromném aż do ubóztwa tle tego domu, przypominając zarazem, że gospodyni jego pochodziła ze starego i niegdyś bogatego rodu.

Postawiwszy na stole maliny i cukier, Rózia poważnie prostując się, z jasnemi, krótko uciętemi włosami, które przy każdym jéj kroku w górę nieco podlatywały, wyszła z pokoju. Matka szepnęła jéj coś o bieliźnie, kupcach i Stasiu.

Różyc prędko i z pewną gwałtownością w ruchu ręki, podnoszącéj do ust łyżeczkę, jedząc konfitury, mówić zaczął:

— Wyborne, istotnie wyborne! Przepadam za słodyczami i pary godzin obejść się bez nich nie mogę! Więc nauczyłaś się smażyć konfitury od panny Marty Korczyńskiéj... od téj oryginalnéj staréj panny?... Bardzo to szanowna osoba, skoro takie umiejętności posiada... Ale, à propos, dawno widziałaś pannę Justynę?

Kirłowa wkładając w ciemną rączkę Broni spodek, na który położyła trochę konfitur, żywo odpowiedziała:

— Zdaje się, że nikt jéj tak niedawno, jak ty, kuzynku, widziéć nie mógł. Przyjechałeś tu przecież z Korczyna.

— Zkądże wiész?...

— Słyszałam, jak o tém w kuchni mówił twój lokaj, i przyznam ci się, że zła jestem na ciebie za to ciągłe jeżdżenie do Korczyna...

— Naprzód nie ciągłe, bo byłem tam dotąd zaledwie kilka razy, a potém, czegoż zła jesteś?

— Wiész o tém dobrze, — sarknęła.

— Łaj mię więc — odpowiedział, — pozwalam i nawet proszę. Ale cożem ja temu winien, że panna Justyna bardzo mi się podoba?

— Otoż to! — zawołała,—dla ciebie i tobie podobnych jedna jest tylko ważna rzecz na świecie: podoba się, albo się nie podoba. Zresztą nic.

— Masz słuszność,—odrzekł.

— Ale powiedzże mnie — z coraz większą irytacyą wołała,— z czego ona na nieszczęście swoje tak bardzo ci się podobała? Przystojna, to prawda, ale tysiąc piękniejszych widziałeś pewno na świecie. Kokietką nie jest...

— Otoż to,—potwierdził Różyc.

— Edukowali ją wprawdzie krewni, ale znowu ta edukacya nie jest tak bardzo świetną...

— Otoż to,—powtórzył.

— Od czasu historyi z Zygmuntem Korczyńskim, zrobiła się bardzo poważną, nie stroi się, nie kokietuje mężczyzn, nie szczebiocze...

— Otoż to, — raz jeszcze wymówił.

— Więc cóż? Wy tam przecież na świecie do wcale innych kobiét przywykliście i dla wcale innych głowy tracicie!

Przestał jeść konfitury, których prędko zjadł bardzo wiele, i o poręcz kanapy plecy opiérając, z nawpół żartobliwą, a nawpół szczérą powagą mówić zaczął:

— Przedewszystkiém masz wiedziéć, że takie kryształowe jak ty osoby, wcale się na takich rzeczach nie znają. My tylko, wiész? nicponie, wiémy dobrze, dla czego do téj lub owéj kobiéty pociąg czujemy... Rozumiész? Pociąg czyli instynkt, który daje nam wiedziéć, że z tą właśnie kobiétą wychylić możemy, w pełném tego słowa znaczeniu, kielich rozkoszy... Otoż i rumienisz się teraz jak pensyonarka... Ach! ach! Cóż to za bozka rzecz, taki rumieniec na twarzy matki pięciorga dzieci!

Rumieniła się istotnie, po swojemu, dziewiczo, płomiennym i świéżym rumieńcem, ale przezwyciężając zawstydzenie, poważnie rzekła:

— Nic nie szkodzi. Mów wszystko. Chcę wiedziéć, co myślisz o Justynie...

— Zatém—mówił daléj, — na piérwszém miejscu stoi tu pociąg, czy jaśniéj dla ciebie wyrażając się, sympatya. Do panny Justyny uczułem od razu sympatyą... wyznaję nawet, że bardzo żywą... Masz słuszność, że wiele piękniejszych znałem na świecie, a nawet zdrowie i majątek na

całopalenie przed niemi składałem... Ale w tym kontrascie czarnych włosów i szarych oczu, jaki się znajduje u panny Justyny, w jéj kibici, ruchach etc., etc., jest coś takiego... słowem... *passons*, ty tego nie zrozumiész... ta dziéwczyna ma temperament, upewniam cię, ma nawet wiele temperamentu...

— *Passons!*—powtórzyła Kirłowa,—cóż daléj?

— Daléj jest to właśnie, co przed chwilą wyliczyłaś. Kokietek, szczebiotek, hysteryczek, prawdziwych i fałszywych księżniczek miałem dosyć, zanadto; *toujours de perdrix,* nie było nigdy dewizą moją. Dla zmiany widać, zacząłem przepadać za zdrowiem ciała i duszy, czego najlepszym dowodem jest ta admiracya i rzetelne przywiązanie, które dla ciebie, kuzynko, powziąłem.

Parę razy zdjął binokle i znowu niemi oczy zasłonił. Znowu téż machinalnie zaczął jeść konfitury. Nagle, przerywając sobie jedzenie, zaczął:

— Dziś, naprzykład, siedziałem obok niéj przy obiedzie. Dopóki dawałem jéj do zrozumienia to i owo, okazywała się chmurną i odporną, prawie nie odzywała się, nie patrzyła na mnie... Zmieniłem taktykę i zacząłem z tonu objektywnego... ożywiła się natychmiast i rozmawiała bardzo przyjemnie. Opowiadała mi o naturze otaczającéj Korczyn, o jakimś parowie nadniemeńskim i wcale piękném przywiązaném do niego podaniu

ludowém... w taki sposób, że byłem... byłem prawdziwie zajęty. Bardzo, bardzo jest rozsądną, i kiedy mówi o takich rzeczach, które ją zajmują, ma takie ogniki w oczach i coś takiego w układzie ust... Tylko... szturmem jéj wziąć nie można... Dyplomacyi cnota potrzebuje... i jest to jedyną jéj przywarą, a zarazem i najsilniejszą ponętą...

Kirłowa była tak zamyślona, że ostatnich słów krewnego zdawała się nie słyszéć. Nagle podniosła głowę, i tonem takim, jakby znakomitego odkrycia dokonywała, rzekła:

— Kuzynie! jeżeli Justyna tak bardzo ci się podoba, ożeń się z nią...

Różyc rękę z łyżeczką na stół opuścił, binokle zwykłym sobie prędkim ruchem w dół pociągnął, wpół zdumionym, wpół przerażonym wzrokiem na krewną popatrzył i śmiéchem wybuchnął:

— Wyborny pomysł, kuzynko! wyborny, nieoceniony!—wołał.—Tożbym dopiéro niespodziankę urządził światu i samemu sobie! A papa Orzelski? Czy jabym tę chińską figurkę na kominku u siebie postawił? A francuzczyzna panny Justyny, *entre nous*, dość kulawa? Gdyby się oko w oko spotkała z moją księżną ciocią, chybaby biédna ciotka śmiertelnego ataku spazmów dostała...

Śmiejąc się jeszcze dodał:

— Pomysł twój, kuzynko, świadczy o doskonałéj dobroci twego serca i zupełnéj zarazem nieznajomości świata... W takich amfibiach, jak panna Justyna, kochać się... bardzo można, ale żenić się z niemi — *impossible...*

— Amfibie!—zawołała Kirłowa, kobiétę do żaby porównywać!...

— Naturalnie — przerwał Różyc. — Sama pomyśl: urodzona i nieurodzona, wychowana i niewychowana, biédna i niebiédna... Słowem, nie wiedziéć kto...

Z błyszczącemi od gniewu oczyma Kirłowa zapytała:

— Więc pocóż jeździsz do Korczyna?

— Bo mnie ta niespodziéwana dla mnie samego sympatya ożywia trochę, podniéca. Doprawdy, zjawiła się ona bardzo w porę, kiedym już zupełnie zwątpił o wszelkich urokach życia...

— Ale jakiż koniec?— uparcie zapytywała kobiéta.

— Moja kuzynko—odpowiedział,—za mało jestem filozofem, abym myślał o końcu każdéj rzeczy... *Advient ce que pourra...* I chwila przyjemności do pogardzenia nie jest...

— Justyna nie da się zbałamucić! Przeszła już ona przez smutne doświadczenie, znam dobrze jéj charakter i sposób myślenia...

Słuchał z zajęciem, czoło i brwi mu drgały.

— Znasz ją dobrze? Jesteś tego pewna, co mówisz?

— Najpewniejsza.

Zamyślił się, ręką powiódł po czole, źrenice mu zaszły wyrazem dalekiego jakiegoś marzenia. Kirłowéj zdawało się, że westchnął.

— Ale ty, kuzynie, naprawdę zajęty jesteś Justyną! — zawołała.

— O ile jeszcze mogę być czémkolwiek albo kimkolwiek zajęty. Wyznam ci, że sam się dziwię... Ale, niepodobne do przewidzenia są kaprysy serca, czy tam nerwów...

— Więc ożeń się z nią! — ani dbając o wszystko, co przed chwilą mówił, zaczęła znowu.

Ale przerwało jéj otworzenie się drzwi od sieni i głos Rózi, który zawołał:

— Mamo, Staś wrócił i ma okropną chrypkę...

Kirłowa, jak sprężyną podjęta, skoczyła i z pokoju wybiegła. Razem z nią, naturalnie, podobna do myszki, wysunęła się Bronia.

Różyc, sam jeden pozostawszy, z czołem na obie dłonie spuszczoném, słyszał z głębi domu dochodzące napomnienia przelękłéj matki i odpowiedzi malca, wypowiadane głosem tak od ochrypnięcia cienkim, że podobnemi były do najpiskliwszych tonów zepsutego fleciku. Trzask ognia, stuk siekiéry, pluskanie wody, głosy kuchennych dziéwek dochodziły tu przez wązką sień z drugiéj połowy domu.

Na dworze pogoda stawała się cichszą i jaśniejszą. Wiatr ustawał, chmury rozbiégały się szybko we wszystkie strony nieba; przez gęste, wysokie bzy przedarł się promień zachodzącego słońca i pozłocił kwitnące na oknie skromne fuksye i róże.

Czy ten wysoki i chudy człowiek, w wytwornem ubraniu, z ufryzowanemi włosami nad wyłysiałém czołem i wiszącemi u piersi binoklami w złotéj oprawie, wsłuchywał się w odgłosy tego małego domu i odgadywał z nich owo życie, które w nim płynęło wiecznie tym samym, pracowitym i skromnym potokiem? Czy nasuwało mu ono porównania, uwagi, myśli tak dotąd nieznane, jak nieznany dla niego był cały rozległy rząd podopodobnych istnień?

Wydawał się głęboko zamyślonym w chwili, gdy Kirłowa wracając do małéj bawialni, w zakłopotaniu swém zapomniała nawet o zamknięciu drzwi sypialnego pokoju. Nie myślała już także o przedmiocie przerwanéj przed kilku minutami rozmowy.

— Syn mi zachorował — ze zmartwieniem rzekła,— gardło ma słabe i w przeszłym roku dostał był tak silnego zapalenia, że doktora wzywać musiałam. Lękam się, aby znowu nie było to coś złego, i kazałam Rózi, aby lipowego kwiatu przygotowała.

Trwoga i zgryzota czyniły twarz jéj daleko starszą, niż była przed kwadransem. Różyc rękę do niéj wyciągnął.

— Biédna ty moja kuzyneczko! — rzekł; — ileż ty miéć musisz pracy, trosk i zmartwień z tym małym mająteczkiem, z dziećmi...

Do głębi ujęta, usiadła obok niego na kanapie, policzek oparła na dłoni i o wszystkiém, co ją obchodziło, mówić zaczęła. Rada może była, że znalazła w krewnym współczującego jéj powiernika. Opowiadała mu, jak od lat dwunastu, we cztéry lata po wyjściu za mąż, spostrzegłszy, że w Olszynce wszystko szło bez żadnego ładu i dozoru i że blizka groziła im ruina, wzięła się sama do gospodarstwa i interesów. Dla kobiéty była to rzecz niezwykła, ale nie święci garnki lepią. Uczyła się u sąsiadów i sąsiadek, szczególniéj u Korczyńskiego i Marty; z każdym rokiem przybywało jéj energii i umiejętności, i jakoś to poszło i idzie, wcale dobrze nawet idzie, tylko z wychowaniem dzieci biéda. .

— Pięcioro — mówiła,—pomyśl tylko, kuzynie, na tym kawałku ziemi, który około tysiąca rubli dochodu przynosi... Trzebaż to wykarmić, ubrać i czegokolwiek nauczyć.

O edukacyi córek już ani marzyła. Sama je nauczyła, czego mogła, a zresztą niech dobremi gospodyniami będą! Ale synów kształcić pragnęła i do szkół ich oddała, marząc, że jeden

z nich gospodarzem na Olszynce zostanie, a drugi w świat, z zawodem jakim pójdzie. Ale szkoły drogo kosztują. Biédna matka czasem sobie włosy z głowy wydziéra, przemyśliwając, czém i jak za nich zapłaci. Dotąd znajdowała źródła i środki, ale nie jest pewna, czy tak do końca będzie. Lada niepowodzenie, lada klęska w gospodarstwie, a jéj najdroższe nadzieje przepadną. Tymczasem, robi co może, i gdyby tylko Bolek większéj ochoty do nauki nabrał, a Staś tak często nie chorował... Ot, jaka biéda! jeden zdrów, ale nie bardzo zdolny, drugi zdolny i chętny, ale słabego zdrowia.

Wszystko to opowiadała z policzkiem na dłoni opartym, i gęsto, gęsto w téj chwili zmarszczkami okrytém czołem. Końce jéj ładnych ust opuszczały się czasem w dół, rzucając na dolną część twarzy dwie głębokie brózdy.

— Ile ty lat masz, kuzynko? — zapytał wpatrujący się w nię ciągle Różyc.

— Trzydzieści cztéry, z niejakiém zdziwieniem odpowiedziała.

— Czy wiész o tém, że kobiéty w twoim wieku, i tak jak ty urodzone, używają jeszcze życia na własną rękę, błyszczą w świecie, łowią w locie różowe godziny wesołości i szczęścia?

Niedbale kiwnęła ręką:

— Mniejsza o to! Inne ja rzeczy mam na głowie...

I daléj jeszcze opowiadałaby o swoich biédach i nadziejach, gdyby Różyc jéj nie przerwał.

Powoli, z przestankami, bo znużenie ogarniać go już zaczynało, mówić jéj zaczął o zupełnéj swojéj niezdatności do osobistego zarządzania Wołowszczyzną; o tém, że niepodobna mu w tych stronach osiedlić się stale; że pragnie i potrzebuje koniecznie kogoś do zarządzania majątkami jego, i chciałby, aby tym kimś był mąż jéj, Bolesław Kirło.

— Układ ten — mówił — byłby korzystny dla stron obu.—Wołowszczyzna, pod zarządem życzliwego krewnego zaczęłaby prosperować i większe dawać dochody; krewny zaś otrzymywałby za pracę wynagrodzenie, któreby znakomicie podniosło pomyślność jego rodziny: parę tysięcy rocznéj pensyi, tantyema od zwiększających się dochodów i inne różne zyski, które teraz leni się przypominać sobie i wyliczać...

Po chwili dodał:

— Jeżeli nic przeciwko takiemu układowi nie masz, droga kuzynko, pomów o nim z mężem. Niech przygotuje kontrakt, umowę, czy tam coś podobnego i przywiezie mi do podpisania. Za parę miesięcy, będzie mógł objąć rządy majątków od teraźniejszego rządcy, który stał się zupełnie już niemożliwym.

Kirłowa słuchała z uwagą, potém dość długo milczała i myślała. Widać było, że perspektywa

wskazana jéj przez krewnego, uśmiéchała się do niéj prawie rajskim powabem. Odpocząć nieco po kilkunastoletniéj ciężkiéj pracy, gospodarstwo w Olszynce ulepszyć, synom i młodszym córkom staranne wychowanie zapewnić,—co za złote marzenie! Nic nad to na ziemi nie pragnęła. Ale po długim namyśle, wyraz głębokiego smutku twarz jéj pokrył. Głową przecząco wstrząsnęła.

— Dziękuję ci — zaczęła z cicha, — dziękuję, ale to być nie może... Ja... ja nigdy nie zgodzę się na to...

Widziała, że patrzył na nię ze zdziwieniem, więc ze spuszczonemi powiekami, tak prędko, jakby pilno jéj było pozbyć się tego przedmiotu rozmowy, ale zarazem, z częstém wahaniem się głosu, mówiła:

— Byłoby to dla nas wielkiém szczęściem, i rozumiém dobrze, że właśnie dla tego propozycyą tę zrobiłeś... ale, widzisz... dla ciebie nie wyniknęłoby z tego układu nic dobrego... jest to ostatni już twój fundusz... trzeba, aby ktoś zajął się nim na dobre, a Boleś... mój mąż... gdzie tam! ani myśléć o tém nie można!

Nagle pochwyciła jego ręce i podniosła ku niemu wzrok pełny trwogi i prośby.

— Tylko — zawołała — nie myśl o nim nic złego! Ja wcale nie mówię, że jest on nieuczciwym, czy coś podobnego. Wcale nie! Nic przecież

złego nikomu nie zrobił, i człowiek to dobry, poczciwy...

— Więc dla czego?—pytał Różyc.

— Dla czego? Mój drogi kuzynie, każdy człowiek ma swoje wady, wiész o tém dobrze. I on je ma... Nie są to nawet wady, tylko przyzwyczajenia... pracować nie może... Gdybyś wiedział wszystko: jak go wychowywali i jak piérwszą młodość swoję przebył, sambyś przyznał, że są to tylko przyzwyczajenia... Ojciec jego, mając ten tylko folwareczek, trzymał się wiecznie pańskich klamek, od komina do komina jeździł i syna z sobą woził. W szkołach trzy klasy tylko skończył i zaraz za dojrzałego obywatela uchodzić zaczął. Potém, kiedy ożenił się ze mną i moim posażkiem długi zapłacił, ja sama starałam się wyręczać go we wszystkiém i kłopoty od niego usuwać... Tak już przywykł... ale z temi przyzwyczajeniami, jakżeby on mógł tak wielkiéj pracy podołać? Podjąłby się może, ale wiém, że nicby dobrego z tego nie wynikło... Nie chcę. Wolę już tak, jak jest! Proszę cię na wszystko, abyś jemu o tym projekcie nigdy nie wspominał i sam o nim nie myślał, proszę...

Różyc wpatrywał się w nię, niby w ciekawe zjawisko.

— Moja droga, — zaczął, — ty kochasz tego człowieka!

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Jakże? — zaczęła.—Poszłam za niego z miłości, nikt mię nie zmuszał, owszem rodzice sprzeciwiali się, familia odradzała i kilku innym dla niego odmówiłam. Czy ty, kuzynie, wyobrażasz sobie, że my, tak jak wy, tam, na waszym wielkim świecie, dwadzieścia razy w życiu kochać i przestawać kochać możemy?

— Dwieście razy,— poprawił.

Ale ona téj żartobliwéj poprawki nie słysząc, mówiła daléj:

— Nabiéra się przecież przyjaźni i przywiązania dla człowieka, z którym choć czas jakiś przeżyło się szczęśliwie. Zresztą dzieci!... Mój kuzynie, jeżeli ożenisz się kiedy i będziesz ojcem, zrozumiész, jaki to węzeł!

— Z tém wszystkiém, nie chcesz, abym twemu mężowi powierzył...

— Nie!—żywo zawołała,—nie chcę, stanowczo nie chcę, bo onby nie podołał i wyniknęłaby z tego szkoda dla twoich majątków... wiém o tém!

Różyc wstał. Niejaka zdolność do współczucia i sympatyi istniéć jeszcze musiała w tym apatycznym i chorym człowieku; bo wyraz, z jakim patrzył na krewną, był bardzo podobny do wyrazu uwielbienia.

— Cóż robić? — rzekł, — kiedy tego żadną już miarą nie chcesz... Ale musisz przynajmniéj pozwolić — dokończył, obie jéj ręce w swoich trzymając i w twarz jéj patrząc z widoczną nieśmia-

łością,—abym ponosił koszta wychowywania twoich synów, dopóki... dopóki nauk nie skończą, albo dopóki ja reszty majątku nie stracę...

Przy ostatnich wyrazach próbował uśmiéchnąć się żartobliwie, ale nerwowe drgania tak mu wstrząsały czołem, brwiami i ustami, że twarz jego przybrała wyraz bolesny, prawie tragiczny.

— Proszę — dokończył ciszéj, — proszę...

Stała chwilę ze spuszczonemi oczyma, płomiennie zarumieniona i milcząca. Może ze swemi także przyzwyczajeniami w téj chwili walczyła, dobrodziejstw od nikogo przyjmować nie chcąc. Dwie duże łzy wypłynęły zpod jéj spuszczonych powiek, i w pięknie zarysowanych, przywiędłych policzkach przeciągnęły wilgotne brózdy. Ale wnet potém podniosła na krewnego spojrzenie pełne głębokiéj wdzięczności.

— Dziękuję — rzekła z cicha, — i przyjmuję... od ciebie! zresztą, dla dzieci... wszystko...

Pocałował obie jéj ręce, a gdy się wyprostował, twarz jego wydawała się daleko spokojniejszą niż wprzódy, choć pociemniała jakoś i bardzo była zmęczoną.

— Zrobiłaś mi prawdziwą łaskę... Na ciemnéj przestrzeni, którą ciągle widzę przed sobą, będę miał choć jeden punkt jaśniejszy... O szczegółach, tyczących się tych kochanych chłopców pomówimy innym razem. Teraz muszę już jechać...

Spojrzał na zégarek.

— Już przeszło sześć godzin jak z domu wyjechałem.

— Mój Boże!—westchnęła Kirłowa,—a więcéj niż sześć godzin trudno ci się obejść bez...

— Bez czego? — nazwijże choć raz rzecz po imieniu! po prostu, przez usta ci przejść to nie może, co?

Próbował znowu żartować, ale było coś rozpaczliwego w geście, jakim dłoń po czole przesunął i wymówił:

— Trudno, niepodobna!

Ona z boleścią na niego patrzyła.

— Wiész co? — rzekła,— jedyny dla ciebie ratunek byłby w ożenieniu się z kobiétą rozsądną, szlachetną i którąbyś kochał.

— Wracasz do swego...

— I ciągle powracać będę! — zwykłym sobie ruchem ściśniętą ręką o dłoń uderzając, zawołała, i z wesołém znowu spojrzeniem dodała: *Ce que femme veut, Dieu le veut.* Francuzczyzna moja pewno tak samo kulawa jak u Justyny, ale przysłowie sprawdza się często. Zresztą najlepiéj po prostu mówić: Gdzie dyabeł nie może, tam babę poszle... Zobaczysz, że ja cię namówię...

Przy drzwiach jeszcze, ściskając mu rękę, mówiła:

— Jak tylko złapię swobodną godzinę, sama do ciebie przyjadę, i znowu o tém pomówimy. I jeszcze coś na myśl mi przyszło. Jeżeli chcesz

dla Wołowszczyzny prawdziwie dobrego rządzcy, zrób tę propozycyą Korczyńskiemu. To, to ale. Doskonały gospodarz, jak wół pracowity i perła uczciwości, mówię ci, że perła... spróbuj...

Niedbale machnął ręką. Widać było, że śpieszył się bardzo z odjazdem i że wszystko na świecie obchodzić go przestawało; ale Kirłowa zbiegła z ganku i przy stopniu karety, zgrabnym ruchem uczepiwszy się jego ramienia, szepnęła mu jeszcze do ucha:

— Myśl nad tém, co mówiłam ci o Justynie. Kpij z cioci księżny i ze wszystkich światowych głupstw! Łajdactwo cię nie uszczęśliwiło, spróbuj poczciwego życia!...

Jakkolwiek zobojętniały i znużony aż do bezsilności, zaśmiał się gość połową drgających ust.

— Oto co znaczy prawdziwie rzeczy po imieniu nazywać! Dobrze, przyjedź do Wołowszczyzny, o wszystkiém pomówimy.

Zaledwie karetka wytoczyła się za bramę, Kirłowa do domu wpadła, w kuchni i izbie czeladnéj kilka rozporządzeń wydała, i pobiegła do pokoju, w którym znajdowali się synowie. Tam trafiła na gwarną scenę. Swawolny Boleś i niedomagający Staś zawzięcie bawili się z najmłodszą siostrą, strasząc ją niby tupaniem nóg i hukaniem nad samemi jéj uszami; ale z tołubka swojego rozebrana i więcéj niż kiedy rozczochrana Bronia znała się dobrze na podobnych żar-

tach, i udając tylko, że się lęka, z zanoszącym się śmiéchem w różne kąty pokoju uciekała. Naprawdę, przelękły się tylko siedzące w *kotuchach* (kojcach) kury, — które przecież stanowisk swoich nie opuszczając, z postawami pełnemi powagi, w niebogłosy gdakały. Uspokojona trochę o syna, boć nie mógł czuć się bardzo chorym, skoro bawił się tak wesoło, Kirłowa kupców do bawialnego pokoju wprowadziła, i po krótkiéj jeszcze z nimi sprzeczce, prędko, z niejakim nawet rozmachem pióra umowę napisała, zadatek pieniężny wzięła, i chwilę jeszcze bardzo grzecznie o urodzaju i cenach na zboża porozmawiawszy, na ganek wyszła.

Na dworze zimny wiatr, przez dzień cały szalejący, zupełnie ustał, powietrze było chłodne jeszcze, ale ciche i mniéj ostre. Daleko, gdzieś na krańcu zaniemeńskich pastwisk, słońce zachodziło powolnie i jaskrawo, ulewą świateł napełniając przezroczysty gaj olchowy, zza którego rzadkich pniów widać było pstrą trzodę, na przeciwległém wybrzeżu rzéki rozsypaną. Z wilgotnéj łąki, która spływała ku szarzejącéj w pobliżu wiosce, od wód stojących, których istnienie zdradzały jasno zielone ajery i ciemne kołpaki łozy, dochodziło przeciągłe i coraz bliższe ryczenie krów. Ścieżką, która środkiem łąki biegła od dworu do wsi, szła gromadka kobiét, które od pielenia ogrodów warzywnych powracały. Był to

wijący się pośród zielonéj przestrzeni sznur jaskrawych chustek kobiécych, ponsowych czapek dziecinnych i szybko migoczących stóp. Sposób, w jaki ta ścieżka wydeptaną była, opowiadał o częstych i licznych stosunkach, zachodzących pomiędzy niewielkim dworem i niedługim szeregiem chat. Teraz także, z gromadką powracających do wsi kobiét i dzieci, rozminęło się kilku chłopów, do dworu dążących.

Kirłowa, na ganku stojąc, zdaleka ich spostrzegła. Wiedziała, z czém przychodzą, ale w téj chwili nie mogła cierpliwie czékać nadejścia gospodarzy, którzy po trochu byli jéj wspólnikami, bo obrabiali w Olszynce część gruntów, najbardziéj od dworu oddaloną, po połowie dzieląc się zbiorami z ich właścicielką. Po prostu trudno jéj było w téj chwili pozostać na miejscu. Niespokojną czuła się widocznie; ze zmarszczoném czołem i wytężonym wzrokiem patrzyła w stronę warzywnych ogrodów. Roboty dzienne były już tam zupełnie ukończone: dla czegoż więc córka jéj nie wraca? dla czego ten ładny i żywy chłopak, tak często tu przebywa, ani na krok dziéwczynki nie opuszczając? I ojcu jego może się to nie podobać, że codzień prawie dla Olszynki Korczyn opuszcza. I Marynia... taka młodziutka, a tak głębokie, niewymowne szczęście tryska z jéj twarzy, gdy spostrzeże czarnego Marsa, który w széro-

kich poskokach na dziedziniec wpada, pana swego poprzedzając!

— Co ja z tym fantem poczną? — z widoczną troską, szepnęła do siebie kobiéta. — Wypowiedzićć mu dom, albo niegrzecznie przyjmować go... niepodobna! Bo i za cóż? Poczciwy chłopak i syn najpoczciwszego sąsiada! Znają się z sobą od dzieciństwa, więc może to taka przyjaźń... Ale dla czego już nie przychodzą?! Zbiegła z ganku, prędko przeszła dziedziniec i nieopodal małego śpichrza, za kilku bzowemi krzakami stanęła. Zobaczyła córkę, siedzącą na nizkim progu małéj budowy, do któréj wnętrza, parę godzin temu, przed padającym deszczem uprowadzała chłopskie dzieci.

Z warkoczem lnianych włosów, opadającym na wązki tołubek, szesnastoletnia dziéwczyna różowy policzek na dłoni wspiérała i błękitne oczy wznosiła w górę, ku twarzy stojącego przed nią towarzysza.

W myśliwskiém ubraniu, wysmukły i zgrabny, z lufą fuzyi zza ramienia mu stérczącą, Witold Korczyński rozprawiał o czémś z ożywieniem wielkiém i częstemi, żywemi gestami. Nadawało mu to zdaleka pozór niepospolitéj energii, jakkolwiek w zmęczonéj trochę cerze jego twarzy znać było długą już i wytężoną pracę książkową. Z delikatności kształtów i nerwowéj ruchliwo-

ści rysów tego młodzieńca odgadnąć w nim było można dziécię chwili pełnéj udręczeń serc i niepokoju umysłów. Nie rozrósł się on nakształt dębu széroko i potężnie, ale we wczesnych trudach pamięci i myśli wybujał, jak młoda topól, giętka i poddająca się ruchom otaczającego ją powietrza. Czoło miał dziewicze, białe i gładkie, oczy myśliciela, a zarys ust zdradzający nadmierną czułość. W ruchach jego głowy była zbyteczna nieco śmiałość i duma; możnaby czasem rzec, że tuż, tuż, za parę dni lub godzin, wybierze się w podróż naokoło świata.

Znajdując się tu już od pary godzin, wiele zapewne z towarzyszką swą mówić musiał, przyniósł dla niéj książkę, która teraz leżała na jéj kolanach, jednak ani ochoty do mówienia nie stracił, ani ona przestała go słuchać z ciekawością w ożywionych rysach i wzniesionych ku niemu oczach.

Zaniepokojone serce matki, na widok téj młodéj pary, uspokoić się mogło. On miał pozór nauczyciela, ona uczennicy; wyglądali jeszcze na parę dobrych przyjaciół, zgadzających się z sobą we wszystkiém i razem układających jakieś plany. Dziéwczynka czyniła głową potakujące ruchy, oznaczające zrozumienie albo wysoki stopień zapału, co zdawało się uszczęśliwiać i do dalszego mówienia zachęcać młodzieńca. Z oddalenia,

w jakiém się znajdowała, Kirłowa słyszała tylko oderwane wyrazy: lud, kraj, gmina, inteligencya, inicyatywa, oświata, dobrobyt i t. d. Parę razy tylko do uszu jéj doszły całe okresy, żywcem jakby z mądréj jakiéjś książki wyjęte, a prawiące coś o pracach podstawowych i minimalnych, o poprawieniu historycznych błędów i t. d. Uśmiéchnęła się prawdziwie pomacierzyńsku, trochę żartobliwie, a trochę dumnie.

— Dobrze — rzekła, — kiedy tak, to dobrze! Niech sobie gwarzą o takich pięknych rzeczach!

I miała już odejść ku gankowi, ale jeszcze młoda para wzrok jéj do siebie przykuła. Marynia zwolna podniosła się z nizkiego siedzenia, i z powolnością ruchów, zdradzającą głębokie zamyślenie, wsunęła rękę pod ramię towarzysza. Powoli przeszli ogród warzywny i wzdłuż olchowego gaju kierowali się ku ścieżce ku wsi wiodącéj.

Nieraz już Kirłowa widziała ich idących w tamtą stronę. Zdawało się, że machinalnie i prawie bezwiednie ciągnęła ich tam jakaś siła uczucia i myśli. Teraz, postacie ich i profile, blizko ku sobie przysunięte, plastycznie odbijały od zielonego tła gaju, pod którém przesuwały się powoli. On, więcéj niż kiedy, miał pozór apostoła, wygłaszającego swe idee, i myśliciela z chmurnemi oczami pod dziecinném czołem; ona, szła z pochyloną głową, ze spuszczonemi w dół powiekami i owym

zachwyconym uśmiéchem na różowych ustach, który towarzyszy budzeniu się młodéj myśli i woli. Za nimi szedł poważnie wielki czarny wyżeł, a przed nimi zachodzące słońce kładło na drogę szérokie szlaki różowych, ruchomych świateł.

II.

Dwóch czy trzech godzin do południa brakowało, gdy Justyna, z olśniéwającéj ulewy słonecznego światła, wchodziła do przyciemnionéj nieco sieni korczyńskiego domu. W rękach, więcéj niż kiedykolwiek ogorzałych, trzymała wielką wiąź polnych roślin, która w połączeniu z jasną barwą jéj sukni i ognistemi rumieńcami policzków, czyniła z niéj upostaciowanie rozkwitłego lata. Na wschody ganku wbiegała żywo, ale potém stanęła i długo patrzyła kędyś daleko za bramę dworu, na pole. Zamyślenie to przecież snadź smutném nie było, bo znowu zwracając się ku domowi, prawie głośno zanóciła:

„Lecą liście z drzewa, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiéwa jakieś ptaszę polne...“

Ale zaledwie weszła do sieni, przerwała nócenie i przyśpieszyła kroku, bo w sali jadalnéj słychać było ożywioną rozmowę i nawet jakby

sprzeczkę kilku głosów. W głębi sali, plecami o szafę bufetową oparta, wysoka i trochę przygarbiona stała Marta, a przed nią młody chłopak i niedorosła panienka mówili jéj o czémś oboje razem, o coś na nię nalegali, prosili. Chłopak miał na sobie krótkie i dość zaniedbane ranne ubranie, panienka zaś wątła i z żółtawą cerą, cała w muślinach, lokach, przypominała bladego, ładnego motyla. Oboje bardzo prędko mówili.

— Moja ciociu, czyż ciocia dla nas tego nie zrobi? Kiedy my tak prosimy, tak lękamy się o zdrowie cioci!... Doktor powiedział, że cioci koniecznie leczyć się trzeba... że w tym kaszlu jest coś złego... Niech ciocia pozwoli, aby doktor tu przyszedł... my go przyprowadzimy. Czyż ciocia dla nas tego nie zrobi?...

Cieniutkiemi ramiony panienka usiłowała objąć kościstą kibić staréj panny, a utrefioną główkę wysoko podnosiła, aby módz patrzéć w jéj twarz, po któréj przepływały fale uczuć najsprzeczniejszych: gniéwu i rozrzewnienia. Gniéw przemógł.

— A dajcież mi święty pokój! — rozległ się po sali głos basowy i ochrypły, — oto mnie napadli! wieczna niedola! Doktor wasz głupi... co on tam takiego w moim kaszlu usłyszał? Niech Emilkę i Terenię leczy, bo one chore, a ja zdrowa, zdrowiuteńka, mury łamać mogę i żadnych doktorów nie potrzebuję. Jeszcze czego! Wieczne głupstwo! Uf!...

Miała zakaszlać się tak, jak bywało zwykle, ilekroć mówiła ze wzburzeniem, ale wstrzymała się i tylko krztusiła się głośno. Wtém spostrzegła wchodzącą Justynę, i rzuciła się ku niéj, jak ku zbawieniu.

— Spacerujesz sobie, kochanko, spacerujesz, nie wiedzieć gdzie przepadasz i nic nie wiész, co się w domu dzieje. Wieczna biéda! Emilka zachorowała na nerwy, na piersi, na serce, na wszystko... doktora sprowadzili... Benedykt tak zląkł się i tak prędko wieźć go kazał, że konie, powiadam ci, całe w pianie przed gankiem stanęły. Pół godziny temu przyjechał, i powiedział, jak zawsze, że to nic strasznego... Wielkie rozdrażnienie nerwów, troszkę kataru oskrzeli, czy jak tam powiada, po dawnemu powietrze jéj zalecił, ruch, rozrywki, dwie recepty zapisał... Ale ja tam, do jéj pokoju weszłam z kawą i przekąską dla doktora, i trzebaż nieszczęścia, zakaszlałam... troszkę tylko, mówię ci, że troszkę... A on popatrzył na mnie i powiada, że to zły kaszel, że mnie leczyć się trzeba... Ja w nogi, a dzieci za mną! „Lécz się, ciotko, i lécz się, pogadaj z doktorem i pogadaj!“ A żeby on choć przez trzy dni ust nie otwiérał, daj Boże! Chora... chora... wieczne głupstwo! Już jeżeli ja chora, to któż zdrów? Powiadam ci, że w téj ścianie pięścią dziurę zrobię, jeżeli zechcę!

Kiedy Marta mówiła to wszystko prędko, z roz-

machywaniem ramion i trzęsieniem głowy, nad którą stérczał wysoki grzebień, tymczasem Witold i Leonia, prędko także i z ożywionemi gestami cicho porozumiewali się z sobą, a potém z sali wybiegli. Justyna, wzięła rękę Marty, cicho ją pocałowała i długo w oczy jéj popatrzyła.

— Ja to wszystko rozumiém, ciotko, — wymówiła zcicha.

— Już?... rozumiész? — z trochę zjadliwym śmiéchem zadrwiła Marta, ale wnet spostrzegłszy, że coś niepotrzebnego powiedziała, wybuchnęła: — Cóż ty rozumiész? tu najmniejszéj rzeczy do rozumienia niéma? Zdrowa jestem zupełnie i wcale nie potrzebuję, aby mi jak indyczce gałki do gardła rzucali... A ty zaraz w melancholią wpadasz... „Rozumiém!“ Nic nie rozumiész... Wieczne...

Umilkła, bo wzrok jéj padł na snop roślin, które przyniosła Justyna i na stole położyła.

— A toż zkąd? — zawołała, wskazując bukiet, bardzo do różnobarwnéj miotły podobny.

— Niech ciotka zgadnie,—uśmiéchnęła się Justyna.

Czy zgadywała? Wązkie jéj wargi zacisnęły się, i pośród zmarszczek prawie zniknęły; górną połowę ciężkiéj postaci naprzód podała, a rozpłomienione przed chwilą jéj oczy przygasły i w więź roślin wpatrzyły się tak, jakby ktoś wpatrywał

4*

się w powstałe nagle przed nim widmo czegoś, co niegdyś było żyjącém, znaném, może drogiém.

— Justyna!

Na dnie stłumionego jéj głosu czuć było jakieś stłumione warczenie.

— Co, ciotko?

— Gdzie ty byłaś?

Młoda panna odpowiedziała spokojnie:

— W Bohatyrowiczach.

— A któż ci dał... to?

Ciemnym pomarszczonym palcem wskazywała bukiet, jeszcze od niego nie odrywając wzroku. Tym razem Justyna głowę nad więzią roślin pochyliła.

— Jan Bohatyrowicz, — ciszéj odpowiedziała.

Jakby ją to nazwisko w pierś uderzyło, Marta wyprostowała się, i ze szczególném połączeniem śmiéchu i tego samego co wprzódy stłumionego warczenia, wybuchnęła:

— Cha, cha, cha! No, to już u nich familijne! Wiecznie bukiety wiążą, a co który zwiąże, to miotła. Istna miotła! Widywałam ja niegdyś takie bukiety często, a ten do tamtych podobny, jak dwie krople wody! Ależ pachnie, aż po całéj sali się rozeszło! Znałam ja niegdyś i te zapachy... Uf! nie mogę...

I nie mogła już wstrzymać się, zakaszlała; pomarszczone jéj czoło nabiegło krwistym rumień-

cem. Z tym rumieńcem na czole i krztusząc się jeszcze, wymówiła znowu:

— Justyna!

— Co, ciotko?

Stała teraz przed małą dziéwczyną prosta i ciężka, podobna do słupa, stojącego na wielkich, w kwieciste pantofle obutych stopach, i wprost jéj w twarz ostro patrzyła. Po chwili palec wskazujący do wysokości własnéj twarzy podniosła, i poruszyła nim w powietrzu prawie groźnie.

— Cóż ty sobie myślisz, panienko?... — z cicha zaczęła. — Może myślisz, że jednym ludziom Pan Bóg daje serca, a drugim kamienie?... Pewno tak myślisz, ha? U ciebie serce, bo ty panienka, a u niego kamień, bo to chłop, ha? Pobaw się z kamuszkiem, pobaw się! co to szkodzi? Z nudy, z melancholii. Na pociechę po pańskich karmelkach, chłopskie miotły, póki tymczasem Pan Bóg znowu jakiego panicza nie zeszle, ha?

W ten sposób mówiłaby może dłużéj, ale do sali wbiegł lekki, strojny, głośno śmiejący się podlotek, i z radosném błyskaniem oczu przylgnął cały do niéj, jak blady motyl do ciemnego słupa.

— Otoż i postawimy na swojém! Otoż ciocia będzie musiała z doktorem porozmawiać! Już go Widzio tu prowadzi!

W salonie słyszéć się dały kroki dwu mężczyzn, z pokoju pani Emilii ku sali jadalnéj zmierzające. Marta, jak wybuchającą miną podrzucona, po-

rwała się z miejsca; i przesadziwszy kilku susami salę, wpadła we drzwi do dalszych pokojów wiodące. Za nią biegła Leonia, a potém i Witold, który doktora w salonie pozostawiwszy, próbował jeszcze ciotkę dogonić i do zamiaru swego namówić. Ale Marta, pochylona, piętami suknię wysoko za sobą podrzucając, z głośnym tętentem stóp, przebiegła parę pokojów, w których parę krzeseł, na drodze jéj stojących, przewróciła, aż wpadła na dość długi korytarz, u którego końca znajdowała się śpiżarnia. Biegnąc już wydobyła z kieszeni wielki klucz, który, dopadłszy drzwi spiżarni, drżącą z pośpiechu ręką w zamku obracać zaczęła. Oddychała przytém głośno i coś po cichu mruczała. Ale tu dopędziła ją Leonia, i zdyszana także, za suknię ją pochwyciła.

— Ciociu! — zabrzmiał na cały korytarz cienki i prawie płaczący głos podlotka,— ja cioci śliczne pantofle wyszyję! ja ciocię codzień tak wycałuję... tylko proszę...

Marta odwróciła się i wątłą dziéwczynkę nad ziemię uniosłszy, namiętnemi pocałunkami jéj włosy, oczy i usta okryła. Zarazem, do wnętrza spiżarni ją wciągnęła, prawie wniosła, drzwi za sobą i za nią z trzaskiem na klucz zamykając. Dopadł do nich teraz i Witold.

— Ciotko! — zawołał — proszę iść do doktora!

Pod ściągniętemi brwiami oczy mu gniewnie już błyskać zaczynały. Ale we wnętrzu spiżar-

ni słychać było wiele naraz odgłosów i śmiéch, całusy, brząkanie szklanych naczyń. Widocznie, w fortecy téj bawiono się wybornie. Z czołem do drzwi przyciśniętém, Witold zawołał:

— Czy ciocia nie zrobi tego, o co proszę?

Za drzwiami, głos gruby, ale w téj chwili miękki i pokorny mówić zaczął:

— Kotku ty mój, robaczku, złoty, miły! Nie trzeba, słowo honoru, mnie nic nie trzeba... Czyż ja mogę komu ambaras jaki robić i sobą ludziom głowy kłopotać?... Nie gniéwaj się na mnie, mój mileńki! Może chcesz co przekąsić?... Sérek mam doskonały i świéże powidła. Chcesz? ha? to chodź do nas!

— Niechże ciotka otworzy!

Po chwili wszyscy troje znajdowali się w spiżarni. Ileż chwil, odkąd tylko pamięcią sięgnąć mogli, przepędzili oni w tém miejscu, z tą wyniosłą, gdérliwą i często szyderską kobiétą, która ich tu całowała, na ręku nosiła, przysmakami najrozmaitszemi karmiła, czasem tak „pasła,“ że aż potém chorowali, a ona doglądała ich znowu, leczyła, drżąc o nich tak, że aż gorączkowe rumieńce żółte policzki jéj paliły, — a do snu i dla rozrywki śpiéwała im grubym głosem owe stare pieśni, które zdala od dworu unosiły się nad polami.

Wcale co innego działo się w sypialni pani Emilii. Błękitny pokój napełniała w nocy błękitna lampa, u sufitu zwisająca, światłem do księ-

życowego bardzo podobném. Oprócz téj lampy do późna zwykle paliła się tam jeszcze jedna, tuż przy łóżku pani Emilii umieszczona i czytającéj Teresie przyświécająca. Codziennie, do późna, Teresa czytywała głośno powieści, pamiętniki, podróże w trzech językach pisane, bo ta mizerna, podstarzała panna, z twarzą przypominającą zwiędłą różę i chorobliwie erotycznym wyrazem ust i oczu, wcale dobrze znała trzy obce języki. Téj nocy, książką, którą czytały, była podróż po Egipcie. Tyle naczytały się razem o wszystkich krajach Europy, że od niejakiego czasu powędrowały już daléj, do innych części świata. Egipt podobał się pani Emilii do tego stopnia, że obudził w niéj uczucie niewysłowionéj tęsknoty. Wszystko, co o nim czytała, było tak nowém, uderzającém wyobraźnią, ponętném. Czemuż nie urodziła się w Egipcie? Byłaby tam najpewniéj szczęśliwszą! Zarzuciła nad głową szczupłe ramiona, wzdychała, oczy jéj zdawały się rozszérzać, powiększać. Przerwała na chwilę czytanie.

— Jak myślisz, Tereniu? Jabym tam pewno mogła wiele chodzić, ruszać się, żyć, kochać!

— O tak!—odpowiedziała Teresa; — jakże tam ludzie, wśród takiéj natury i takich widoków, gorąco kochać muszą!

I jéj blade źrenice w daleki punkt utkwione, napełniły się także marzeniem. Stanął przed

niemi wysmukły Fellah, z oliwkową cerą, ognistym wzrokiem, i mówił takie rzeczy, które usłyszéć Terenia zawsze pragnęła, a których nigdy nie słyszała. Na świecie już świt błękitny zamieniał się w dzień biały, kiedy Teresa, długo i gorąco ucałowawszy panią Emilią, odeszła do sąsiedniego pokoiku, w którym sypiała. Ale zaledwie długiém czuwaniem zmęczona połknęła parę codziennych pigułek i ułożyła się do snu, zaledwie przed usypiającym jéj wzrokiem zjawił się i przemówił do niéj ów oliwkowy Fellah, zbudziło ją i z łóżka zerwało wołanie pani Emilii. Było to wołanie tak żałosne, że prawie bosa, w narzuconym na prędce szlafroku, wbiegła do sypialni, którą jeszcze księżycowym blaskiem oświécała błękitna lampa. W tym łagodnym blasku, pani Emilia wiła się na pościeli w męczarniach silnego ataku nerwów. Dusiła się, śmiała się i razem płakała, obu dłońmi przyciskała serce, które biło tak, że o parę kroków uderzenia jego słyszéć można było. Oprócz tego wszystkiego, kaszlała jeszcze i czuła kłócie w piersi.

Może to nie był tylko atak nerwowy, ale także skutki przeziębienia i zgryzoty. Przed dwoma bowiem dniami Witold uprosił jéj, aby przeszła się z nim po ogrodzie; wahała się długo, ale usilnym prośbom syna oprzéć się nie mogąc, poszła. W czasie przechadzki użalała się przed nim na swoje smutne życie, zapomniała, że już długo cho-

dzi i że rosa padać zaczyna. Przytém, syn nie okazał jéj dość współczucia, na skargi jéj odpowiadał milczeniem, i to ją zgryzło, bo raz jeszcze dowiodło, że nikt, nawet własne dziecko, ani zrozumiéć, ani kochać jéj nie umié. A potém znowu ten Egipt!... Słowem, dawno już nie cierpiała tak dotkliwie, jak teraz.

Teresa straciła zrazu przytomność; od toalety do szafki biegając, rozbiła flakon z perfumami i flaszkę z lekarstwem, ale co pewna, to, że zupełnie zapomniała o sobie i ze współczuciem gorącém, z gorliwością nieopisaną poiła i karmiła chorą różnemi zaradczemi środkami, grzała dla niéj wodę, ociérała ją, pocieszała. Z przyzwyczajenia już tylko fruwała drobnym i lekkim kroczkiem, ale uporządkowanie jakiekolwiek ubrania, ani nawet obawa przed rannym chłodem na myśl jéj nie przyszły, kiedy o wczesnéj, rannéj godzinie biegła budzić Martę i Benedykta. Oboje już nie spali. Marta doglądała froterowania posadzek, dokonywanego przez kredensowego chłopca, poléwała wazony u okien i jednocześnie przygotowywała herbatę dla Benedykta, którego osiodłany wierzchowiec stał już pod gankiem. Była to pora żniw, któréj część znaczną właściciel Korczyna spędzał zazwyczaj na koniu.

Kiedy Teresa, w mocno przybrudzonym szlafroku, z trochą własnych włosów, rozczochranych nad pomarszczoném czołem, wbiegła do sali ja-

dalnéj, na żółto-różowéj jéj twarzy malowało się tyle przerażenia i żalu, że Marta i Benedykt domyślili się wszystkiego. I rzecz szczególna! pomimo że wypadki podobne dość często się powtarzały w jego domu, pomimo że od lat kilku nic już na pozór nie łączyło go z żoną, Benedykt, dowiedziawszy się o co idzie, kilku skokami znalazł się na ganku, a gdy wydawał rozkazy, tyczące się zaprzęgania koni i przywiezienia lekarza z blizkiego miasteczka, wielkie ręce jego trochę drżały. Wnet potém pobiegł do pokojów żony, i wkrótce z nich wybiegł, obu dłońmi głowy swéj dotykając. Do Marty, która śpieszyła na górę po zażądane przez chorą ziółka, w przechodzie zagadnął:

— Nieszczęście z temi babami! Biédna kobiéta! męczy się okropnie! A ta znów druga, klęczy przy łóżku i fontanną płacze! O nic żadnéj dopytać się nie można!

Z ganku, potężnym głosem krzyczał na służbę o jaknajprędsze zaprzęganie koni i lecenie błyskawicą po lekarza i z lekarzem.

Około południa pani Emilia była już tylko tak osłabioną, że aby usłyszéć co mówiła, trzeba było ucho do ust jéj przykładać. W białych muślinach i haftach leżała na pościeli, z zamkniętemi oczami, z wyrazem tak cichego i łagodnego cierpienia na twarzy, że w każdym patrzącym na nię, szczérą litość budzić musiała. Więc téż Te-

resa, tuż przy jéj łóżku siedząca, wpatrywała się w Emilią wzrokiem żałosnym, a Leonia, która cichutko wsunęła się tu po odjeździe doktora, smutnie z robótką w ręku w kąciku siedziała. Wtém, do cichego pokoju doleciał turkot zajeżdżającego przed dom powozu, drzwi uchyliły się i dał się słyszéć szept Marty:

— Pan Darzecki przyjechał z młodszemi panienkami; Benedykt prosi, aby Leonia przyszła panienki bawić...

Marta mówiła jak tylko mogła najciszéj, jednak świszczący szept jéj doszedł do uszu choréj, która otworzyła oczy, niespokojnie palcami poruszyła i wymówiła:

— Darzeckie... Jak Leonia ubrana?

— Chodź do mamy! — pośpiesznie zaszeptała Teresa.

Panienka na palcach do łóżka matki przybiegła. Pani Emilia ogarnęła ją wzrokiem, który przed chwilą omdlały i zagasły, teraz nabrał trochę bystrości i blasku.

— Suknia dobra—zaszeptała chora, — ale kokarda zmięta i buciki brzydkie.

Oczami dała znać córce, aby pochyliła się nad nią, i w czoło ją pocałowała.

— Nie trzeba, aby moja córka była gorzéj ubrana od Darzeckich... które stroją się...

W téj chwili, na pochylonéj ku niéj głowie córki spostrzegła coś takiego, co ją tak przeraziło

czy podnieciło, że dość prędkim ruchem podniosła się i na łóżku usiadła.

— Loki rozfryzowane! — jęknęła.

A potém śpiesznie do Teresy mówiła:

— Moja Tereniu, niech Zofia co najprędzéj przypnie Leoni świéżą kokardę i włoży jéj na nogi warszawskie pantofelki... Ale z włosami? co tu robić z włosami?

— Zwiążę je wstążką! — zaproponował podlotek.

— Cóż robić? zwiąż wstążką! — odpowiedziała matka.— Tylko—dodała,—żeby wstążka tego samego koloru była co kokarda.

Kiedy Leonia odbiegła, zdala już i głośno panny służącéj przywołując, chora ruchem zmęczenia i nadzwyczajnéj słabości osunęła się znowu na pościel, i ledwie dosłyszanym głosem poprosiła:

— Moja Tereniu, pilnuj tylko, aby nikt tu nie przychodził, nikt a nikt... Nie mogę teraz znieść najmniejszéj fatygi... Poczytaj trochę o Egipcie... tylko nie głośno czytaj...

W błękitnéj sypialni, Teresa stłumionym głosem czytała francuzkie podróże po Egipcie; chora czytania tego słuchała w bezwładnéj nieruchomości; po salonie zaś przechadzało się dwóch mężczyzn, których wysokie postacie rozmijały się wciąż, z przechadzającemi się także trzema niedorosłemi panienkami. Darzeckie i córka Kor-

czyńskich, trzymając się pod ręce, chodziły wyprostowane i mierzonemi kroki, ale nad ich sztywnemi postaciami, rogi gorsetów zdradzającemi, małe utrefione głowy bardzo ruchliwie zwracały się ku sobie, w bardzo ożywionéj pogadance.

W rogu salonu, z otwartą książką w ręku, siedział Witold; ale nie czytał, tylko bystrym, uważnym i coraz chmurniejszym wzrokiem wpatrywał się w ojca i z kolei w siostrę. Widać téż było, że przysłuchywał się pilnie rozmowom, przez te dwie osoby prowadzonym. Istotnie, zaciekawiającą była zmiana, która zaszła w ruchach, fizyognomii i sposobie mówienia Korczyńskiego. Mogło się zdawać, że zmalał trochę i zeszczuplał,— tak nizko głowę pochylał i porywcze, rozmachliwe zazwyczaj swe gesta powściągał. Sposób, w jaki do szwagra przemawiał, powściągliwym był także, jakby starannym, a wyraz oczu i ust zdradzał wyraźną chęć przypodobania się i jednania gościa. Tylko, może właśnie ten umizg i ta staranność o stanie się przyjemnym Darzeckiemu, pogłębiły grube fałdy jego czoła i policzków, a długie wąsy opadły aż na klapy płóciennego surduta, w którym przed chwilą zamierzał udać się w pole. Gość był doskonałém przeciwstawieniem pana domu. Wysoki, cienki, tak sztywny, że możnaby go wziąć za chodzący posąg, wytwornie ubrany, chodził po salonie krokiem mierzonym, trochę drobniejszym, niżby z natury wy-

padało, z lekkiém poskrzypywaniem błyszczącego obuwia. Ręce trzymał w kieszeniach, a blada, wązka, delikatna i krótkim, siwiejącym zarostem otoczona twarz jego, okrytą była wyrazem uczuwanéj i wielostronnéj wyższości majątkowéj, rodowéj, cywilizacyjnéj. Mową płynną i monotonną wyrażał on Korczyńskiemu głębokie ubolewanie nad tém, że niepokoić go musi upomnieniem się o dług swój, czyli o niewypłacony mu dotąd posag żony...

Korczyński, przy piérwszych zaraz słowach, téj sprawy dotyczących, drgnął, jak gdyby mu kto ostrze jakieś za skórę zapuścił; nagle i dziwnie lekko do bocznego stolika poskoczył, z uśmiéchem prawie zalotnym wzięte ztamtąd cygaro szwagrowi podał.

— Dziękuję, przed obiadem nie palę, — rąk z kieszeni nie wyjmując i przechadzki nie przerywając, odmówił Darzecki.

Pan Benedykt z wyrazem prośby popatrzył mu w oczy.

— A może?... wcale dobre... Przywiozłem takich parę pudełek z miasta, na wypadek takich gości, jak kochany szwagier... tylko takich gości!

— Dziękuję, nie, — powtórzył gość z ledwie spostrzegalném i piérwszém odkąd tu przybył poruszeniem głowy, a zaraz potém mówił daléj: — Właściwie, te kilkanaście tysięcy są bagatelką, o któréj ani mowy pomiędzy nami być nie powin-

no... Pojmuję dobrze solidarność obywatelską, będącą niejako fundamentem społecznéj budowy. Powinniśmy podtrzymywać się wzajem, chociażby z ujmą własną... tak, chociaż-by z uj-mą. Człowiek cywilizowany nie może doświadczyć większéj przykrości nad to, kiedy mu przychodzi pogwałcić w najmniejszéj rzeczy te węzły, te sympatye, te najlepsze chęci, które uczuwa dla swoich blizkich, tak, dla swo-ich bliz-kich...

— Procenta płacę regularnie,—nieśmiało przerwał Benedykt.

Mała siwiejąca głowa, na sztywnym karku osadzona, uczyniła drugie z rzędu, zaledwie dostrzegalne poruszenie, tym razem twierdzące.

— Regularnie, tak, re-gu-lar-nie. Jesteś kochany szwagrze człowiekiem pełnym honoru i serca, i za prawdziwe szczęście uważam sobie, że ci to przyznać mogę...

— Więc może i nadal...— szepnął Benedykt.

Błyszczące obuwie gościa głośniéj trochę skrzypnęło, i była to jedyna oznaka, że czuł się cokolwiek zakłopotanym.

— Niepodobna, kochany panie Benedykcie... Gdyby człowiek mógł zawsze być panem okoliczności, bezwarunkowo miałbym sobie za punkt obywatelskiego honoru, tak ho-no-ru, a także za miłą powinność pokrewieńską i przyjacielską, uczynić ci i nadal, jak dotąd czyniłem, folgę

ustępstwo, ułatwienie w twoich interesach... tak jak do-tąd czyniłem...

— Za co ci, kochany szwagrze, najpokorniéj wdzięczen jestem — przerwał znowu Benedykt, a głos jego był istotnie bardzo pokorny.—Dobroć i względność twoja—ciągnął,—ośmiela mię...

Wtém, jak jasne motyle pomiędzy nagie ciernie, w rozmowę tę wpadły trzy panienki. Trzymając się pod ręce, drogę dwom rozmawiającym mężom zabiegły, i na paluszkach wstecz przed nimi idąc, chórem srébrzystych głosików zaczęły:

— Papciu, kuzynki mówią, że salon nasz jest bardzo pusty i wcale niełądnie wygląda... I ja jestem tego samego zdania...

— Wujaszek mógłby już doprawdy nowe meble sprowadzić i lepsze dywany sprawić!— jednogłośnie powtórzyły dwie niedorosłe córki Darzeckiego.

— U nas na pensyi nawet salon daleko jest piękniejszy, a jabym tak chciała, aby nasz był choć taki, jak tamten...

— Pomiędzy oknami powinny być lustra i konsole,— zadecydowały kuzynki.

— Papciu, mój papciu! proszę sprowadzić lustra i konsole! Doprawdy, mnie aż wstyd, że u nas takie nagie ściany, — żałośnie i prawie ze łzami ojcu w oczy patrząc, wołała Leonia.

Benedykt patrzył z pewnym rodzajem osłupienia na te trzy śliczne istotki, aż krzyknął prawie:

— No, nie przeszkadzajcie nam rozmawiać! Lalkami wam jeszcze bawić się, a nie salony urządzać...

Panienki trochę rozśmiészone, a trochę zagniéwane frunęły ku stronie salonu, w któréj siedział Witold. Piérwszy raz, z siedzenia swego nie powstając, wmieszał się on do ich rozmowy.

— Możebyś ty, Leoniu, mozaikowéj posadzki i fresków na suficie chciała...

Nie dosłyszawszy gniéwnéj ironii, z jaką to wymówił, cmoknęła bledziutkiemi wargami tak, jakby czegoś smacznego skosztowała.

— Czemużby nie!—zawołała,—to prześliczne... ja to widziałam...

I prędko, z zachwyceniem takiém, że aż oczy jéj błyszczały, opowiadała kuzynkom o wszystkich pięknościach, które czasem w wielkiém mieście widywała. Ale kuzynki daleko od niéj więcéj o tym przedmiocie mówić mogły; bywały przecież u ciotecznéj swéj babki, bardzo bogatéj hrabiny, która to właśnie skojarzyła małżeństwo pomiędzy ich najstarszą siostrą a swoim krewnym, niebogatym hrabią. O nim to w téj chwili, o tym przyszłym zięciu swoim, mówił Darzecki Korczyńskiemu.

— Zrozumiész to łatwo, kochany szwagrze, że wchodząc do takiéj rodziny, córka moja musi posiadać wyprawę odpowiednią przyszłemu otoczeniu i stanowisku, tak sta-no-wis-ku. Tę sumkę

właśnie, o którą z przykrością, z rzetelną przykrością upominam się u ciebie, przeznaczamy z żoną na jéj wyprawę...

— Tak wielką sumę na wyprawę! — nie mogąc już powściągnąć się, potężnym głosem wykrzyknął Benedykt, i ręce szeroko rozpostarłszy, jak wryty stanął.

Ale zaraz musiał naprzód postąpić za gościem, który ani na sekundę swych drobnych i poskrzypujących kroków nie zwalniając, uśmiéchnął się i odpowiedział:

— Nie całą, nie całą... połowę pewno... Cóż szwagier myśli? Srébra, futra, koronki i inne tam różne kobiéce fatałaszki, to są rzeczy kosztowne... bardzo kosztowne. Fortepian z Paryża sprowadzić musimy; żona moja chce i ja się na to zgadzam, aby córka nasza miała fortepian własny, a kiedy już kupować, to coś pięknego, wykwintnego, doskonałego, tak, wy-kwint-ne-go i do-sko-na-łe-go! Prawda! Szwagier sam pewno przyzna mi racyą, najzupełniejszą racyą.

Czy Korczyński wszystkim koniecznym potrzebom, przez szwagra wymienionym, racyą przyznawał?— sam on tylko wiedziéć mógł o tém; ale co pewna, to, że z pozoru wyglądał na osłupiałego i całkiem pognębionego człowieka. Milczał, myślał, ze spuszczoną głową długi wąs do połowy prawie w usta wpychał i zębami zawzięcie przygryzał, aż nakoniec z cicha wymówił:

— Możebyście w tym roku choć na połowie téj sumy poprzestali?... kilka tysięcy mógłbym jeszcze jakimkolwiek sposobem dostać, ale kilkanaście, od razu...

Uderzył się w czoło tak silnie, aż po całym salonie rozległo się jakby klaśnięcie z bicza, a po wązkich ustach Darzeckiego przebiegło drgnienie niesmaku. Jednak tym samym co wprzódy głosem, zaczął znowu:

— Niepodobna, kochany szwagrze, tak nie-po-do-bna! Oprócz wyprawy córki, mamy inne potrzeby i wydatki, a sam przyznasz, niezawodnie to przyznasz, że czasy teraz są ciężkie, bardzo ciężkie...

— Niech dyabli wezmą takie czasy! — coraz trudniéj w tonie delikatności utrzymać się mogąc, wykrzyknął Benedykt; ale zaraz głos zniżając i nader uprzejmie dodał: — Szwagierek przynajmniéj na ciężkie czasy wyrzekać nie możesz...

— Kto wié? — ze sfinksowym uśmiéchem i melancholijném spojrzeniem w dal, zaczął Darzecki,—tak, kto wié...

Znowu w rozmowie dwu mężczyzn ta sama co wprzódy zaszła przeszkoda. Trzy panienki drogę im zabiegły, i na paluszkach przed nimi idąc, z oczami ku Korczyńskiemu wzniesionemi, chórem zaszczebiotały:

— Papciu! wujaszku! wpadłyśmy na wyborny, doskonały pomysł!

— Śliczny pomysł! — wzbił się nad inne głos Leoni. — Niech papcio sprowadzi cztéry posągi, koniecznie cztéry: dwa pomiędzy oknami staną, a dwa po rogach salonu!...

— Teraz modnie salony posągami ubiérać...

— U nas na pensyi są posągi, wprawdzie gipsowe, ale to nic nie szkodzi... zawsze to bardzo zdobi salon... Mój papciu, mój złoty, proszę do naszego salonu sprowadzić cztéry posągi, choć gipsowe...

Budząc się z nowego osłupienia, Benedykt krzyknął prawie:

— Zwaryowałaś, Leoniu, czy co? Ruszaj mi zaraz z drogi i rozmawiać nie przeszkadzaj!

Znowu z tém samém połączeniem śmiéchu i obrazy, podlotki frunęły w inną stronę salonu, i znowu Witold, którego oczy iskrzyły się pod ściągniętemi brwiami, do siostry przemówił:

— No poprośże jeszcze ojca, żeby ci jaki pałac królewski do Korczyna sprowadził!

Darzecki zaś, za odbiegającemi córkami patrząc, z pobłażliwym uśmiéchem mówił:

— Wesoła, swobodna, różowa młodość, wiek szczęśliwy, marzeń pełny!...

A potém zaraz do ostatniego wyrazu przerwanéj swéj mowy powrócił:

— Kto wié? Kto na pewno wiedziéć może, dla kogo los łaskawym jest lub surowym? Nie narzekam, nie narzekam; w porównaniu z innymi

w interesach stoję dobrze, tak bar-dzo do-brze. Jednak równowaga ich trochę w ostatnich czasach zachwianą została... tro-chę...

W nawpół spuszczonych oczach Korczyńskiego przeleciał przy tych słowach gościa, zjawiający się w nich czasem błysk mądréj i nieco złośliwéj filuterności, lecz zgasił go natychmiast gruby cień troski.

— W zeszłym roku, potrzebowaliśmy dom nasz powiększyć i trochę przyozdobić... żonie zachciało się małéj oranżeryi, do któréjby wychodzić było można prosto z sali jadalnéj... córki pragnęły naczéj umeblować swoje pokoiki... ja znowu popełniłem szaleństwo, tak, przyznaję to, sza-leństwo — powiozłem je wszystkie za granicę... Podróż sześciu osób kosztowała wiele, ale sprawienie im téj przyjemności było prawdziwą potrzebą serca, któréj odmówić sobie nie mogłem. Słowem, od lat kilku, to jest od czasu, kiedy starsze órki dorosły, wydawałem trochę za wiele, tak, za wie-le, i dla tego równowaga trochę się zachwiała...

Wzburzenie podnosiło széroką pierś Korczyńskiego. Dając mu trochę folgi, z całych sił przecież hamując się, zauważył:

— Ależ, kochany szwagrze, zawsze byłem zdania, że te powiększania domu, te oranżerye i te wojaże były dla was wcale niepotrzebne...

O jednę czwartą tonu głos podnosząc i z widoczniejszym niż kiedy wyrazem własnéj wyższości na twarzy, Darzecki odpowiedział:

— To względne, kochany panie Benedykcie; tak bar-dzo wzglę-dne. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a cywilizacya stwarza w nas potrzeby, gusta, przyzwyczajenia, dążenia, tak, dą-żenia, które są naszém życiem, których wyrzekając się gwałcimy niejako własną naturę, samę naszę duszę. Człowiek ucywilizowany jest rozkochany w pięknie, w harmonii, w rzeczach wykwintnych, wzniosłych; pragnie téż wrażeń, duchowego zasiłku, umysłowego wzrostu, których bez wytwornego otoczenia, bez podróży i tym podobnych zbytków życia posiadać nie można. Zresztą, mam córki i nikt mi tego za złe brać nie powinien, że pragnę dla nich losu najświetniejszego, tak, naj-świet-niej-sze-go. Nakoniec, znasz dobrze, kochany szwagrze, moje stosunki familijne. Jedna z ciotek moich wysokie zajmuje miejsce w kołach arystokratycznych... stryjeczny brat mój, powiększywszy znacznie fortunę, posiada dom po książęcemu prawie urządzony. Z tych dwóch źródeł płyną liczne moje znajomości i kuzynowstwa, stosunki zaś do wielu rzeczy obowiązują, niejako zmuszają. Jest to moralna presya, któréj poddajemy się chętnie, bo daje nam w zamian znaczną, bardzo zna-czną sumę przyjemności zupełnie wyższych. Eksplikuję się przed to-

bą, kochany szwagrze, ponieważ z przykrością, z rzetelną przykrością przychodzi mi kłopotać cię o tę sumkę... Ale znam cię, kochany szwagrze, jako człowieka honoru, serca i rozumu, więc nie wątpię, że gdy nad pozycyą moją zastanowić się zechcesz, przyznasz mi racyą, najzupełniejszą racyą!

Z powierzchowności sądząc, nie widać było, aby Korczyński przyznawał szwagrowi najzupełniejszą racyą; nic o tém jednak nie powiedział. W zamian, zniżonym i prawie pokornym głosem mówić zaczął o tém: że długu tego ani na chwilę uważać nie przestał za najsprawiedliwszy; że procenta regularnie opłacał i nawet przed kilku laty, na żądanie szwagra stopę ich podniósł; że za wielkie wyświadczone mu dobrodziejstwo uważa, iż tak długo nie żądano od niego wypłacenia téj sumy. Potém, z kolei, eksplikował się z przyczyn, które tę wypłatę czynią dla niego niezmiernie trudną i prawie rujnującą; wyliczał swe dochody i wydatki, ciężary obarczające Korczyn, staranie się o zachowanie i ulepszanie majątku. Mówił długo, a ponieważ nie chciał, aby dzieci słyszały wszystko, co mówił, głos zniżał prawie do szeptu, co mowę jego czyniło podobną do odbywanéj spowiedzi. Była to spowiedź widocznie męcząca, bo plecy garbiły mu się coraz więcéj i wzrok coraz nieruchomiéj tkwił w ziemi, a na sfałdowane czoło występowały krople potu. Na-

koniec, Darzecki u jednéj z kanap otoczonych fotelami zatrzymał swe drobne, poskrzypujące kroki, i na jeden z fotelów opuścił się w ten sposób, że można go było wziąć za siadający posąg. Benedykt usiadł także, i przestając mówić, słuchał długich i płynnych wywodów szwagra: o różnych źródłach kredytu istniejących, a także takich, któreby tylko istniéć mogły; o kapitale, który ludzie nie dość postępowi znieruchomiają w niewycinanych lasach; o zyskach, które on sam spodziéwa się osiągnąć z powiększonéj swéj gorzelni i nowo przez się założonéj olejarni; o łączeniu przemysłu z gospodarstwem rolném; o różnych systemach gospodarskich we Francyi, Niemczech, Belgii, Holandyi. Skończył na tém, że doradzał szwagrowi albo sprzedanie zaniemeńskiego lasu, albo pożyczenie wiadoméj sumy u jednego z kapitalistów miejskich, z którym on sam posiada niejakie stosunki i szwagra zaznajomić gotów, który wprawdzie zażąda procentu wyższego, daleko nawet wyższego nad ten, jaki Benedykt płacił dotąd siostrze, co jest smutną, ale nieuniknioną koniecznością, budzącą w nim samym żal, rzetelny żal, ale jeżeli tylko kochany szwagier zastanowić się zechce, nie tylko tego nalegania i tych strat, które poniesie, za złe mu nie poczyta, ale pozycyą jego i jéj potrzeby wyrozumiawszy, przyzna mu niezawodnie racyą, naj-zu-peł-niej-szą ra-cyą. Korczyński jednemu tylko z tych pun-

ków racyą przyznawał: Winien był siostrze kilkanaście tysięcy; oddać je, skoro tego stanowczo żądano, było jego bardzo naturalnym i prostym obowiązkiem. O sprzedaży lasu myśléć będzie i z kapitalistą zaznajomi się. Prawdopodobnie drugiego środka użyje raczéj niż piérwszego, chociaż jakim sposobem z téj lichwy wylézie, gdy raz w nią wlézie, sam nie wié i nie rozumié. Szwagier utrzymuje, że racyonalniéj byłoby las sprzedać; może i jest w tém słuszność, ale są znowu względy, które...

Umilkł i zamyślił się najmłodszy z trzech niegdyś braci Korczyńskich,— tak się zamyślił, że przypuścić było można, iż na chwilę o szwagrze i ciężkim kłopocie swoim całkiem zapomniał. Po chwili twarz do saméj prawie twarzy Darzeckiego przysuwając, jak tylko mógł najciszéj szepnął:

— Szwagier może pamięta, że tam... jest... to... tamto... mogiła!...

— Jaka mogiła?— zadziwił się Darzecki.

— Andrzeja... i to... tamto... tego... tych, którzy z nim razem...

Po chwili dokończył:

— Wszystko to przeszło, i wiadoma rzecz, że nawet wspominać o tém nie trzeba. Ale wié szwagier, czasem, kiedy na to... tamto... spojrzę i przypomnę sobie, zdaje mi się, że to kościół...

Teraz Darzecki milczał chwilę, przypomniał sobie także, — i oczy, których blade źrenice zmą-

ciły się trochę i zamigotały, wzniósł ku sufitowi, potém z westchnieniem zaczął:

— Sentymentalność... tak, jest to, kochany szwagrze, sen-ty-men-tal-ność, któréj na nieszczęście, każdy z nas mniéj albo więcéj ulega, a która już nam tyle złego narobiła...

— Pewno, pewno! tyle złego! — głośno przerwał Benedykt, i z przekonaniem, prawie z zapałem dokończył:—Szwagier ma pod tym względem racyą, najzupełniejszą racyą!

Umilkli, salon napełniały już tylko cienkie i mieszające się z sobą głosy panienek, które na trzech krzesłach w rząd ustawionych siedząc, z ptaszęcemi ruchami ładnych główek, po ptaszęcu świegotały:

— Najmodniejsze teraz pantofelki z szarego płótna, ze skórzanemi deseniami...

— Nie cierpię płóciennych... dla mnie najpiękniejsze z wyzłacanéj skórki... tylko trzeba koniecznie, aby miały wązkie nosy...

— Ach, wązkie nosy... koniecznie! koniecznie! U moich są za szérokie, prawda?

I podnosząc nieco małą nóżkę, Leonia ze smutkiem na twarzy, ze zmarszczoném trochę czołem, ukazywała kuzynkom pantofelek swój, na ażurową pończoszkę włożony.

Darzecki powstał, i odmawiając śniadania, na które zapraszał go Benedykt, wymawiając się tém, że dziś jeszcze córki swoje zawieźć musi do

jednéj ze swych ciotek, o trzy mile ztąd mieszkającéj, brata żony żegnał i bratowéj najgłębsze ubolewanie nad jéj chorobą oświadczyć polecał.

W przedpokoju mówić zaczął o Zygmuncie i nowém zajęciu, które ten młody człowiek dla siebie znalazł, a które raz jeszcze świadczyło o jego wyższych, niepospolitych zdolnościach. Zabrał się mianowicie do rozkopywania tak zwanych okopów szwedzkich, znajdujących się w blizkości osowieckiego dworu i niezmiernie się do téj roboty zapalił. Znalazł już nawet jakiś od rdzy podziurawiony pałasz i kilka monetek, ze szwedzkiemi napisami.

— Zadziwiająco zdolny... wielostronnie utalentowany młody człowiek... genialny, tak, powiedziéć można... ge-nial-ny!

Te pochwaly synowcowi jego oddawane, nie zdawały się bardzo Benedykta uszczęśliwiać; słuchał ich z trochę posępnym, a trochę żartobliwym wyrazem twarzy.

— Szkoda tylko—zauważył,— że do gospodarstwa, to już, jak się zdaje, najmniejszego talentu nie posiada.

— Cóż szwagier chce?—z niezwykłém ożywieniem ukochanego siostrzeńca żony bronił Darzecki.—Cywilizacya ma swoje prawa. Jest to chłopak ucywilizowany, tak, wysoko nawet ucy-wi-li-zo-wa-ny. Przytém, artysta! Czy podobna wy-

magać, aby go te rzeczy... te małe i niziutkie rzeczy interesowały?...

— Kiedyż bo — zarzucił Benedykt,— on podobno i nic nie maluje teraz...

— A nie, a nie! Szkoda, tak, nieodżałowana szko-da! Ale inaczéj być nie może... Artyście trzeba wrażeń, swobody, ciągłych widoków piękna... Gdzież on to wszystko tu znaleźć może? Przytém, pomiędzy temi oborami, stajniami, parobkami etc., etc., czuje się on przygnębionym, obniżonym, unieszczęśliwionym...

Rozmowa ta o synowcu, zamiast łagodzić, wzmagała jeszcze wzburzenie i rozdrażnienie Benedykta.

— A na miłosierdzie bozkie! — zawołał; — czy to ziemia jest rajem, żeby od niéj wszystkiego dobrego wymagać było można! Czegoż ten gagatek więcéj od losu żąda? Ma majątek, talent, matkę, która za nim świata nie widzi, młodą i śliczną żonę, tak w nim rozkochaną, że aż czasem ludzi śmiészy...

Na ganku już stojąc, w płaszczu jakiegoś przedziwnego i zapewne bardzo modnego kroju, zlekka na ramiona zarzuconym, Darzecki pochylił się ku uchu szwagra tak, jakby to czynił posąg, i szepnął:

— Nie mów tylko nic o jego żonie! Ładna i dobra kobiécina... koligatka przytém i nie biédna... ale zdaje się... że Zygmusia już znudziła...

Cóż szwagier chce? Natura artystyczna! Nudzi go to, co posiada; pragnie tego, czego nie ma...

Z temi słowami i przy odgłosach pożegnalnych całusów panienek, wsiadał do powozu. Korczyński zawołał z ganku na stajennego chłopca, aby mu konia siodłano i szérokiemi krokami, wąs na palec motając, do salonu wrócił. Musiał jeszcze przed wyjechaniem w pole z synem się rozmówić. Innym razem, możeby tę rozmowę na późniéj odłożył, polu i odbywającym się śród niego robotom piérwszeństwo dając. Ale teraz, świéżo nań spadłą troską rozjątrzony, musiał wypowiedzićć synowi uczute względem niego niezadowolenie.

— Witold! — zawołał od drzwi salonu, — czemuś to nie był łaskaw porozmawiać trochę z wujem i na ganek go przeprowadzić?

Młodzieniec, który plecami do salonu zwrócony stał przed jedném z okien, powoli zwrócił się ku ojcu, ale przez chwilę nic nie odpowiadał. W delikatnych i ruchliwych rysach jego malował się niepokój.

— Dla czego obchodzisz się z wujem, jak gdyby to był twój koleżka, z którym wolno ci rozmawiać lub nie rozmawiać, być grzecznym albo niegrzecznym? Dziesięciu słów do niego nie przemówiłeś; gdy odjeżdżał, ukłoniłeś mu się zdaleka i nie wyszedłeś nawet do przedpokoju, aby mu pomódz do włożenia płaszcza? Czy dla tego tak

postępujesz, że jest to człowiek, którego ja łaski potrzebuję? który jedném swojém słowem może mnie teraz z największego kłopotu wybawić? Czemuż nie odpowiadasz?

Jeszcze nie odpowiadał, ale nie przez nieśmiałość, owszem mnóztwo wyrazów cisnęło mu się na usta, które kilka razy zadrżały, otworzyły się i zamknęły znowu. Głębsze jakieś uczucie, niż nieśmiałość, wstrzymywało go od mówienia. Powieki miał spuszczone, ale gdy raz na ojca wzrok podniósł, w oczach jego drgał wyraz głębokiego żalu i dręczącego wahania.

— Czemuż nie odpowiadasz? Czyś oniemiał?— krzyknął już Benedykt.

— Nie chciałbym, ojcze, rozgniéwać cię i zmartwić.

Benedykt gniéwem wybuchnął:

— Facecya! jużeś to zrobił! Rozgniéwałeś mnie i zmartwiłeś, a teraz przynajmniéj powiédz, dla czego tak postępujesz z wujem?

Smutne dotąd oczy Witolda błysnęły; zwykłym sobie ruchem ręce w tył założył, i podnosząc czoło, prędko i dość głośno wymówił:

— Dla tego, mój ojcze, że dla pana Darzeckiego nie mam szacunku, a nigdy nie zniżę się do nadskakiwania człowiekowi, którego nie szanuję.

Zdumienie Benedykta granic nie miało; wpatrzył się w syna osłupiałemi oczami i po chwili dopiéro zdołał wymówić:

— A toż co? zkąd? dlaczego?

Ale ani wiedział, ani pomyślał o tém, że natarczywemi pytaniami otwierał ujście wartkiemu potokowi i naciskał grunt przepojony ogniem.

— Dlatego — z kolei wybuchnął Witold, — że jest to pyszałek, sybaryta, samolub, nie dbający o nic, oprócz własnéj pychy i wygody, nie widzący daléj, niż do końca swego nosa, który zadziéra pod obłoki dla tego, że ma większy od innych majątek, ciotkę hrabinę i stryjecznego brata wzbogaconego nie wiedziéć w jaki sposób, zapewne potem i krzywdą bliźnich. Nie tylko ludziom tego rodzaju sam nadskakiwać nie myślę, ale bolało mię... o! jak mię bolało, że ty, mój ojcze nadskakiwałeś jemu i robiłeś się przed nim takim małym, pokornym...

Boléć go to musiało istotnie, bo i teraz ręką powiódł po czole, a wzrokiem twarz ojca mijając, gdzieś patrzył daleko. Ale u Benedykta zdziwienie przytłumiło wszystkie inne uczucia, nawet gniéw.

— Patrzcie, jaki mi sędzia!— wymówił z przekąsem.—Jeszcze ci nie pora...

— Pora, ojcze — popędliwie przerwał chłopak, — zawsze pora i widziéć i mówić prawdę. Młody jestem, ale właśnie dla tego czuję, że mam prawo sądzić tych, których sposób myślenia i życia znajduje się w zupełném sprzeciwieństwie ze

wszystkiemi ideałami młodego, lepszego, mojego świata!

O takich rzeczach, jak ideały, lepsze światy i t. p., Benedykt od tak dawna już nie myślał, nie mówił i nie słyszał, że i teraz ominęły one organa jego słuchu, żadnego na nich nie czyniąc wrażenia. Głęboko wzamian dziwiło go i oburzało to, co syn jego powiedział o Darzeckim i o nim samym. Szwagra przywykł lubić i szanować, nie pytając wcale, za co go lubi i szanuje. Był mu wdzięczen istotnie za wieloletnie nieupominanie się o wypłacenie długu; nakoniec, obejście się Darzeckiego, jego wykwintność, koligacye, sam nawet sposób mówienia, imponowały mu nieco, bez własnéj o tém jego wiedzy. Wszystko to było przyczyną, dla któréj słowa syna obudziły w nim przedewszystkiém zdziwienie. Był przecież i rozgniéwany.

— Raczysz więc miéć mi za złe — zaczął,— że byłem uprzejmym dla człowieka, który uszczęśliwił moję siostrę i mnie wyświadczał dotąd ważną przysługę?

— Nie uprzejmym, ojcze — zcicha poprawił Witold,—ale nadskakującym, pokornym...

— Głupiś! — rzucił Benedykt, którego jednak posępne źrenice, zmąciły się przy słowach syna i na chwilę utkwiły w ziemi;— alboż ty znasz życie i jego konieczności? Zapewne, może z Darzeckim obchodzę się trochę... trochę inaczéj, niż

z innymi; ależ on prawie los nas wszystkich w ręku swych trzyma... Zresztą szanuję go istotnie...

— Za co? — bystro wprost w oczy ojca patrząc,— zapytał Witold.

Było to pytanie, którego Benedykt sam sobie nigdy nie zadawał, i które dlatego właśnie sprawiło mu wielką przykrość.

— Jakto: za co? co, za co? jakie za co? Choćby za to, że jest dobrym mężem i ojcem, i interesa swoje dobrze prowadzi!

— Czy jesteś pewien ojcze, że choć to jedno dobrze czyni? A też oranżerye, wojaże, paryzkie fortepiany, stosunki z tym kapitalistą i zachwia-nie ró-wno-wa-gi?...

Ostatnie wyrazy chłopak wymówił z tak wyborném naśladowaniem układu ust i akcentu mowy Darzeckiego, że Benedykt odwrócił się na chwilę, by ukryć uśmiéch mimowoli wybiegający mu na usta. Bardzo jednak poważnie i z powracającym gniéwem odrzucił:

— Głupiś! co ty tam znasz się na tém! Dla czegoż przynajmniéj kuzynek swoich bawić się nie starałeś? One chyba żadnych jeszcze ciężkich grzéchów nie popełniły, za które czułbyś się w prawie wysyłać je do piekła?

— One same, mój ojcze, są jednym grzéchem przeciw zdrowemu rozsądkowi i postępowi kobiét popełnionym! — z wybuchającym na nowo zapałem, zaczął Witold. — To są, mój ojcze, konsu-

mentki, które z pewnością nic nigdy dla cywilizacyi nie wyprodukują. Co ten stary kołek w płocie prawił o cywilizacyi, fałszem jest i potwarzą na cywilizacyą. Córki jego nie są ucywilizowane kobiéty, ale światowe sroki, które w swych ptasich główkach dwóch ucywilizowanych myśli nie mają, choć czasem o literaturze i muzyce mówią...

— Witold! — zawołał Benedykt, — nie pluć mi tak na krewnych!

Ale chłopak, tego wykrzyku ojca może nawet nie słyszał. Po czole przepływały mu rumieńce.

— Siostra moja na téj saméj znajduje się drodze,—coraz prędzéj i zapalczywiéj mówił. — Dawno już, mój ojcze, pomówić z tobą chciałem o niéj, ale wahałem się... nie śmiałem... Teraz powiém. To mój obowiązek i moje prawo. Jestem jéj bratem i kochaliśmy się od dzieciństwa. Kierujecie ją na lalkę, na taką samą światową srokę...

— Witold!

— Tak, mój ojcze, na lalkę i światową srokę, która ledwo od ziemi odrosła, a już jéj w głowie pantofle i posągi! Pantofle i posągi! Oto uczucia i myśli, grunt, na którym wzrasta przyszła kobiéta i obywatelka...

— Witold!

— Tak, mój ojcze! Marnujecie mi siostrę i to mnie boli, bo nie jest ona ani złą, ani głupią, ale

takie niestosowne wychowanie, takie przykłady zrobią ją najpewniéj, jeżeli nie zupełnie złą, to przynajmniéj głupią sroką, gęsią, papugą...

— Witold! milcz!

Tym razem, wykrzyk był tak namiętny i głośny, że młodzian umilkł.

— Milcz! milcz! milcz, błaźnie!—coraz namiętniéj powtarzał Korczyński, i z oczu ciskał błyskawice.

Długo nic więcéj przemówić nie mógł, aż nakoniec zdławionym głosem rzucił:

— Jesteś złym i zarozumiałym chłopcem, który nic nie szanuje i nikogo nie kocha. Nikogo nie kochasz i wszystkich krytykujesz, krewnych, siostry, nawet ojca... ojca, który jednak ciebie... w tobie... No! cóż robić?... Niech jeszcze i to...

I prędko odwróciwszy się, szérokim krokiem wyszedł z salonu. Witold, pozostał jakby przykuty do miejsca, blady, z zagryzioną wargą i gorejącym wzrokiem. Dwa wybuchliwe temperamenta, dwie rozdrażnione dusze: ojca i syna, starły się z sobą, i scenę tę wykrzesały. Byli bardzo do siebie podobni, a podobieństwo to stało się jedną z przyczyn gwałtowności starcia, przygotowującego się zresztą od kilku tygodni.

Od kilku tygodni, od piérwszego prawie dnia przyjazdu Witolda do domu po dwuletniéj w nim niebytności, syn spostrzegał w ojcu i w ojcowskim domu mnóztwo rzeczy, które go dawniéj

wcale nie raziły, a teraz kłóły w oczy, w serc i w mózg; ojciec zaś uczuwał ze strony syna przymus, przemilczanie, chłód... Teraz gorzka uraza, którą w dumnego chłopca uderzyły krzyki i obelżywe słowa ojcowskie, mieniła się na pobladłéj jego twarzy z wyrazem gryzącego żalu. Widział dobrze, że w oczach odwracającego się od niego ojca, zamigotały łzy. Uraza jednak przemogła.

— Milczéć!— zawołał przez zaciśnięte zęby.— Dobrze! O! pewno, że będę milczał, i na takie ubliżenia nie narażę się już nigdy.

Ale w téj saméj chwili, inném znowu uczuciem zdjęty, rzucił się ku drzwiom, i bez tchu prawie wypadł na ganek. Zobaczył ojca, wsiadającego na koń i zbiegłszy ze wschodów ganku, tuż prawie przy koniu stanął:

— Mój ojcze! może zamiast czapki weźmiesz swój kapelusz z szérokiemi brzegami, bo słońce dziś bardzo dopieka...

Nie podnosząc schylonéj twarzy, z któréj długie wąsy aż na surdut mu spadały, i na syna nie patrząc, Benedykt krótko ofuknął:

— Idź precz!

I w téjże chwili ku bramie dziedzińca pocwałował. Wybornym był jeźdźcem. Wysoki, silny, jakby zrosły z grzbietem końskim, pomimo swéj ciężkości, pięknie na koniu wyglądał. Niegdyś, w dziecinnych i pacholęcych latach, Witold za-

chwycał się widokiem siedzącego na koniu ojca. Uwielbiał go wtedy jeszcze więcéj, niż zwykle i pragnął stać się do niego podobnym. Ale dziś, dalekim był bardzo od poetyzowania téj postaci, która na domowym, lecz zgrabnym wierzchowcu z siłą i mimowiedną fantazyą osadzona, miała w sobie istotnie jakąś szlachetną, dzielną, z błękitnych mgieł przeszłości wyłaniającą się rycerskość. Ofuknięty znowu, zbladł jeszcze bardziéj niż wprzódy, cofnął się i do krwi prawie przygryzając wargę, wzrok utkwił w ziemię. Z gorzkiego i gniéwnego zamyślenia obudził go głos, tajemniczo i jakby trwożnie wołający:

— Witold! Witold!

Podniósł wzrok i zobaczył wyglądającą zza węgła domu głowę, na piérwsze wejrzenie dość szczególny pozór mającą. Była to głowa mężczyzny, dwadzieścia kilka lat miéć mogącego, wielka, obrosła niezmierną gęstwiną rudawych i mocno rozczochranych włosów, z twarzą wielką, o rysach kształtnych, ale grubych, okrytych cerą tak ogorzałą, że prawie jak krew czerwoną, i u dołu policzków obrosłych również rudawą i rozczochraną gęstwiną włosów. Pośród téj grubéj, czerwonéj, obrosłéj twarzy jaśniał szereg zębów, białych jak śniég, ukazujących się w uśmiéchu trochę gapiowatym, a trochę jak u małego dziecka niewinnym i wesołym. Niewinnie téż, wesoło, przyjaźnie, błękitem i srébrem świéciła

para wielkich, podłużnych oczu tego człowieka. To właśnie połączenie dziécięcéj prawie niewinności i wesołości, z grubością rysów, czerwonością cery i obfitością jaskrawych włosów, nadawało charakter szczególny i zaciekawiający téj głowie, należącéj do potężnie wzdłuż i wszérz rozrosłego, ciężkiego, muskularnego, w krótką, szarą siermięgę i wysokie zrudniałe bóty ubranego ciała. Z szérokich pleców tego wielkiego, niewinnie i gapiowato, zębami i oczami śmiéjącego się chłopca, stérczały dwie wysokie i suche linie, w grube sznury zaopatrzonych wędzideł.

— Julek! A co? — zawołał Witold, którego chmurna twarz rozpogodziła się w mgnieniu oka.

Ale wysoki chłopiec nie odpowiadał nic, tylko tajemniczemi gestami ręki i głowy przyzywał go ku sobie.

Witold, kilku skokami znalazł się przy nim, a wtedy i on grubym szeptem mówić zaczął:

— Jeżeli Witold chce dziś na kiełby jechać, to proszę teraz, bo pod wieczór może dészcz spadnie...

— Dobrze! dobrze! ale czegoż ty, Julek, tak szepczesz i chowasz się za ścianę?

Rudy chłopiec wielką swoję głowę wtulił w ramiona, i z gapiowatym śmiéchem zaszeptał znowu:

— A jakże! czy ja wiém? tak jak prawie sześć lat we dworze nie byłem... Może tu kto na mnie gniéwać się będzie...

— A dla czegoż czapki na głowie nie masz?

Z tą samą mimiką chłopiec odpowiedział:

— Czy ja wiém? we dworze? Może kto będzie gniéwał się na mnie?

— Włóż zaraz czapkę i mów głośno,—zadyrygował Witold, i widać było, że go znowu coś w serce ukłóło.

Ale spojrzał na wędy, i zwracając się ku dziedzińcowi zawołał:

— Mars! Mars!

Wielki czarny ponter wyskoczył z kuchni, przy któréj stali dwaj młodzieńcy.

— Chodźmy! — zawołał Witold.

— Chodźmy! — głośno już i raźnym gestem starą czapkę na ogromną czuprynę wkładając, powtórzył chłopiec w siermiędze.

Przez fórtkę wbiegłszy do ogrodu od starych klonów, długą ścianą stojących nad samym brzegiem wysokiéj góry, szybko z niéj zstępować zaczęli ku Niemnowi. Mars czwałował przed nimi.

— A gdzież Sargas?—zapytał Witold.

— Che, che, che! łódki pilnuje! — zaśmiał się towarzysz.

— W domu u was wszyscy zdrowi?

— A zdrowi, chwała Bogu!

— Już z pięć dni w okolicy waszéj nie byłem.

— A jakże! już my mówili, że Witold może przestanie do nas chodzić, bo może Witoldu ojciec zabronił...

— Mnie nikt zabronić nie może przestawać z wami i być przyjacielem waszym, — oburzył się Witold.

Ale tym razem, wszelkie przykre uczucie krótko w nim trwać mogło. Dzień był taki pogodny, upalny, Niemen u stóp wysokiéj góry toczył się taki błękitny i złoty, a na brzegu stała łódka mała, w któréj wnet z towarzyszem usiądzie, aby na środek rzéki wypłynąć i koniec wędy w błękitach utopiwszy, patrzéć miléj może na pływające po ich powiérzchni i obecność małéj rybki drżeniem swojém zdradzające piórko, niż na ten mały, piękny, nad wszystko mu milszy kawałek świata. Oddychać będzie pełną piersią, świéżością powietrza i wody, i gwarzyć całém sercem z tym towarzyszem swoim, z którym ileż to razy, w dziecinnych i nieco nawet późniejszych latach zbiégał razem z téj góry i tak jak teraz siadał razem do łódki, przy któréj w téj chwili nakształt posążka z czarnego marmuru, siedział na straży wyprostowany i nieruchomy, czarny, kudłaty Sargas! Niezmącona, dziecinna wesołość okrywała delikatne, inteligentne, trochę już zmęczone rysy Witolda Korczyńskiego, i grubą, czerwoną, rudawemi włosy obrosłą twarz Julka Bohatyrowicza. Gdy wiosłami zgodnie uderzyli o wodę, łódka zakołysała się na błękitnéj i złotéj toni, a dwa czarne psy: wyżeł i kundel, każdy naprzeciw swego pana siedząc, wesołemi także oczami ści-

gały nizkie loty nadwodnych muszek, strzelistych babek i złotym miodem obarczonych pszczół...

Salon zaś korczyńskiego domu rozbrzmiéwał już w téj chwili muzyką skrzypiec i fortepianu. Pani Emilia po całogodzinném przebywaniu wyobraźnią w Egipcie i zjedzeniu pary łyżek rosołu, uczuła się znowu tak cierpiącą i smutną, że zapotrzebowała jakiejkolwiek rozrywki, jakiejkolwiek moralnéj podniety. Czerpała je niekiedy w usposobieniach podobnych, z muzyki Orzelskiego. Uszczęśliwiony wezwaniem, przyniesioném mu przez Teresę, stary z pomocą córki ubrał się co najprędzéj, i razem z nią na dół zszedłszy, z rozkoszą wygrywał teraz jednę po drugiéj długie i zawiłe kompozycye. Justyna akompaniowała mu wprawnie, dokładnie, i jak oddawna już bywało, obojętnie, prawie machinalnie. Trwało to dobrą godzinę.

Orzelski, niezmordowany, zachwycony, rozmarzone oczy topił w rozciągniętéj za oknami gęstéj zieleni ogrodu, wysubtelniał się, rósł, unosił się czasem na palcach nóg, jakby miał wnet oderwać się od ziemi. Justyna stawała się przeciwnie coraz bledszą; rysy jéj sztywniały, oczy gasły; kilka razy ziéwnęła głośno, czego jednak Orzelski ekstazą porywany, nie spostrzegł. Niezmiernie trudnemi i mistrzowsko wykonanemi pasażami zakończył czwartą czy piątą z rzędu odegraną kompozycyą, i koniec smyczka do błogo

uśmiéchniętych ust przykładając, z rozkoszném cmoknięciem wymówił:

— Caca nokturnek! prawda, Justysiu? cukierek! A teraz te... może sobie rapsodye zagramy... dobrze?

I już, skrzypce pod pulchną brodę podłożywszy, okrągłym ruchem ramienia smyczkiem w powietrzu powiódł i na struny spuścić go miał, a Justyna, cierpliwa, bierna, ze spuszczonemi powiekami, palce ku właściwemu miejscu klawiatury kierowała, kiedy w progu przedpokoju zjawiła się Marta. Nie zważając wcale, że czyni przerwę w koncercie domowym, oznajmiła, że z podaniem obiadu na powrót Benedykta oczekiwać będzie, a tymczasem dla tych, którzy się czują głodni, śniadanie podać kazała.

Usłyszawszy wyraz: „śniadanie,“ Orzelski jakby się ze snu obudził, i chwilę tylko jeszcze, ze smyczkiem na struny opuszczonym, osowiałemi oczyma za odchodzącą Martą popatrzył. Potém ostrożnie, z pieczołowitością troskliwéj piastunki, skrzypce w podłużném pudle składając, z innym nieco niż wprzódy, lecz również błogim uśmiéchem zamruczał:

— Śniadanie! o! dobra rzecz śniadanie! Zrana, przy kawie, tylko troszkę sucharków zjadłem! Żeby to panna Marta tego sérka dała z kminkiem i szyneczki... bo bifsztyk u nas robią nie te...

Z temi słowami wyprostowany i okrągły żołądek na przód podając, uśmiéchnięty, szczęśliwy, do sali jadalnéj wszedł, a po chwili przy stole już siedział, z serwetą na piersi rozpostartą i nad talerzem szynki, którą, z taką samą starannością i uwagą, z jaką na skrzypcach wygrywał pasaże i trele, obléwał i zaprawiał oliwą i musztardą.

Justyna przy fortepianie pozostała. Rzecz szczególna! Wygrywając trudny i zawiły akompaniament do wielkich sztuk muzycznych, czyniła to widocznie z musu tylko i konieczności, a myślami gdzieindziéj przebywała. Teraz zaś, nietylko fortepianu nie opuściła, ale ze schyloną nieco nad klawiaturą twarzą, z zajęciem, szukać na niéj zaczęła akordów, któremi widocznie zawtórzyć chciała nócie jakiéjś, w sercu jéj zapewne śpiéwającéj. Zamyśloną była, oczy jéj w klawiaturę utkwione miały wyraz pytania, które może powtarzało się w jéj myśli tak uparcie, jak uparcie wiła się po niéj owa daleka nóta, do któréj szukała wtóru. Znalazła go wkrótce, zpod palców jéj wyszło kilka przyciszonych akordów, przy których téż zanóciła:

— „Lecą liście z drzewa, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiéwa jakieś ptaszę polne...“

Rumieńce powoli opływały znowu śniade jéj policzki, oczy błysnęły.

Nagle z krzesła zerwać się chciała, ale wnet znowu usiadła. Zamyślenie jéj, marzenie, tę nótę dalekiéj pieśni, którą dziś razem ze snopem dzikich roślin z pola przyniosła, przerwał turkot kół na dziedzińcu. Po chwili usłyszała w przedpokoju głos Kirły, który, rzecz dziwna! nie zażartował wcale z siedzącego naprzeciw otwartych drzwi Orzelskiego, ale owszem przesłał mu zdala bardzo uprzejme powitanie. Do salonu wszedł z kapeluszem w ręku, ze sztywnym jak puklerz i śnieżnie białym przodem koszuli, széroko wyłaniającym się z pośród cienkiego i starannie sporządzonego ubrania. Na widok Justyny, nie posunął się ku niéj, jak to bywało najczęściéj, z żartobliwą galanteryą, nie spojrzał jéj w oczy z drwiącą admiracyą, ale przeciwnie zbliżył się z zupełną powagą w postawie i na twarzy, i rękę kościstą, lecz białą i wypielęgnowaną, ruchem serdecznym po jéj rękę wyciągnął. Podała mu ją bardzo chłodno, ale on z głębokim ukłonem złożył na niéj pełny uszanowania pocałunek. Przytém, bez cienia uśmiéchu, przemówił:

— Winszuję, z całego serca winszuję, i proszę, abyś pani była pewna, że nikt nademnie goręcéj szczęścia życzyć pani i szczérszym jéj przyjacielem być nie może...

Mówił to ze wzruszeniem, które małe, świécące jego oczka wilgotnemi uczyniły. Justyna lekceważąco ramionami wzruszyła. Powagę, usza-

nowanie, powinszowania i oświadczenia, brała za nową formę drwin wesołego sąsiada.

— Zapewne mam wujence oznajmić przyjazd pański? — zapytała obojętnie.

— Jeżeli łaska! jeżeli łaska! — prawie pokornie poprosił Kirło.

Pani Emilia słuchała była muzyki Orzelskiego nieruchomo na pościeli wyciągnięta, z zamkniętemi powiekami, z pod których czasem, na blade jéj policzki łza spływała. Teresa bezsennością i krzątaniem się około choréj znużona, siedząc na krześle co chwila usypiała, i z gwałtownemi ruchami głowy budziła się w trwodze, czy nie drzémała za długo; Leonia zaś, w kątku pokoju, przy szczupłém świetle, dochodzącém tu z za spuszczonéj sztory, zawzięcie wyszywała pantofle dla Marty.

Oznajmienie o przybyciu Kirły wywołało w tym dusznym i przyciemnionym pokoju, ruch niespodziéwany. Pani Emilia dość raźnie i z uśmiéchem, który odrazu zmęczoną twarz jéj odświéżył, usiadła na łóżku i oświadczyła, że czuje się znacznie lepiéj, ubiérze się i do buduaru wyjdzie. Teresa z radości nad polepszeniem jéj zdrowia w ręce ją całowała, chichotała, od łóżka do toalety i napowrót biegała, przynosząc mnóztwo przedmiotów, do ubierania się potrzebnych. Przytém, i sama rzucała w lustro spojrzenia to przelotne, to dłuższe.

Kirło samotnie w salonie przesiedział prawie godzinę, którą pani Emilia, w asystencyi Teresy i panny służącéj spędziła przed zwierciadłem toalety, otwiérając i zamykając pudełka i flakony, a w pracy téj czasem dla wypoczynku czyniąc krótkie pauzy.

Kiedy nakoniec wstała od toalety i na spotkanie wchodzącego do buduaru sąsiada postąpiła, chód jéj powolny był i osłabiony, ale z ubrania i cery twarzy prawie niepodobna byłoby odgadnąć świéżo przebytych cierpień. Jednak nie udawała nic: ani choroby, ani polepszenia zdrowia. Zmiany te zachodziły w niéj pomimo jéj woli i wiedzy, mocą wpływów i wrażeń, działających na jéj nerwy.

Z Kirłą łączył ją stosunek bardzo osobliwy. Był to jéj przyjaciel, wielbiciel, powiernik. Myślała zawsze o nim, jako o jedynym człowieku, który ją rozumiał i czynił wszystko, co od niego zależało, aby dopomódz jéj w dźwiganiu smutnego życia. W głębokich tajnikach myśli była téż przekonaną, że Kirło kochał się w niéj oddawna, stale, wiernie... Nie dziw więc, że teraz przybycie jego obudziło w niéj tę samę siłę, jaką przed kilku tygodniami znalazła była w sobie, aby przez cały dzień i część nocy przyjmować licznych gości i lekko zbiégać ze wschodów, z których zazwyczaj ją znoszono. Miała mu zawsze mnóztwo rzeczy do powiedzenia o sobie, i wiedziała, że

zawsze zabawi ją, rozerwie, coś miłego jéj szepnie, jakiémś wzruszeniem rozgrzeje.

Istotnie, na samym już wstępie, przyjemnie ją rozczulił długiém i pełném współczucia ubolewaniem nad stanem jéj zdrowia, a potém, rozśmiészył, ścigając przez dwa pokoje Teresę, którą dziś koniecznie chciał pocałować. Następnie, gdy pani Emilia wygodnie i miękko ułożyła się na ponsowym szezlągu, z udaną powagą oznajmił, że przywiózł ciekawą, dla panny Teresy szczególniéj, niezmiernie ciekawą nowinę.

Obie kobiéty z upragnieniem wpatrzyły się w niego; on zaś, z odpowiednią okoliczności mimiką opowiedział, że przybywa z Wołłowszczyzny, któréj dziedzic, Teofil Różyc, zakochany jest po uszy w pannie Teresie, że wychwalał dziś jéj figurkę, oczy, skromność, dobroć, że słowem, kto wié, czy pomimo wszystkich różnic majątkowych i innych, na seryo o niéj nie pomyśli. Dziś właśnie ma do Korczyna przyjechać, a Kirło pośpieszył z oznajmieniem paniom téj wizyty.

Usta pani Emilii drżały powstrzymywanym uśmiéchem; ale Teresa to rumieniła się, to bladła na przemian; wszystkie nerwy jéj twarzy drżéć zaczęły i oczy napełniły się łzami. Ze śmiéchem i razem płaczem rzuciła się ku pani Emilii, przysiadłszy na ziemi, kolana jéj ucałowała i z pokoju drobniejszym jeszcze niż zwykle kroczkiem wybiegła. Kiedy salon i przedpokój przebiegała,

możnaby ją było wziąć za istotę nieprzytomną; jednak spotkanego lokajczyka zdyszanym głosem o Martę zapytała, a usłyszawszy, że ta znajduje się w swoim pokoju, jak wicher wschody przebyła i do tego pokoju wpadła.

— Moja pani, moja złota, moja najdroższa, proszę mi na dziś swoich liliowych kokard pożyczyć! — wyjęczała obejmując Martę.

— Pfuj! zgiń maro, przepadnij! Toś mię dopiéro przestraszyła! Któż to widział z takim impetem wpadać!—ofuknęła stara panna.—Na co ci te kokardy? owszem, pożyczę, ale na co ci dziś kokardy?

— Trzeba, trzeba. Podobno mi w nich do twarzy... Pan Orzelski i pan Kirło mówili, że mnie w nich było do twarzy...

— Cóż to? czy konkurent jaki przyjeżdża? — dostając z szuflady żądany przedmiot, zapytała Marta.

— Może i przyjeżdża!—z figlarném mruganiem i kręceniem głową odpowiedziała Teresa.

A gdy dwa jedwabne łachmanki znajdowały się już w jéj ręku, stanęła przed małém, na ścianie wiszącém lusterkiem, i poczęła niemi sobie włosy i stanik przyozdabiać. Oprócz tego, układała na głowie warkocz i brzeg stanika odchylała w ten sposób, aby z za niego ukazywała się jaknajwięcéj szyja, w saméj rzeczy niepospolicie ładna. Ta głowa w brzydkim zrudziałym warko-

czu, i twarz, która kształtem i barwą przypominała uwiędłą różę, osadzona na téj młodéj, białéj, delikatnéj szyi, sprawiała wrażenie bardzo bolesne. Marta, znająca dobrze usposobienia towarzyszki, a przytém, pogrążona w liczeniu sztuk stołowéj bielizny, którą dziś do prania oddać jéj było trzeba, najmniejszéj uwagi nie zwracała na przystrajającą się i mizdrzącą przed lustrem kobiétę. Ale i ona sama przystrajać się i mizdrzyć przestając, splecione swe ręce, małe i chude, na stolik opuściła i zamyśliła się. Wyraz nieskończonéj, lecz cichéj radości i wdzięczności twarz jéj oblał i przyozdobił. Wyglądała teraz na słodką, dobrą, Bogu i ludziom wdzięczną istotę. Możnaby mniemać, że odmawiała w myśli gorącą, dziękczynną modlitwę. I jakże mogło być inaczéj? Wczoraj jeszcze marzyła o oliwkowym Fellahu, a dziś, oznajmiono jéj, że kocha ją, lub bardzo, bardzo blizkim pokochania jest Europejczyk, biały, wykwintny, interesujący. O tém, że był także bogatym, nie myślała wcale. Nie do bogactwa tęskniła, lecz do miłości. Miłości jéj było potrzeba, miłości! miłości! Rzuciła się ku siedzącéj na ziemi Marcie, i przysiadłszy przy niéj, ręce jéj, z któréj brudne serwety wypadły, całować zaczęła.

— Moja droga, moja najmilsza! — szeptała, — jeżeli Bóg w dobroci swojéj to sprawi, że ja kiedy szczęśliwą będę, nigdy, nigdy o was i o domu

waszym nie zapomnę, nigdy wam wdzięczną być nie przestanę za to, że przytuliliście mnie siérotę i ze słabém zdrowiem...

— Czy ty, Tereniu, blekotu dziś najadłaś się, czy co?—burknęła Marta.

Ale wielką swą rękę pieszczotliwie przesunęła po tulącéj się do jéj piersi, rozpalonéj, wyrazem szczęścia oblanéj, a jednak tak biédnie, biédnie wyglądającéj twarzy!

— No, no! dość już tego!—łagodnie dokończyła;—wiadomo, że jesteś dobrą dziéwczyną, a tylko masz bzika...

Trzydziesto-kilko-letnia dziéwczyna porwała się z ziemi, i chychocząc, nócąc skocznego walczyka, figlarnie głową kręcąc, najdrobniejszym swoim kroczkiem z pokoju wyfrunęła...

W buduarze pani Emilii, wnet po wyjściu ztamtąd Teresy, dwoje ludzi rozśmiało się głośno i wesoło.

— Uwierzyła! — wśród śmiéchu zawołał Kirło.

— Uwierzyła!—ze śmiéchem także powtórzyła pani Emilia.

Bawiła ją łatwowierność i naiwność towarzyszki; jednak zaczęła Kirle wyrzucać, że z niéj zażartował.

— Ona jest dla mnie bardzo dobra... tak czule pielęgnowała mię dziś, gdym cierpiała... Jedyna to istota, przez którą kochana jestem...

— Jedyna! — z wyrzutem zaszeptał Kirło.

Rączka użalającéj się kobiéty znalazła się w jego ręku. Delikatne jéj policzki opłynął blady rumieniec, powieki spuściła i cicho wymówiła słów kilka o swojém biédném sercu i smutném, smutném życiu. Zwiérzanie się z jednéj strony, a wyrażanie najgorętszego współczucia i uwielbienia z drugiéj trwało kilka minut, poczém Kirło, jak gdyby się budząc z upojenia, w które go zbliżenie do sąsiadki wprawiało, z westchnieniem i omglonemi jeszcze oczyma wypowiedział, że jednak ma istotnie do oznajmienia jéj ciekawą i ważną nowinę. Dla niéj wszelka nowina była prawdziwém dobrodziejstwem; więc niecierpliwie dowiadywać się o nię zaczęła. Widać było także, iż wieść, którą miał oznajmić, całkiem odbiérała Kirle usposobienie tak do żartów, jak do zalotów. Zupełnie poważnie opowiedział, że wszystko, co Teresie mówił o Różycu, stosuje się w rzeczywistości do Justyny; że ten dziedzic starego nazwiska i wcale jeszcze pięknego majątku, bardzo żywo zajęty jest panną Orzelską; że z nasuniętéj mu myśli ożenienia się z nią śmiał się zrazu i żartował, ale teraz zaczyna się nad nią zastanawiać, i kto wié? czy nie wyniknie z tego naprawdę dziwna niespodzianka, że prędzéj lub późniéj oświadczy się o jéj rękę.

— W głębi duszy — mówił Kirło — jest to desperat, lamentujący nad ruinami swego zdrowia, majątku i życia. Może być więc, że jak deski

ratunku chwyci się ożenienia z osobą, która mu się bardzo podoba. Sam przez się nie uczyniłby tego zapewne nigdy; ale żona moja, któréj jest wielkim adoratorem, nad skłonieniem go ku temu krokowi pracuje, a wiadoma to już rzecz, że *ske la fam we...*

— *Ce que la femme veut...* — dopomogła pani Emilia.

— Otoż to! A jeszcze taka *fam*, jak moja Marynia! Bo pani wyobrazić sobie nie możesz, jaka to energiczna baba! Zawczoraj była w Wołłowszczyznie, długo z nim rozmawiała, i przyjechała do domu tak uszczęśliwiona, jakby skarb na drodze znalazła... Dowiedziałem się téż od niéj, że swoje swatowstwo na dobrą drogę wprowadziła.

Z postawy i sposobu wysłowienia Kirły widać było, iż rzecz tę uważał za bardzo ważną dla Korczyńskich, dla siebie, a przedewszystkiém dla Justyny, któréj imię wymawiał teraz z uszanowaniem, może mimowolném, ale takiém, że głowę przy niém nieco pochylał. Pani Emilii taki mezalians zrazu w głowie pomieścić się nie mógł, a potém, samo jego przypuszczenie zachwyciło ją i rozrzewniło do najwyższego stopnia. Dla Justyny byłoby to szczęściem wielkiém, niespodziewaném, o którém nawet marzyć nie mogła; ale ta strona nowiny nie wiele zajmowała Emilią. Główny interes jéj zawiérał się w wielkości, wznio-

słości i gorącości uczucia, które Różyca do tak nadzwyczajnego kroku skłaniać mogło.

— O, Boże! cóż to za szczęście musi być dla kobiéty, obudzić taką miłość, miłość, która wszystkie przeszkody łamie i depcze, któréj się nic oprzéć nie może, która... dla któréj... przez którą... Czemuż nie każdéj dano spotkać na drodze swego życia takiego serca, takiéj namiętności, takiego poświęcenia!...

Długo na ten temat fantazyując, nie zauważyła niedorosłéj, lekkiéj jak motyl panienki, która wszystkiego przez otwarte drzwi sypialni wysłuchawszy, kanwę z wyszytą różą na ziemię rzuciła, i na paluszkach do dalszych pokojów wybiegła. Po chwili, cienki głosik Leoni rozlegał się na wschodach, pośród których spotkała schodzącą na dół Teresę, oraz w pokoju Marty i Justyny, gdzie usłyszaną nowinę, z niezmiernie żywemi gestami i błyszczącemi oczyma, opowiadała.

W kilka minut potém, w tym samym pokoju Teresa leżała na jedném ze znajdujących się tam łóżek, z wykrzywioną na głowie kokardą, spłakana i tak do poduszek przytulona, jak chore dziecko tuli się do piersi matki lub piastunki. Skoczne walczyki i dziękczynne modlitwy dalekie już od niéj były. Od czasu do czasu, cicho i jękliwie wymawiała:

— Co ja złego jéj zrobiłam, że pozwala tak żartować ze mnie!

A potém z żałosném westchnieniem dodała:

— Ja ją tak kocham, a ona dla mnie nie ma żadnéj sympatyi!...

Zaczęła znowu płakać i wśród łkań mówiła jeszcze:

— I jakiż to zresztą sens tak żartować ze mnie? Gdybym już była taką starą i straszną... Dwadzieścia dziewięć lat mam, dla czegożbym więc uwierzyć nie mogła, że się komuś podobałam!

Po chwilowém uspokojeniu się jęknęła znowu:

— Ja tak ją kocham, tak kocham, a ona żartuje ze mnie! O, Boże jak mię głowa boli!

Wtém zerwała się i na łóżku usiadła.

— O mój Boże!—krzyknęła—wszakże to ja jéj lekarstwa nie dałam! Która godzina, Justynko? Pewno już pora minęła, a ona zagawędziła się i nie wzięła. Ten pan Kirło taki przyjemny... jak zagawędzi się z nim, pewno o lekarstwie zapomni... Która godzina, Justynko? Trzeba biédaczce dać téj mikstury, bo jeszcze znowu duszenie schwyci... A ja i zapomniałam, o Boże!

Drżącemi rękami, żółtsza niż kiedy i od płaczu zaczerwieniona, warkocz i kokardę na głowie poprawiała i machinalnie już osuwała brzeg stanika, aby białą i kształtną szyję lepiéj odsłonić. Potém chwytając się za bolącą głowę, na zapomnienie się swoje wyrzekając, użalając się nad chorą, o któréj zapomniała, z pokoju wybiegła.

Marta podniosła się wtedy z nad stosu bielizny, którą już przeliczyła, i na siedzącą u okna Justynę popatrzała.

— Cóż? — ozwała się, — winszuję! Może cię świetny los spotka. Ten Różyc, słowo honoru, musi być uczciwym człowiekiem, kiedy naprawdę żenić się myśli z biédną dziéwczyną. Cieszę się, życzę i winszuję...

Z rozjaśnionego jéj czoła i mniéj niż zwykle ostrego spojrzenia widać było, że cieszyła się naprawdę. Jednak, ku drzwiom idąc, znowu oburkliwie i z szyderstwem rzuciła:

— Nie melancholizuj tylko i nie kapryś, ale Panu Bogu dziękuj; bo jeżeli cię ten Różyc weźmie, nie będziesz miała nigdy szczęścia zrobić się cholerą albo synogarlicą. Cholera, uważasz? to ja, a synogarlica, to Teresa...

Z temi słowami z pokoju wyszła. Justyna u otwartego okna siedząc, naprawiała znoszoną suknię. Oddawna robiła to zawsze sama, starając się jaknajmniéj potrzebować usługi i kogokolwiek sobą zajmować. Ale teraz, igła wypadła z jéj palców. Lepiéj od wszystkich wiedziała ona, że w wieści przez Kirłę przywiezionéj wiele było prawdy. W czasie ostatnich odwiedzin Różyca, zajmowanie się nią młodego pana zaprawione było uszanowaniem i badawczością, z jakiemi mężczyzna zbliża się do kobiéty, względem któréj tworzy poważne zamiary. Może więc być,

że lada dzień, złoty owoc z czarodziejskiéj jabłoni szczęścia spłynie jéj do rąk. Myśląc o tém nie wyglądała jednak na szczęśliwą. Z pobladłą cerą, ze zmarszczoném czołem i zesztywniałemi rysami, wydawała się znowu daleko starszą niż była. We wzroku jéj tkwiło uparte, naprężone, bolesne pytanie. Zadawałaż je sercu swemu, przeszłości, czy przyszłości? Chwilami widać było, że przez własne myśli czuła się upokorzoną. Rumieńce po czole jéj przepływały i opuszczały się w dół powieki. Może wstydziła się własnych wahań i namysłów. Wypadkiem oczy jéj spotkały się z leżącą na stole niewielką książką, któréj kosztowna okładka połyskiwała dwiema wyzłoconemi literami: „Z. K.“ Wczoraj, książkę tę, razem z małym, pachnącym listem, przywiózł do niéj posłaniec z Osowiec. Przysunęła ją ku sobie, wyjęła z niéj pachnącą, cieniutką kartkę, i chmurny wzrok przesuwała po okrywającém ją piśmie:

„Przestałaś lubić muzykę, Justyno, ale może jeszcze kochasz poezyą. Czy jeszcze cokolwiek lub kogokolwiek kochasz? Cóż stało się z tą, którą kiedyś nazywałem moją iskrą i mojém światłem księżyca? Jakie ty piękne, Justyno, miewałaś niegdyś zapały i marzenia! Teraz, spotykam istotę zimną i trzeźwą, z pospolitością życia pogodzoną, z prawami świata liczącą się,

i zapytuję: co się stało z tamtą? Próbuję wskrzesić cię, dawna Justyno moja! Weź do ręki tę książkę, idź do grabowéj altany, czytaj i wspominaj! Może we wspomnieniach choć na chwilę dla ciebie z martwych powstanę, może cię one skłonią do przebaczenia, może zapragniesz, aby znowu jak dawniéj, oczy nasze razem na tych kartach spoczywały... Czy pamiętasz, Justyno? czy pamiętasz? Pozwól mi kiedy długo sam na sam z sobą porozmawiać! Wytłómaczę ci zagadkę mego złamanego życia, a wtedy zrozumiész, że duszom naszym wolno zawsze do siebie należéć. O, nie lękaj się! Ja duszy tylko twojéj pragnę, ale o nię, jak o swoję dawną własność, nigdy upominać się nie przestanę. Gdybyś wiedziała, jak głęboko i bez ratunku jestem nieszczęśliwy!

Zygmunt.“

Czy pamiętała? Mocna, prawie trująca woń wspomnień biła jéj do głowy z téj małéj książki, którą dawniéj tyle razy trzymali oboje, jakby jéj ciężar wspólnych ich sił wymagał, z głowami ku sobie pochylonemi, z oczami utkwionemi w te francuzkie wiérsze, tam, u końca ogrodu, w grabowéj altanie. Czy pamiętała? Każdy wiérsz, każdy niemal wyraz téj książki, był dla niéj niby zmartwychwstającym słowikiem. Oczy jéj zachodziły łzami i pierś podnosiła się wysoko, gdy zo-

baczyła dwa wiérsze, grubo błękitnym ołówkiem podkréślone:

„Je viens de m'incliner, madame, devant vous,
Mon orgueil tout entier est encore à genoux."

Dwie łzy z jéj oczu upadły na te dwa wiérsze. Wyobraźnia ujrzała go klęczącego przed nią i z dumą, u jéj stóp złożoną, pokornie jéj tłumaczącego zagadkę swego życia i ich rozłączenia. Przerzuciła kilka kartek i czytała znowu:

„Aimer, c'est douter d'un autre et de soi-même,
C'est se voir tour à tour dédaigné et trahi..."

Tym razem, wiérsze te uderzyły w nię czémś inném, niż wspomnienie. Oczy jéj oschły, podniosła głowę, myślała. Nie, nie! kochać nie jest to wątpić o sobie i o drugich, ani czuć się gardzoną, zdradzaną; nie jest to przedewszystkiém plamić się i krzywdzić! Kochać, to ufać i w dwa serca naraz spoglądać, jak w wierne zwierciadła, razem iść drogą długą i czystą, a u jéj końca módz dwa swe imiona wypisać złotem przywiązania niezłomnego i zwyciężonych wspólnie postrachów życia...

— Jan i Cecylia!

Dwa te imiona Justyna prawie głośno wymówiła, książkę Musset'a porywczym prawie ruchem

zamknęła i powstała. Wszystko na świecie mówić umié. Wymowę swą posiadają także zapachy. Wielka więź polnych roślin, która w prostém naczyniu z polewanéj gliny stała na stole, zapachem swym napełniała pokój. Justyna rozgarniać zaczęła splątane z sobą łodygi i kwiaty. Zrana, Benedykt Korczyński, chorobą żony przelękniony i stroskany, wysłał ją w pole z zapytaniem do rządzcy, o ilości zebranych na dzisiaj żeńców. Wrócić mogła w kwadrans, powróciła w parę godzin. Spędziła je na zielonych miedzach, rośliny te zrywając. Zawsze je lubiła, ale nie znała nazw ich, ani dziejów. Teraz, każdą z nich nazwać mogła po imieniu, powiedziéć kiedy rozkwita i w jakich dniach późnego lata lub jesieni znika z ziemi, którą stroiła.

Czy podobna, aby ten słuszny, zgrabny chłopak z błękitnemi jak turkusy oczami, który, gdy nadchodziła, wiązał w snopy zżęte zboże, mógł czegokolwiek ją nauczyć? Jednak, nauczył. Długo razem chodząc po miedzach i układając ten bukiet, bardzo do różnobarwnéj miotły podobny, nieustannie z sobą rozmawiali, nie o sobie jednak, tylko o téj naturze, któréj wtedy wydawali się wolnemi i szczęśliwemi dziećmi.

Justyna pamiętała całą tę lekcyą, wziętą z tak rumianych, a tak przecież wzruszonych niekiedy

ust Jana Bohatyrowicza. Ta delikatna łodyżka, z mnóztwem trójkątnych i w prawdziwe fugi wyrzniętych wisiadełek, to *drżączka*, która ręką ludzką poruszona, wydaje się żywą, trwożliwą istotą. A to *lenek kukawki*, szorstki i twardy, z szafirowym kwiatkiem służącym do uścielania gniazda miłemu ptakowi wiosny. To *szelestuszka* o liściach prawie złotych i przy każdém dotknięciu, zdających się o czémś tajemniczo szeptać. To znowu w bujny, śniéżny kwiat ustrojona, trująca gałąź *psianki*. Ten liść szkarłatny jest więdniejącą *lebiodą*, która na trawy zielone rzuca krwiste plamy. A ta wijąca się gałązka, drobnym, różowym kwiatem osypana, to *szczęście*. Nazywa się ona szczęściem, dla tego, że wróży dziéwczętom. We włosy wpleciona, jeżeli rozkwitnie, ukochany kocha wzajemnie. A wzajemność w kochaniu czyż nie jest szczęściem?

Z zamyślonym na ustach uśmiéchem, Justyna wyjęła z bukietu gałązkę „szczęścia“ i wpłotła ją w czarny swój warkocz. Potém stanęła przed otwartém oknem, z cieniutką i uperfumowaną kartką papiéru, którą ze stołu wzięła. Przez chwilę, szemrała ona w jéj ręku, jakby była złotawą gałązką „szelestuszki;“ potém, powoli z namysłem,—któż odgadnie? może z walką,— Justyna rozdarła ją na kilkanaście drobniutkich płatków, które rozsypały się za oknem i w morzu sło-

necznego światła zniknęły. Jak giętka roślina polna w jéj warkoczu, tak na jéj ustach wiła się cicha nóta:

— Lecą liście z drzewa, co wyrosły wolne,
Na mogile śpiéwa jakiéś ptaszę polne...

III.

W porze żniw, na téj rozległéj równinie ziemia wydawała się złotym fundamentem, dźwigającym błękitną kopułę i okrytym ruchliwém mrowiem drobnych istot. Właściwa barwa ziemi ukazywała się tylko tu i owdzie na drogach porosłych rzadką trawą i na wcześnie zoranych małych szmatach pola. Zresztą, wszędzie, od wzgórz obrosłych drzewami, do wysokiéj ściany nadnieniemeńskiéj dojrzałe zboża płynęły gorąco-żółtą lawą, która miejscami wyginała się w zagłębienia, okryte również gorąco-żółtém ścierniskiem. W tych to zagłębieniach, rozszérzając je coraz i okrywając wypukłościami zżętych snopów, mrowiły się drobne, ku ziemi schylone istoty. Na linii pozioméj spostrzegane, wydawały się one drobnemi, bo rozsypane wśród wielkiéj przestrzeni pełzały przy saméj ziemi. Ale widziane z góry, z pod obłoków, wydawaćby się musiały niezawodnie tłumem rzeźbiarzy, urabiającym w przeróżne wzory złoty fundament świata. One też

to były, które go uczyniły złotym; ich to ręce, w mgliste dni jesieni i wiosny, miesiły ten wosk cudowny, aż przy letnich skwarach spotniał tą złotą lawą, która sokiem życia przeleje się w żyły ludzkości. Ulewą żaru, błękitna kopuła oblewała ich zgięte plecy, a gorący ten oddech nieba skraplał się na ich twarzach i spadał na ziemię dészczem potu. Z poziomu spostrzegane, były to malutkie, przyziemne robaki; z góry widziane: jubilerowie obracający w swych ręku najdroższy metal ludzkości, artyści urabiający łono ziemi dla zapładniających uścisków słońca.

Na rozległéj przestrzeni pola, którą wązka droga od okolicy bohatyrowickiéj oddzielała, żniwiarze wydawali się rojem istot nietylko ruchliwych, ale i różnobarwnych. Wyglądało to tak, jakby malarz jakiś, gorąco-żółte tło bez ładu i symetryi osypał kroplami różnych farb. Biała i różowa przemagały wszystkie inne. Były to koszule mężczyzn i kaftany kobiét. Białość piérwszych była śniéżną, różowość drugich gorącą.

Przez parę tygodni poprzedzających porę żniw, w Bohatyrowiczach panował wielki ruch prania i szycia. Do kilkunastu najmozolniejszych dni w roku, przygotowywano się tam, jak do wielkiego święta. Cała ludność okolicy, jednocześnie wyledz miała w pole, dla każdego więc było to wystąpienie publiczne, o którego przystojność, a nawet i niejaką wykwintność niezmiernie dba-

no. Kobiéty dłużéj niż zwykle przesiadywały nad brzegiem rzéki, stukami pralników napełniając powietrze, a pranie to jeszcze poprawiały w domu dopóty, dopóki płóciennéj odzieży mężów i braci nie nadały prawie olśniéwającéj białości. Otwiérały one skrzynie i wydobywały z nich najlepszym smakiem, na domowych krosnach, z lnu i wełny wytkane spódnice. Szyły nowe kaftany, i bardzo biédną była już ta, która, jak żona Ładysia, z chatki pod dębem stojącéj, nie miała wtedy na palcu mosiężnego naparstka, a w ręku kilka łokci liliowego, błękitnego lub różowego perkalu. Bardzo téż biédnym był ten, który jak ów Ładyś, z chłopska mówiący, a bujną złocistą czuprynę w górę zaczesujący nad szérokiém czołem, nie mógł na tę porę przywdziać nowego obuwia, cholewami kolan sięgającego, oraz czarnych spodni, których szelki ciemnemi liniami przerzynały na krzyż olśniewającą białość koszuli.

Ale młody Michał, piérwszy elegant okolicy, który nosił spiczastą przystrzyżoną brodę i w górę zakręcone wąsy, od stóp do głowy ubrał się w dymkę kanarkowego koloru i w zgrabnéj czapce, w nowych butach, z fantazyą stał na pustym wozie, galopem prawie przez parę koni ciągniętym od jednego z domówstw ku polu. Zwolnił nieco bieg koni, krzyżując się z innym wozem, spiętrzonym górą snopków, na któréj szczycie siedział Jan, w podobnież nowéj czapce, z szelkami

skrzyżowanemi na śniéżnéj koszuli, z lejcami w ręku.

— Matka pomagać przyszła? — gromko zapytał kanarkowy lew okolicy.

— A jakże!—odkrzyknął wiozący snopy.

— Szczęśliwemu i aniołowie ku pomocy stają! Do mnie nikt nie przyszedł! Niechby choć panna Antonina troszkę pomogła?

— A to dla jakiéj przyczyny?—z trochą obrazy w głosie, wykrzyknął Jan.

— Psie kawalerskie życie! Jak kobiét w domu niéma, człowiek bez rąk prawie! Ale ja sobie trzy najemnice wziął; żną aż szumi i basta!

— Hej! z drogi! — rozległ się za wozem Jana głos basowy i trochę gniéwny. — Stanęli na drodze i językami sieką! Z drogi hrabiowie!

Był to nadjeżdżający syn Fabiana, tęgi, rudawy, jak zwykle chmurny Adam. Za nim nadjeżdżało jeszcze kilka wozów, z których przy jednym, ciągniętym przez mizernego konika, ciężkim krokiem szedł bosy i cały w płótno ubrany Ładyś; na drugim, pustym, z grubą kasztanowatą kosą na plecach, w różowym kaftanie, z rozognioną twarzą, stała dziéwczyna wysoka i silna.

— Dzień dobry, pannie Domuntównie! — z galanteryą, czapki uchylając, zawołał rozmijający się z nią Michał.

Na odpowiedź dziéwczyna brwi sobolowe ściągnęła, i pogardliwym nieco śmiéchem wybuchła:

— O Jezu! Wszak to pan Michał! A ja myślałam, że to wilga na wozie siedzi!

I kierując parą tęgich koni, ze zręcznością, któréj nie jeden mężczyzna mógłby pozazdrościć, starała się przegonić wóz Jana, który przecież raźnym kłusem, w bramę zagrody Anzelma wjechał i środkiem ogrodu, drogą bitą od dzięcieliny, ku domowi pod sapiéżanką stojącemu dążył.

Kiedy na drodze rozlegał się turkot kół, gwar urywanych i głośnych rozmów, a czasem nawet zapanowywał ścisk wymijających się albo usiłujących wzajem przegonić się wozów, nad polem, mrowiącém się gromadkami żniwiarzy, wśród upału i blasków słońca, stała wielka cisza. Gromadki żniwiarzy, nierównéj wielkości, i nieprawidłowo wśród szérokiéj przestrzeni rozrzucone, zwolna, lecz nieustannie posuwały się naprzód, w różnych kierunkach. Jedne z nich postępowały od okolicy ku wzgórzom; inne, od wzgórz ku korczyńskiemu dworowi; inne jeszcze poruszały się naprzeciw piaszczystéj rozpadliny, stanowiącéj wejście do wielkiego parowu Jana i Cecylii. Czasem tylko, wzbijał się nad niemi krótki wybuch śmiéchu, lub powietrzem przeleciało głośno wykrzyknięte imię, stado wróbli podjęło się z krzykiem, tu, tam, owdzie, szybko mignęły, stalowe błyskawice sierpów. Zresztą, opróżnione wozy, jedno i dwukonne, zbaczając z drogi i bez szelestu prawie tocząc się po ściérniskach, stawa-

8*

ły w zagłębieniach, otoczonych dokoła lasem nietkniętych jeszcze zbóż; owady ćwierkały, czasem przelękniony ptak trwożnie zaświérgotał, a wszędzie, széroko jak okiem zajrzéć i uchem zasłyszéć, płynął po polu suchy, nieprzerwany szelest przecinanych i na ziemię kładnących się kłosów.

Parę godzin do zachodu słońca brakowało, kiedy Jan, po raz może dziesiąty, wóz swój na ściernisko zawrócił i wjechał w szérokie a długie zagłębienie, w którém pracowała jedna z najliczniejszych gromad mężczyzn i kobiét. Była ona tak liczną, bo składało ją rodzin kilka. Chuda i chorowito wyglądająca żona Fabiana, w sztywnéj chustce osłaniającéj głowę i część mizernéj jéj twarzy, prędko jednak i wprawnie żęła obok córki, pulchnéj i przysadzistéj Elżusi, zdala świécącéj jaskrawą różowością kaftana i mnóztwem polnych maków, stérczących nad jéj czołem, tak prawie jak one ponsowém. Za niemi dwaj niedorośli chłopcy żęli także, a jeden wysoki, rudy chłopak, z czerwoną twarzą i rzędem białych zębów w wiecznym, gapiowatym uśmiéchu ukazywanych, wiązał snopy, układał je w dziesiątki i pomagał do naładowywania niemi wozu nieco młodszemu, lecz również pleczystemu i silnemu bratu. Wszystko to czynił powoli, z leniwemi ruchami, jakby sennie. Za nim, jak nierozłączny cień jego, siedział lub chodził czarny, kudłaty

kundel. Pan i pies jednostajnie często garbili się, wyciągali, poziéwali. Czasem, pies podnosił głowę i wtedy, patrzyli sobie w oczy. Pan śmiał się do psa, wszystkie zęby ukazując.

— A co, Sargas? Na Niemen może pójdziesz? Na Niemnie lepiéj, che, che, che!

Pies wyciągał się i głowę w stronę rzéki zwracał.

— Nie można, Sargas, nijak nie można! Nie puszczają nas na Niemen, che, che, che!

— Julek! — zabrzmiał głos zawsze czegoś rozgniéwanego Adama,—zasnął stojąc, czy co? snopy dawaj! hrabia!

— Julek!—po kilku minutach donośnie wołała Elżusia, — położyłeś się już, czy co? Bardzo słusznie! leż sobie, a żyto niech gnije na ziemi!

Wysoki chłopiec, który istotnie jak długi rozciągnął się był na ścierni i leniwą rękę zatopił w kudłach Sargasa, wstał, wyprostował się i znowu począł wiązać snopy.

Daléj, co kilka i kilkanaście zagonów różowiały i błękitniały kaftany kobiét i dziéwcząt, iskrzyły się na głowach kwieciste chustki, czérwone i żółte kwiaty, pod jedną ścianą stojącego jeszcze zboża, widać było kilka żwawo zwijających się najemnic Domuntówny i ją samą, to żnącą, to góry snopków uwożącą ku domowi.

Na przeciwnym krańcu wydrążonego w zbożu zagłębienia, zdala od wszystkich, wlokła się smut-

nie uboga, samotna para ludzi. Mężczyzna był tam bosy i odziany w grube, szarawe płótno, kobiéta w ciemnéj, staréj odzieży, starą chustkę miała na głowie. Na ich zagonie stał wóz zaprzężony jednym mizernym konikiem i owinięte w płachty leżało kilkomiesięczne dziecko. Nikt im nie pomagał, nikt nawet z tych, którym obok nich, z sierpem lub snopem przechodzić wypadło, z nimi nie rozmawiał. Był to najuboższy z Bohatyrowiczów, mieszkaniec chatki bez komina i ogrodu, stojącéj pod dębem, i jego żona-chłopka.

Wszyscy ci ludzie znajdowali się tak blizko siebie, nie dla tego, aby zagony, na których pracowali, były jedyną ich własnością, ale dla tego, że własności pojedyncze mieszały się na téj szérokiéj równinie w chaos, samym tylko właścicielom znany, a dla wszelkiego obcego oka i pojmowania do rozwikłania niepodobny. Żaden z nich, gruntu swego nie posiadał w jednéj ściśle odgraniczonéj całości, ani w bezpośredniém z domem sąsiedztwie. Rzekłbyś, paciorki do mnóztwa osób należące i na traf w najróżnorodniejsze kierunki rozsypane, a w przeciągu czasu na drobne ułamki rozbite i rozpierzchłe. Każdy z nich wiedział, gdzie szukać swoich ułamków i od jednego do drugiego przechodził z pługiem, siejbą, kosą i sierpem.

W tém miejscu ułamek Jana i Anzelma znajdował się tuż obok tego, na którym pracowała

rodzina Fabiana. Dwie tylko żniwiarki znajdowały się na nim: młodziutka, wiotka dziéwczyna, któréj delikatnéj twarzy nawet ciężki, całodzienny mozół zaczerwienić nie mógł, okrywając ją tylko słabym rumieńcem i lśniącą wilgocią potu, oraz tęga, muskularna, prosta jak świéca kobiéta, na pięćdziesiąt lat wyglądająca.

O lat pięćdziesiąt można ją było posądzić tylko z powodu zmarszczek, gęsto jéj czoło okrywających, tudzież ciemnéj skóry, która jéj drobne, chudawe rysy oblekała. Ale z ruchów sprężystych i trochę nawet nerwowych, z blasku małych, ciemnych oczu, z białości zębów, co chwila ukazujących się z za przywiędłych warg, wydawała się prawie zupełnie młodą. Żęła prędko, z zapałem, wybornie, zabiérając na raz wielkie garście żyta i tnąc je równo, nizko przy ziemi. Jednak, ile razy prostowała się i nieco w tył odgięta ściętą garść przyłączała do innych, już na ziemi leżących, tyle razy do kogoś zagadywała, z żartem zawsze, ze śmiéchem, z filuternemi spojrzeniami i zamaszystemi ruchami, od których sierp jéj rzucał w powietrze błyskawice wesołe i częste. W białéj koszuli, osłonionéj nieco chustką skrzyżowaną na piersiach, w krótkiéj spódnicy w czerwone i granatowe pasy, w małym czepku z białego perkalu na siwiejących włosach, wydawała się najweselszą, najżwawszą i najrozmowniejszą ze wszystkich żniwiarek, choć była po-

między niemi najstarszą. Kobiéty i dziéwczęta odcinały się jéj, czasem z chwilowym gniéwem, gdy jednéj dogadywała, że żnie powoli, i na wyścigi z sobą wyzywała; drugą kawalerem jakimś, który już się ożenił, w oczy kłóła; trzeciéj o weselu, zaraz po żniwach nastąpić mającém, przypominała. Chłopcy, śmieli się z niéj, pytali o zdrowie trzeciego jéj męża i o to, ile razy jeszcze za mąż wyjść myśli?

Teraz, przed kilku minutami, przerwała pracę, i stojąc przed kimś, na snopach siedzącym, głośno prawiła:

— Bo to, widzi panienka, po czém poznać głupiego? Po śmiéchu jego. Kpinkują sobie ze mnie, że trzeciego męża mam. Owszem! Ja temu nie winna, że Pan Bóg mi towarzyszów życia odbiérał, a takie już moje przyrodzenie, że nijak bez kochania i bez przyjaciela dozgonnego żyć nie mogę. Kiedy Jerzego, ojca Janka, ten przypadek spotkał...

Tu ręką w stronę zaniemeńskiego lasku rzuciła.

— Niezupełnie we dwa lata za Jaśmonta wyszłam. Ludzie różnie gadali. Pusta baba tak prędko towarzysza swego zapomniała! Owszem. Bo to wy jedno wiécie, a ja drugie. Co umarłym z tego, kiedy żyjącym w zasępie życie ubiéga? Niech tam temu Bóg najwyższy królestwo niebieskie dać raczy, a my sobie z tym wieczne ko-

chanie przed ołtarzem zaprzysięgniem. Jedno zachodzi, drugie wschodzi, a ze smętku jak z kozła, ani wełny, ani mléka!

Zaśmiała się tak, że aż głowę na bok odkręciła, i wnet prawiła daléj:

— Panienka śmieje się. Owszem. A jak Boga kocham, ja prawdę mówię. Bo to u mnie dwie rzeczy największy walor mają: kochanie i dozgonny przyjaciel. Takie już przyrodzenie mam. Jaśmonta, Antolki ojca, w dziesięć lat po ślubie odebrał mi Pan Bóg najwyższy. Tak samo jak po tamtym desperowałam, ale kiedy rok ubiegł, zdarzył mi się Starzyński ze Starzyn. Ludziom znów na języki padłam. Owszem. Wy wiécie jedno, a ja drugie. Noc po dniu następuje, a dzień po nocy. Śmiéch od płaczu smaczniejszy. Biéda jeszcze tylko była z dzieckiem. Ze Starzyńskim my jedno do drugiego chylili się jak dwa gołębie, ale wdowcem on był, gromadę wielką miał w chacie, z przyczyny córki brać mnie nie chciał. „Bo to gdzie ja tam będę — powiada — do siedmiorga swoich, jeszcze jedno cudze przyprowadzał.“ Boże najwyższy! Czyż mnie już tak, bez kochania i przyjaciela dozgonnego przez całe życie przepadać! Wzięłam Antolkę i do Janka ją przywiodłam: „Masz tobie, synku, siestrę. Hoduj ty ją, a ona tobie do pomocy stanie.“ Jemu było wtedy lat dwadzieścia, a jéj sześć. Anzelm był strasznie gniéwny. „Dla jakiéj to przyczyny —

mówi — sama dziecka swego hodować nie możesz? Zachciało się babie trzeci korowaj piec! Chłopca i bez tego brud zjada, że go dopatrzéć nie ma komu!“ Ale Janek jak przystał do niego: „Wezmę, stryjku, siestrę i wezmę. Co ma u ojczyma w poniéwierce ostawać, niech lepiéj u nas rośnie, a jak troszkę podrośnie, to nas dopatrywać będzie.“ Antolka! Może nie prawda, że on tak mówił? Ot jaki on! Bo to drugi odepchnąłby, a on przygarnął, na rękach ją nosił, karmił, odziéwał i do mnie jeszcze przez okazyą raz w raz nakazywał: „Mamie powiédzcie, że Antolka zdrowa i dobrze sobie rośnie!“ Ot jaki on! Antolka, może nieprawdę ja mówię?

Rozczuliła się tak, że aż usta do płaczu skrzywiła i fartuchem twarz otarła.

Wysmukła Antolka, jak wiotka trzcina odgięła się z nad ziemi, i obie ręce, z których w jednéj sierp błyszczał, ruchem zmęczenia nad głowę wyciągając, odpowiedziała:

— Lepszego niż on, to już prawie na całym świecie niéma. Żadnego ja smętku przy nim nie doznała. Chorujem razem i hulamy razem, a częściéj on co ciężkiego w gospodarstwie zrobi, niż ja!

Zgięła się znowu ku ziemi, i stara, gadatliwa kobiéta ku żytu także zwrócić się miała, gdy żona Fabiana, żąć nie przestając, jękliwym i śpiewającym głosem przemówiła:

— A koniec taki, że pani Starzyńska masz dwoje dzieci i żadnego sama nie wyhodowałaś...

W mgnieniu oka, spracowaną i suchą ręką Starzyńska oparła się na kłębie, i cieńszym trochę, niż wprzódy głosem odkrzyknęła:

— Nie wyhodowałam, a najśliczniejsze ze wszystkich mam... Owszem!

I zaniosła się od śmiéchu.

— Jak ku-kaw-ka! — z ironią zaśpiéwała znowu Fabianowa.

W téj chwili wóz ciągnięty przez kasztanka i gniadą, cicho wtoczył się na ściernisko.

— O, Jezu! — nim jeszcze konie stanęły z woza zeskakując, krzyknął Jan, i kilku skokami znalazł się przy kobiécie na snopach siedzącéj, którą usuwając się, odsłoniła przed nim matka.

Ze swobodną, przyjacielską wesołością, Justyna z nizkiego siedzenia swego oczy na przybyłego wzniosła, i żywym ruchem, rękę ku niemu na powitanie wyciągnęła. On tę rękę w obie dłonie pochwycił, i nizko schylony, na chwilę do niéj ustami przylgnął.

— Troszkę spodziéwałem się, że pani dziś do nas przyjdzie, bo mówiła, że chce na naszę robotę zblizka popatrzéć; ale wszystko jedno, jak zobaczyłem, że pani tu siedzi, jakby mnie słońce przed oczyma zaświéciło...

— Przecież dziś słońce nietylko świéci, ale aż prawie oślépia,— zaśmiała się Justyna.

Możnaby myśléć, że twarz Jana od jéj śmiéchu sposępniała.

— Pani żartuje—opuszczając ręce rzekł ciszéj.

— Bo to on prawdę mówi,—wmieszała się stara, podnosząc się znów z nad zboża i obok syna stając.—Tydzień już dziś, jak do niego przyszłam, i ciągle patrzę, jaki to zasęp na niego padł. Taki pochmurny zrobił się, że podczas przez całą godzinę gęby ani razu nie otworzy. Wszystko robi, co trzeba, owszem, ale smętliwie... ani pożartuje, ani zaśpiéwa... a jak spytam się: „Co tobie takiego, Janku?“— to mówi: „Bo to mnie mamo, ciemno robi się w oczach...“

— Co tam o tém gadać, mamo!— z niezadowoleniem przerwał Jan;— chodźmy lepiéj do roboty.

Ale ona łokciem czyniąc ruch taki, jakby odtrącić go chciała, z nogi na nogę przestępując, głową kręcąc, filuternie oczami błyskając, tajemniczo szeptać zaczęła:

— Owszem. Ja wiém zkąd ten zasęp na niego przyszedł, i dla jakiéj przyczyny ciemno mu robi się przed oczami. Bo to trzydzieści lat ma i bez kochania żyje. Żenić się czas...

— Co tam o takich rzeczach gadać! — z żywością tym razem i gniéwnym błyskiem oczu powtórzył Jan.

— Owszem, czemu nie gadać?— poruszając rękami i głową, żywo zagadnęła stara.— Bo to widzi panienka, z Jadwiśką Domuntówną tak jak

prawie od dzieciństwa lubili się... stryj tego tylko czeka, żeby pobłogosławić... i jéj dziadunio pobłogosławi...

— Chodźmy do roboty, mamo! — wykrzyknął chłopak.

— Owszem, dziéwczyna jak raz dla niego para, pracowita, poczciwa, śliczna... i *aktorka* (dziedziczka)... Bo to całe gospodarstwo na nię po dziaduniu spadnie, a mówią, że może i z pięć tysięcy warte...

Daremnie tym razem odtrącała go łokciem: silnie, niby żelazną obręczą syn ramię jéj ścisnął.

— Bo to — próbowała mówić jeszcze — był taki czas, że pomiędzy nimi zaczynało się już kochanie...

Ale teraz twarz Jana od brzegu włosów aż po ogorzałą szyję krwią nabiegła, i z turkusowych jego oczu sypały się błyskawice.

— Niech mama lepiéj żąć idzie, co głupstwa ma wygadywać!—krzyknął, i ku nawpół zżętemu zagonowi ją pociągnął, sam także do wozu odchodząc.

Wesoła baba wybuchnęła głośnym śmiéchem.

— Bo to wstydliwy zrobił się! O kochaniu i żenieniu się ani przypomniéć nie pozwala. Wszystko jedno, w czasie ożenisz się!

— A jak nie ożenię się?... Otoż pewno nigdy nie ożenię się! — czapkę na ściernisko rzucając

i snop z ziemi podnosząc, zawołał.— Jeszcze tego nie było, żeby mnie kto do czego przymusił!

Hardo głowę podniósł, usta wydął, i gdy silnemi, namiętnemi ruchami, snopy na wóz rzucać zaczął, łatwo było uwierzyć w to, że dumę i wolę swoję miał. Nie trudno byłoby także wyczytać z jego twarzy ten zasęp i tę smętliwość, o których opowiadała jego matka. Pod okrywającą je rumianą ogorzałością, policzki jego schudły i wydłużyły się nieco, a gdy uspokojonemi już i prawie rytmicznemi ruchami snopy na wóz rzucając, zamyślił się, na czoło jego, znacznie bielsze od policzków, wybiegła gruba, poprzeczna zmarszczka.

Po chwilowych rozmowach znowu na łanie zapanowała praca milcząca i gorliwa. Lekkie przedwieczorne wiatry muskać poczęły wiérzchołki niezżętych jeszcze zbóż i urywanemi akordami szmerów wtórować temu suchemu, monotonnemu, nieustannemu szelestowi, jaki wydawały łamiące się pod sierpami kłosy i z ziemi podnoszone snopy. W tym szeleście i w tych szmerach, postacie żniwiarek różnobarwne, milczące i nizkie, wysmukłe i przysadziste, prostowały się co chwila i w tył nieco odgięte podnosiły w rękach garście długich, kłosistych łodyg, które na rozciągniętém powrośle złożywszy, znowu ku ziemi przypadały. Czasem, ta lub owa, szybkim ruchem rękaw odzieży po spotniałém

czole przesunęła, lub odetchnęła głośno. Do stóp im razem z kłosami upadały różowe kąkole, ponsowe maki i siwiejące bławatki; za niemi, nizkie, liliowe groszki, drobne rumianki, kosmate kotki, zostawały nietknięte śród ostrych kolców ścierni; z pod ich rąk niekiedy wznosił się i w powietrzu igrał biały puch przekwitłego brodawnika; przed niemi, o kilka czasem kroków, zrywał się ptak spłoszony i przelęknionym lotem przerznąwszy powietrze, nie wiedzieć gdzie, może w gęstwinie zbóż jeszcze stojących, przepadał.

Na kilku snopach, w jedném miejscu złożonych, Justyna siedziała w zamyślonéj postawie, z twarzą na dłoń spuszczoną. Uważnie, ciekawie przypatrywała się ruchom pracującego nad nią mrowiska ludzi.

Ona także, od dnia tego, w którym po raz piérwszy weszła do zagrody Anzelma i Jana, odbywała podróż po kraju nieznanym. Przedtém w bezpośredniém jego sąsiedztwie żyjąc, wiedziała o nim to tylko, że istnieje, i wiedziała to w sposób obojętny, niewyraźny. Teraz przenikała w coraz dalsze jego głębie. Jak imion i dziejów wielu z tych roślin dzikich i pachnących, po które zawsze sięgała chciwie okiem i ręką, tak imion i dziejów wielu z tych ludzi już się nauczyła. Ta podróż po kraju natury, ku któremu zawsze pociąg czuła, po kraju ludzi, których dotąd nie znała, budziła jéj ciekawość i zajmowała umysł. Jak

bujne kwiaty rzeźwą rosą operlone i nieskończoną ilością barw jaśniejące, te poznawane zblizka widoki, prace, dzieje wpadały do téj wielkiéj, ciemnéj pustki, którą oddawna widywała, ilekroć przymknąwszy oczy, patrzéć usiłowała w siebie i swoje życie.

Teraz, pełném, bystrém, na wszystko uważném okiem patrzyła na to, co działo się przed nią. Czasem napełniało ją wielkie rozczarowanie, podnoszące się kto wié zkąd? może z łanów złotych, ze ścierniska przetykanego kwiatami, z powietrznych ruchów, sprawianych przez skrzydła ptasie i powiewy nadrzecznych wiatrów. Czasem wspaniała choć prosta malowniczość widoku uderzała w nię falą zachwycenia, w któréj prostowała ona swą kibić tak, jakby sama na wzór żniwiarek, podnoszących w rękach kłosiste więzie, wnet powstać miała i niecierpliwie czy błagalnie nad głową wyciągnąć swe puste dłonie. Były téż chwile, w których nieustający, suchy szelest kłosów wydawał się jéj mową ziemi. Niedarmo dawny jéj kochanek wspominał jéj o minionych marzeniach i zapałach. Była do nich skłonną i teraz, bo raz, gdy pochylona, z blaskiem w oczach i wpółuśmiéchem na ustach wsłuchywała się w szepty ziemi, uczyniła ruch taki, jakby zaraz zsunąć się z nizkiego siedzenia i do jéj łona przypaść miała.

Tymczasem pod rękami coraz gorliwiéj pracujących żniwiarek, szelest kłosów stawał się coraz głośniejszym, coraz żwawiéj rzucane snopy wydawały, spadając na wozy, głuche, szemrzące stuki. Od ziemi, oblanéj wonią świéżéj słomy i okrytéj ścierniskiem wyhaftowaném w drobne kwiaty, Justyna podniosła twarz zbladłą nieco, zesztywniałą, przez kilka minut postarzałą o lat kilka, ze źrenicami przygasłemi, które wilgocią zachodziły. Z dziwném zmieszaniem, jakby nagle uczuła się w tém miejscu gościem natrętnym, istotą obcą i niepotrzebną, chwastem w kłosy wplątanym, uczyniła ruch do powstania. Usiadła jednak znowu, i zmieszane, niespokojne spojrzenia rzucała dokoła siebie.

Jedno z tych spojrzeń spotkało się ze stojącą w pobliżu, znieruchomiałą postacią Jana. Od kilku minut już, robotę swą przerwawszy, stojąc u samego wozu, do połowy napełnionego snopami, wpatrywał się on w Justynę z takiém wytężeniem, że aż głowę podawał naprzód, a na białe czoło wystąpiła mu znowu gruba, poprzeczna fałda. W rękach jego, długie widły ukośną linią opuszczały się ku ziemi, badawcza ciekawość pogłębiała błękitne jego źrenice. Nagle widły mu z rąk wypadły i namiętnym niepokojem zadrgały rysy. W mgnieniu oka znalazł się przy niéj, pochylił się, uczynił ruch taki, jakby rękę jéj chciał

pochwycić, lecz tylko przyciszonym głosem przemówił:

— Co pani takiego? Taka pani zrobiła się smętna? Aż łzy w oczach stanęły? Dla jakiéj przyczyny?...

Wyrazy zrazu śpieszne, stopniowo miękły mu w ustach, prawie mdlały.

— Może nadmiar śmiały jestem? — dokończył cicho.

Podniosła na niego oczy, napełnione blaskiem i łzami, i cicho odpowiedziała:

— Po co ja tu, między wami? Wstyd mi! taki wstyd!... Poszłabym sobie, ale i w domu także nic... nic...

Umilkła, lecz on jeszcze słuchał chwilę, a potém, z ową głęboką brózdą, która w ostatnich dniach na czole jego zjawiać się zaczęła, wyprostował się i przed nią stanął. Nie wydawał się wcale zdziwionym, tylko w zamyśleniu, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, końcami palców dotykał czoła. Potém, milcząc, zrobił parę szérokich kroków, pochylił się nad matką i szepnął do niéj słów kilka, a gdy do Justyny powrócił, sierp trzymał w ręku.

Ona podniosła się z nizkiego siedzenia swego i przed nim stanęła. Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy, jakby wzajem myśli swe odgadnąć usiłowali. Potém Jan śmiałym ruchem głowę podniósł, i podając Justynie sierp, w którym

słońce krzesało srébrne błyskawice, z cicha wymówił:

— Proszę!

Z pochyloną trochę głową wyciągnęła rękę, i z poważnym na ustach uśmiéchem połyskujące narzędzie z ręki jego wzięła.

Na całe ściernisko, pokryte mrowiskiem istot ludzkich, na cały ten łan szumiący upadającemi kłosami, rozległ się dźwięczny, donośny, radością nabrzmiały głos Jana:

— Mamo! proszę tutaj! Mamo! mamo! proszę!

Żwawa, wesoła kobiéta w perkalowym czépku na siwiejących włosach, biegła już ku Justynie, rękami machając i językiem trzepiąc:

— Dobrze, panieneczko! dobrze, robaczku! owszem. Bo to i niebardzo trudna robota! Kiedy ja stara mogę, to dla jakiéjże przyczyny nie mogłaby młoda? Nie święci, panieneczko, garnki lepią... Owszem... proszę tylko nachylić się, popatrzéć, a potém i saméj spróbować...

Antolka, Elżusia, dwie inne jeszcze dziéwczyny, wyprostowały się na zagonach, i z uśmiéchami, z niedowierzaniem, ale bez zdziwienia, patrzyły na schylającą się ku zbożu pannę, w sukni z takiegoż perkalu, jak ten, z którego uszyte były ich kaftany, ale modnie skrojonéj i przybranéj, a obcisłością swoją rysującéj wydatnie kibić wysoką, silną i kształtną.

Nagle przysadzista Elżusia zawołała:

— Bardzo słusznie! Panienka żąć może, tak jak i my... jeszcze prawie silniejsza od nas... tylko gorset zdjąć trzeba, bo w nim i godziny wytrzymać nie będzie można...

— Bardzo słusznie! — chórem zaśmiało się kilka kobiécych głosów.

I rzecz dziwna! z kilku par oczu trochę złośliwe i pogardliwe wejrzenia strzeliły na obcisły i wyraźnie rogi gorsetu zdradzający stanik Justyny.

Z ognistym rumieńcem Justyna pochylała się ku ziemi obok matki Jana.

— Jutro niedziela — rzekła z cicha, — ale pojutrze przyjdę wcześnie i ubiorę się stosownie; a dziś, tymczasem, proszę mi pozwolić choć trochę... ile będę mogła...

— Owszem, robaczku, dobrze! — zagadała stara, — bo to nie słuchaj tego, co te sroki skrzeczą. Taka sama ty dobra, panieneczko, jak i one, tylko w poniedziałek kaftan sobie taki luźnieńki, szérokieńki włożysz, i jak zaweźmiem się, to we dwie, z dziesięć kop użniem Jankowi... Owszem.

Jan teraz znajdował się na wozie w połowie snopami napełnionym, a że więcéj już snopów do zbiérania nie było, stojąc na tém kłosistém, złotém, sprężyście pod stopami jego wyginającém się posłaniu ze ścierniska, zjeżdżał na drogę. W téj saméj chwili, z drogi na ściernisko wjeżdżała

Domuntówna. Przestrzeń zaledwie jednego morga przedzielała dwoje tych ludzi, których postacie na wozach stojące, jednostajnie wyprostowane i silne, przypominały ścigających się na arenach, klasycznych atletów. Śnieżna białość jego koszuli, na błękitném tle powietrza, odpowiadała gorącéj różowości jéj kaftana. Jego włosy w słonecznym blasku miały złotawą płowość zaczynającego dojrzéwać żyta; jéj bujna, roztargana kosa wydawała się snopem gorąco-brunatnéj pszenicy. W takiém od siebie znajdowali się oddaleniu, że rozmawiać z sobą nie mogli. Jednak dziéwczyna, patrząc w stronę jego wozu, zwolna jeszcze toczącego się po zagonach, rozpoczęła rozmowę taką, jaką prowadzić z sobą od najmłodszych lat byli zapewne przywykli, która płynęła górą, nad złotym łanem i pochyloném nad nim mrowiskiem ludzi, w powietrzu czystém, gorącém, rozchodząc się czystą, rozgłośną nótą pieśni:

— „O góro! o góro! zielony lesie!
O drzewa zielone, liście spadające!
O serce strwożone, do ciebie pragnące,
O góro! o, góro! zielony lesie!“

Jan Bohatyrowicz, skręcając na drogę, brzegiem ścierniska sunącą, męzki swój głos połączył ze śpiéwem dziéwczyny. Powoli jadąc, śpiéwał:

— „Jak drzewo od mrozu pęka lub usycha,
Tak serce do ciebie śmieje się, to wzdycha,
O góro! o góro! zielony lesie!
Jak kwiatek na słońcu kwitnie lub więdnieje,
Tak serce do ciebie pali się, to mdleje,
O góro! o góro! zielony lesie!"

Umilkł, a Domuntówna czystym, silnym kobiécym kontraltem ciągnęła sama:

— „O drzewa zielone, liście spadające,
O serce strwożone, do ciebie pragnące,
O góro..."

Strwożone może było jéj serce, bo głos jéj zemdlał i na zatrzymanym wozie stała nieruchoma, na ten sam punkt łanu patrząca, ku któremu Jan zdala jeszcze twarz zwracał i wzrok wytężał. Z drogi, zdaleka już, ale wyraźnie i rozgłośnie znowu na łan zleciały i po nim płynęły długie, namiętne dźwięki pięknego głosu Jana:

— „Jak słowik na drzewie zaczyna swe pienie,
Zasyłam do ciebie serdeczne westchnienie,
O góro! o góro! zielony lesie!
O piękna kalino, prześliczna malino,
Najdroższa z klejnotów ma luba dziéwczyno,
O góro! o góro! zielony lesie!

Odchodzę od ciebie, tyś zawsze mi w oczach,
I w myśli, i w sercu, i we dnie, i w nocy,
O drzewa zielone, liście spadające,
O serce strwożone, do ciebie pragnące...
O góro... o góro...“

Wesoła baba w białym czépku nad Justyną schylona, błyskając oczami, prawiła:

— Bo to, widzi panienka, on piérwszy śpiéwak w okolicy, a ona piérwsza śpiéwaczka. I na gitarze dziadunio ją grać nauczył. Zimową porą, jak cała młodzież zejdzie się wieczorem do takiego domu, w którym największa jest świetlica, tańczą sobie, a jak nie tańczą, to Jadwiśka gra na gitarze, a mój Janek śpiéwa... Owszem. Niech kochają się, robaczki, niech kochają się! Niezadługo pewnie i pobiorą się... bo to słońce pierwéj wejść musi, nim dopiekać pocznie... Tak i kochanie zaczyna się pomaleńku, niby to jest, niby to niéma, aż dopiecze i do ołtarza poprowadzi! Cha! cha! cha!

W téj chwili Justyna, która pod dyrekcyą staréj, kilkanaście już garści żyta z trudnością i niezręcznie zżęła, ostrzem sierpa drasnęła się w rękę. Może sama przed sobą nie umiałaby zdać jasnéj sprawy, dla czego przy słowach i chychocie matki Jana, ostre narzędzie drgnęło w jéj silnéj i bynajmniéj jeszcze niezmęczonéj ręce. Draśnięcie było niewielkie i kilka tylko kropel krwi

wystąpiło na ogorzałą, lecz delikatną skórę jéj ręki; przecież wydało jéj się, że ból dolegliwy uczuła, nie w ręku jednak. Tak jak tamte wszystkie robiły, wyprostowała się i dużą garść kłosistych łodyg w dłoniach podniosła, aby je za sobą na zagonie złożyć. Ale mimowoli, wzniosła ręce wyżéj, niż to czyniły tamte i w téj postawie nieruchomą przez chwilę została. Myślała, że istotnie ta para ludzi młodych, silnych, jak poranek wiosenny świéżych i żadnym, zda się, pyłem życia niedotkniętych, stworzoną była dla siebie. Nadejdzie południe i piekące kochanie zaprowadzi ich do ołtarza, przed którym staną czyści i szczérzy, aby potém, przez długie lata, razem żyć w tym domku pod sapieżanką, albo w tamtym, pod lipami, który ona jemu bogatém wianem wniesie, aby razem tę ziemię złotemi plony okrywać i razem je zbiérać, a w zimowe wieczory, przy szumie nadniemeńskich wiatrów i bieli śniégiem okrytych rozłogów, przy blaskach księżyca, srébrzących bór odwieczny i brylantami szronów okryte ściany parowu, dźwiękami gitary i połączonych dwojga głosów, napełnić białą świetlicę...

— Bo to panienka skaleczyła się! — zabrzmiał głos gadatliwéj baby, — Boże przenajświętszy! Ale to nic! to z nieuzwyczajenia! Cha, cha, cha! Nim panienka za mąż wyjdzie, zagoi się! Cha, cha, cha! Ej! bo to panienka i sama na paluszek swój nie dmucha, kiedy znowu do roboty bierze

się! Owszem! To tak prawie, jak ja. Kiepkują ze mnie ludzie, że kochliwa jestem, ale o to mnie bynajmniéj! Za toż o lenistwo nigdy na ludzkie języki nie padłam! I w swojéj chacie wszystko zrobię, i synkowi na pomoc przybiegnę! Ile zaś razy sierpem albo nożami do krajania zielska, albo tam czém inném ręce sobie pokroiłam, toby już tego i Bóg przenajświętszy nie zliczył. A przy kochaniu wszystko dobrze. Tak i panience rączka zagoi się, jak tylko luby pocałuje! A czy jest luby?

— Niéma, — z uśmiéchem odpowiedziała Justyna.

— Oj, to źle! trzeba żeby był! Ale ja cościś słyszałam, że i był... tylko... niestały. Bo to ludziom gęby nie zatknąć. Gadali! A ja, owszem, dziwowałam się temu panu, że takiéj ślicznéj panienki nie wziął... i Jankowi za przykład stawiłam: „Nie bądź ty taki, synku! Jadwiśki swojéj nie porzucaj!“ A on jak ofuknie: „Ja—mówi— nic Jadwiśce nie przyrzekał, a ten pan téj pannie przyrzekał i nie dotrzymał. A kiedy tak, to on jest prawie łajdak i do tego jeszcze głupi, bez oczu, bo panna śliczna i taka po nim tęskliwa, że mnie zdaje się, łój roztopiony do serca kapie, kiedy ją gdzie obaczę!“ Ot, jaki on! do mnie przyrodził się... czuły i taki romansowy...

Ciemną, mnóztwem istotnie śladów skaleczeń okrytą ręką, oczy sobie otarła, bo zawsze płaka-

ła, albo przynajmniéj na płacz się jéj zbiérało, ilekroć o rzeczach czułych i romansowych mówiła.

W téj chwili, na brzegu ścierniska rozległo się pozdrowienie mezkim głosem wymówione:

— Dopomóż Boże!

— Dziękujemy!— odpowiedziało kilka mezkich i kobiécych głosów, a matka Jana wyprostowała się, i rękę na kłębie opiérając, zaśmiała się do przybyłego całym rzędem jasnych zębów.

— Pan Fabian widać do hrabiów przypisał się, kiedy w taki roboczy czas spaceruje sobie. Owszem. Bo to wygoda w chacie wielką gromadę mieć. Żonka i dzieci wszystko zrobią, a ociec muchy po drogach ściga. Cha, cha, cha!

Na brzegu ścierniska, rumianością rydza jaśniała twarz Fabiana, szorstkim wąsem zjeżona i parą małych, bystrych oczu połyskująca.

— Ot i poruszyła baba rozumem, jak cielę ogonem!—zwolna postępując naprzód, odkrzyknął.— U pani Starzyńskiéj zawsze gęba wiatrem nabita. Kiedyż to ja od pracy ubiegałem? a że dziś przy robocie nie stoję, to z przyczyny takich interesów, których taka głowa, jak pani Starzyńskiéj, pojąć nawet nie zdoła. Teraz zaś idę do moich snopków, co pod laskiem na mnie czekają, i tu zaszedłem, dla obaczenia, ile mego żyta na przyszły tydzień pozostanie.

— Nic tatku nie pozostanie! Wszyściutko dziś zeżniem! — zawołała Elżusia.

— Taki koniec, że bez jegomościa obeszło się, i jednego naszego kłosa na tym kawałku dziś nie pozostanie! — zaśpiéwała matka rodziny.

Rodzina ta, z dwu kobiét i cztérech mężczyzn złożona, już i przedtém gorliwie pracowała, ale z nadejściem zwierzchnika swego gorliwość tę zdwoiła. Nawet wysoki, pleczysty Julek, który przedtém, stanął był na zagonie jak słup nieruchomy i sennym, tęskliwym wzrokiem w stronę Niemna patrzył, teraz z podniesionemi ramionami, głośno sapiąc i bardzo pośpiesznie, widłami snopy z ziemi podnosił, i układającemu je na wozie bratu podawał. Fabian, coraz daléj po ściernisku powoli i z powagą postępował, a na widok kilkunastu swych zagonów, zupełnie już ze zboża obranych, z widoczném zadowoleniem kępką stérczących wąsów poruszał. Puszył się zaś coraz więcéj, szérokie, czerwone ręce w kieszeniach czarnych spodni zatopił i coraz dumniéj po téj części państwa swego kroczył, na któréj tak pomyślnie gospodarowała jego rodzina. Wtém stanął, rękę z kieszeni wyjął, i czyniąc z niéj sobie nad oczyma daszek, patrzył w stronę dwojga ludzi samotnie u brzegu ścierniska pracujących.

— Hej! Ładyś!—rozległ się na całe ściernisko krzyk jego popędliwy i głośny, — a czyje to żyto żonka twoja sierpem zaczepia? Niby to na swoim

zagonie żnie, a obok rosnące skubie? Bóg mnie ubij na ciele i na duszy, kiedy te chamy ćwierci mego pracowitego zagonu nie spustoszyły!

Krew zalała mu czoło, policzki i nawet białka oczu, które niepohamowaną złością zagorzały.

Na widok szkody dobru jego wyrządzonéj, powaga jego i pycha zniknęły w mgnieniu oka, i tak lekki, jakby miał lat dwadzieścia, z pięściami tak zaciśniętemi, jakby godził na śmiertelnego wroga, biegł, leciał prawie, zagony przeskakując i wysoko za sobą podrzucając ciężko obute nogi. Żona i córka jego żęły daléj, ale dwaj dorośli i dwaj niedorośli synowie, przerywając robotę, patrzyli za nim z widocznym przestrachem w oczach, któremu jeden z nich tylko, zapalczywy i także do gniewu skłonny Adam, nie uległ. On także, na widok szkody zbożu ojcowskiemu wyrządzonéj, gniewem zapłonął, i stojąc na wozie pełnym snopów, z brwiami ściągniętemi i błyskającemi oczyma, cały podał się naprzód, do skoku i rzucenia się ojcu z pomocą gotowy.

W połowie drogi Fabian stanął, ku synom się zwrócił, i obu rękoma machnąwszy, z całéj piersi, jeden tylko wyraz im rzucił:

— Gomuły!

Dwa zagony jeszcze przeskoczywszy, znowu obejrzał się i krzyknął:

— Harbuzy!

Znowu poskoczył naprzód, i raz jeszcze krwisto czerwoną twarz swą odwracając, wrzasnął:

— Z dopustu bożego, durnie!

Adam z wozu skoczył; niedorosłe chłopcy, z których jeden lat piętnaście, drugi siedmnaście mógł liczyć, sierpy na ziemię rzucili, i wszyscy trzéj wielkim biegiem puścili się za ojcem. Czas też był, aby z pomocą mu pośpieszyli, bo młodszy o lat kilkanaście, barczysty Ładyś i żona jego, wysoka, muskularna, z wielkiemi rękoma, choć z wychudłą twarzą kobiéta, z krzykiem téż, z pięściami i widłami, na spotkanie napastnika biegli.

Adam z wozu zeskakując, widły z rąk Julka pochwycił. Dwie minuty zaledwie od rozpoczęcia się sporu minęło, gdy na ściernisku, tuż przy zagonie Fabiana, który stał się kością niezgody i którego brzeg istotnie przez sierp Ładysiowéj żony w dziwne zęby i wykąsy był poszczérbiony, powstał kłąb zwikłanych z sobą ciał ludzkich, strasznemi krzykami buchający, a ramionami i widłami, nakształt miotanych przez wicher skrzydeł młyńskich rozmachany.

Żniwiarki z sierpami w opuszczonych rękach na zagonach stanęły, i w stronę bójki zwróciły twarze z przelęknionemi oczami, z porozwiéranemi usty. Widowiska takie nie często zdarzać im się musiały, skoro czyniły na nich tak głębokie wrażenie. Zdarzały się jednak; bo i teraz niektóre szeptały pomiędzy sobą, że może Fabian

Ładysia tak zbije, jak dwa lata temu zbił Klemensa, który mu łączkę spasał, albo sam okaleczony zostanie tak, jak mu się to zdarzyło w wypadku jakimś, w którym innemu sąsiadowi, przez pomstę za jakąś „ubligę“ drogę zaorał.

— Bo to — zagadnęła matka Jana — on i sam krzywdy ludziom robić umié. — To pólko Jankowe był już sobie przywłaszczył, kiedy Janek był mały, a Anzelm chory, że go owszem procesować musieli...

— Pani Starzyńska bardzo już wszystko pamiętająca, — zaczęła żona Fabiana, która tak drżała, że aż zęby jéj głośno uderzały o siebie.— A taki koniec, że ten Ładyś, złodziéj, na wszelki kłosek, na wszelaką trawinkę cudzą przymiera z chciwości.

— Bardzo słusznie! z chamką ożenił się i sam schamiał, a teraz ojca jeszcze skaléczy!—popędliwie krzyknęła Elżusia. — Julek! — krzyczała daléj, rozpaczliwie oglądając się na wszystkie strony,— Julek! biegaj ojcu pomagać!

I zaraz czerwone ręce załamała.

— Bardzo słusznie! — jęknęła, — uciekł!

— Owszem, bo to na Niemen drapnął, cha, cha, cha! — roześmiała się Starzyńska.

Istotnie, widać było zdala ogromnego, rudego chłopca biegnącego co sił przez ogrody i podwórka okolicy, ku rzéce. Z głową w tył odrzuconą, z miotającemi się w obie strony ramionami, prze-

skakiwał nizkie płotki i pędem strzały obiegał domy, a za nim biegł téż, pod płotkami prześlizgiwał się, zagony ogrodów przeskakiwał, radośnie i rozgłośnie skomlący Sargas.

Ale wrzawa kłótni przyciągnęła kilku ludzi z poblizkich łanów; Jan także, który na ściernisko pieszo już wrócił, z gniewnie ściągniętemi brwiami biegł ku walczącym. Po cichém przed chwilą polu rozległy się krzyki trwogi i oburzenia.

— Wstyd! obraza bozka! biją się jak chamy! Fabian, upamiętaj się! Ładyś, rzuć widła!

W kilka minut walczących rozbrojono i rozłączono. Napastnicy, sapiąc i jeszcze krzycząc, na swe zagony odchodzili; napastowani, z głośnym płaczem kobiéty i dziécka, zjeżdżali ze ścierniska na swym mizernym, jednokonnym wozie, na którym siedział Ładyś w podartém odzieniu i ze śladami uderzeń na twarzy. Rozjemcy pośpiesznie do pracy wracali. Jan, oddając Adamowi widła, które mu z rąk był wydarł, ocićrał pot z twarzy, okrytéj wyrazem goryczy i pogardy.

— O, wy, wy, złośniki, drapieżniki, wstydu w oczach i Boga w sercu nie mający! — głośno i z gniéwem do Fabiana i synów jego mówił.— Czy wy psu oczy sprzedali, żeby takie rozbójnictwa i awantury wyrabiać? I za co? dla jakiéj przyczyny? za garść żyta...

— Nie garść, ale pół zagona! — krzyknął Fabian, — a ty w cudze garnki nie zaglądaj, żeby czasem na twojéj głowie nie pękły! Ot, z dopustu bożego pośrzednik i jednacz jaki!

Zapérzony był jeszcze, na czole miał czerwoną szramę, około nasrożonéj kępki wąsów siną plamę; jednak ze zmieszaniem na twarzy coś około wozu swego poprawiał, i oczu nie podnosząc, coraz ciszéj mruczał:

— Kruk z rodu złodziéj! Bodaj go marnie zabito, chama tego! bodaj on na psa zszedł!

Adam, na wóz wskakując, jak piwonia czerwony, krzyknął:

— Kto hrabia, dla tego pół zagona nic nie znaczy, ale ubogiemu i prosiątko drogie! Jan arystokrat, to może swoje darowywać, ale my biédne mrówki, które swój gniéw mają, gdy krzywdę ponoszą!...

Jan parsknął szczérym, głośnym śmiéchem.

— Oj, Adaś, Adaś! — wśród śmiéchu tego wołał, — czy ty na morzu rozum swój zostawiłeś, że takie głupstwa gadasz! Jakiż ja arystokrat? Ja tylko to wiém, że nijaki porządny gospodarz nie zubożeje, kiedy mu biédny człowiek jaką tam garść zboża zeżnie, albo trawinę spasie, i materya do zwady, a osobliwie do takiego rozbójnictwa z tego wynikać nie powinna. Ale twój ociec na wszelką pylinkę ziemi i na wszelkie ziarneczko mrze z upragnienia, a ty znów w tym ro-

ku sępa ludziom pokazujesz, ze strachu. że cię w sołdaty zaraz wezmą. W cudze garnki zaglądać nie lubię, ale to wam powiedzieć musiałem. Bić się z wami, ani z nikim, jak Bóg jest na niebie, nie będę, ale językiem nie poruszyć, kiedy takie haniebne postępki widzę, to już nijak nie mogę.

Głośno z oburzenia sapnął, ręką machnął, i wyzywającym ruchem czapkę na głowie przesunąwszy, na swoje zagony wrócił.

Nic już prawie na tych zagonach do robienia nie pozostawało; trochę stojących jeszcze na nich kłosów za krótki kwadrans upaść miało pod sierpami żniwiarek. Starzyńska mówiła o pszenicy, któréj zbiéranie w poniedziałek zaczynać trzeba, bo tak już dojrzała, że wnet wysypywać się zacznie.

— A oto panienka—prawiła daléj—pewno już do nas drugi raz nie przyjdzie, takie grubiaństwo dziś obaczywszy. Nadmiar panienka przelękła się i już nawet uciekać chciała, cha, cha, cha!

Istotnie, hałaśliwy spór w polu wybuchający strwożył był Justynę tak bardzo, że sierp z ręki upuściła. Oprócz trwogi, doznała może i innych przykrych uczuć. Niesmak odmalował się był na jéj ponsowych ustach, brwi ściągnęła, i zdawać się mogło, że wzgardliwie na ten kłócący się i do bójki zrywający się motłoch ramionami wzruszyw-

szy, śpiesznie i zaraz odejdzie. Ale było to tylko mgnienie oka, po którém coś w sobie widocznie zwyciężała i nad czémś myślała. Z chciwą ciekawością patrzyła na Jana, gdy usiłował rozbrajać walczących, i słuchała gniéwnych jego wyrzutów, Fabianowi i synom jego czynionych. Teraz, zupełnie spokojna, z twarzą od ciągłego pochylania się rozognioną, złożyła na ziemi garść ściętego zboża, i prostując się, odpowiedziała:

— Alboż to tutaj tylko zdarzają się rzeczy niedobre i smutne? Wszędzie są takie i daleko jeszcze gorsze, a jedyna różnica — w formie!

W słowach tych wypowiedziała myśl, która przed kwadransem zwyciężyła w niéj przestrach i niesmak, i od ucieczki ztąd powstrzymała. Wypowiedziała ją po prostu, z lekkiém wzruszeniem ramion, głębokie przekonanie objawiającém.

— Z daleka patrząc — dodała z mimowolnym ruchem oka na Korczyn, — można sobie wyobrażać, że tam nic złego, ani brzydkiego niéma, ale zblizka... jeżeli nie jedno, to drugie i może gorsze jeszcze... jedyna różnica w formie!

Starzyńska w grube i pokaleczone, ale kształtne, suche ręce klasnęła, i zawołała:

— Bo to panienka prawdę mówi. Owszem. Wszędzie znajdą się złe ludzie... tylko jedni inaczéj, a drudzy inaczéj złość swoję okazują... A Bóg najwyższy na jedném polu i barana i kozła cierpi...

— Jaki ja kontent, jaki ja kontent, że pani tak sobie pomyślała, — zabrzmiał obok Justyny głos Jana; — a to już mnie do głowy przychodziło, że pani Bóg wié za kogo nas poczyta, może za rozbójników jakich...

Promieniał cały, śmiał się i nie wiedziéć czemu, pochyliwszy się nagle, kilka kwiatów ze ścierniska zerwał. Nie myślał o nich wcale, ale chciał ukryć płomienie, które mu czoło, policzki, uszy i aż ogorzałą szyję opłynęły. Z tym jeszcze powoli spływającym pożarem krwi i ze szczególnie przy nim odbijającém zamyśleniem w oczach, powtórzył słowa Justyny:

— Jedyna różnica w formie... czyli, że wszelakie charaktery wszelako bywają objawiane, u jednych pięknie, u drugich brzydko... ale to jest forma, czyli powierzchowność i znikomość, a prawdziwy walor człowieka w tém, co on we środku ma...

Zrozumieli myśl Justyny, wybornie ją zrozumieli oboje: matka i syn. Antolka wpół gołębie, a wpół dziewicze swe oczy ku Justynie wznosiła.

— Żeby to Justynka w poniedziałek bez gorsetu przyszła, tobyśmy może i cały dzień razem żęły...— szepnęła.

— Bo to i robotnica tobie, Janku, przybyła! facecya, dalibóg facecya! cha! cha! cha!

Głośnym, filuternym śmiéchem, na wsze strony oczyma błyskając, zaniosła się Starzyńska, a po-

tém nogą o ziemię uderzając i széroko ramionami rozmachując, zawołała:

— A teraz, owszem, do roboty, dziatki! Bo to jeszcze jaki kwadransik i calutkie to pólko Jankowi ogolim! Żwawo, dziatki, żwawo! A i ty Janek, za ten sierp chwycić się możesz, który Alżusia tam na zagonie rzuciwszy, sama za ojcem pobiegła! To nic, że takim wielkim mężczyzną wyrosłeś, swoim babom dopomódz nie wstydno! Żwawo, dziatki!

Wyrazem: „dziatki“ i nową robotnicę swoję ogarniała. Żwawo wszyscy czworo rzucili się ku zbożu, żwawo i milcząc żęli; tylko raz Antolka zachychotała z mimowolnych stękań, które niekiedy wydziérały się z piersi Justyny. Justyna zaśmiała się tak głośno, jak nie śmiała się nigdy, i zaledwie oddychać już mogąc, upewniać zaczęła, że wcale a wcale zmęczoną się nie czuje, a Jan z ogromną garścią zboża prostował się w całéj swéj wysokości, dziwnie w téj chwili poważnym i zamyślonym ruchem odgarniał z czoła opadające na nie włosy i w górę, wysoko ku samym obłokom patrzył oczyma napełnionemi srébrzystém światłem. Wtém, tuż za nimi, rozległ się gwar kilkunastu głosów, z którego wyróżniał się głos jeden, młodzieńczy, dźwięczny i wesoły, ze śmiéchem i klaskaniem rąk wołający:

— Brawo, Justynko, brawo! Boże dopomóż robotnicy nowéj! Jak się masz, Janku! Jak

się ma pani Starzyńska? Brawo, Justynko, brawo!

Szczupłém lecz giętkiém ramieniem z nad ziemi podniesiona, Justyna zobaczyła młodego krewnego swego, Witolda, który z głośną, dziecinną prawie wesołością w śmiéchu, w oczach i na promieniejącém czole, kilka razy ją po zagonie okręcił.

— Dużoś nażęła? Długoś żęła? Czy naprawdę żąć umiész? Przecież choć raz nie brząkasz na fortepianie i nie tułasz się po domu jak Marek po piekle. Bo przecież na świecie każdemu coś robić trzeba! Prawda, Janku? Pamiętasz, Janku, jakeś mię niegdyś z Niemna wyłowił, kiedym jeszcze malcem będąc, pod sekretem przed Julkiem wybrał się na pływanie? Julek to pływać mnie uczył! A panna Antonina czy mnie nie poznaje? Przecież dwa lata temu, i przedtém jeszcze, ileż razy zbiéraliśmy razem grzyby i poziomki! Ale z ciebie, Justynko, zuch! znudziłaś się klapaniem po klawiszach i romansowemi książkami, i żąć poszłaś, brawo!

Śmiejąc się i w różne strony zwracając, ściskał ręce Starzyńskiéj, Antolki, Jana, który przyjaźnie i poufale śmiał się także, przypominając sobie, jak o lat blizko dziesięć młodszego od siebie Witoldka raz z wody wyciągnął.

— Czemu Witold nigdy do nas nie zajdzie? — z wyrzutem zapytał. — Do Fabianów ciągle cho-

dzi i do Walentych, nawet u Ładysiów raz był, a o nas zapomniał.

— A kiedy twój stryj podobno chory i nie lubi widywać się z nikim! Ale zajdę, dziś jeszcze zajdę. Ja dziś na polu prawie cały dzień przesiedziałem, tam pod laskiem, i tak nagadałem się z ludźmi, że aż mię język piecze...

Tu, jak swawolne dziecko język z ust wysunął i wnet poskoczył za gromadą, z kilkunastu mężczyzn złożoną, która minęła już ściernisko Jana i z gwarem grubych głosów postępowała drogą, wzdłuż okolicy sunącą nieszérokim szlakiem.

Wieczór zresztą nastawał. Za okolicą i rzéką, słońce połową ognistéj tarczy, iskrzyło się nad borem. Ostatniemi promieniami jego przeniknięty, kołami wozów i licznemi stopami kurzu podniesiony złoty tuman pyłu, owijał znowu długi szereg domowstw i ogrodów, potężne grupy drzew rozłożystych, splątaną sieć płotków i ściéżek. Biały pas drogi i wszystkie ściéżki, podwórka, wązkie przejścia pomiędzy ścianami świrnów i stodół, napełniły się powracającymi do domów ludźmi i zwierzętami. W powodzi zieleni i tumanie pozłoconego pyłu, pojedyńczo i gromadnie przesuwały się, krzyżowały się z sobą, tu ukazywały, tam znikały barwiste kobiéce ubrania, głowy w czapkach, chustkach i warkoczach, twarze zmarszczkami okryte, mizerne, smutne lub rumieńcami kwitnące i pomimo przebytego dnia

ciężkiéj pracy, w wesołych śmiéchach ukazujące perłowe rzędy zębów; ale wszystkie ciemną brunatnością ogorzelizny obleczone i wszystkie lśniące od potu, zaledwie poczynającego wysychać na daleko bielszych niż policzki czołach. Powietrze huczało od gwaru ich głosów, od ryku krów, beczenia owiec, turkotu kół i szczekania psów. Słychać było głuche postękiwania kobiét, usiłujących prostować zbolałe plecy pod odzieżą, na któréj ciemniały mokre plamy potu; słychać było chychoty dziéwcząt, którym niesione sierpy nie przeszkadzały w grubych i ciemnych rękach układać małych wiązanek lub wianków z zerwanych po drodze kwiatów; słychać było cienkie głosy dzieci, wybiégających na spotkanie matek, swawolne krzyki podrostków, gdakanie kur, gruchanie gołębi i pianie kogutów.

W zagrodzie Anzelma, czerwone blaski słońca długiemi szlakami kładły się na puszystym kobiercu po raz drugi podrastającéj koniczyny, i ukośnemi strzałami wślizgując się między gałęzie drzew, zarumieniały gęsto osypujące je owoce. Pszczoły ułożyły się już do snu w błękitnym tłumie przysadzistych ulów, za któremi w migotliwych światłach zachodu cicho stały rozłożyste wieczorniki i wysokie malwy. Ogród był pełen świégotu ptactwa i zapachu kwitnącéj rezedy, zmieszanego z ostremi woniami mięty i bożego drzewka. Za gęstém listowiem stuletniéj sapie-

żanki, dwa okna w błękitnych ramach gorzały jak rozpalone rubiny. Przez otwartą na oścież bramę, na széroką, śladami kół zbróżdżoną i od dzięcieliny bielejącą drogę z rykiem i beczeniem wchodziły trzody krów i owiec.

Pomiędzy drzewami, Anzelm w grubéj sukiennéj kapocie i wielkiéj baraniéj czapce, przechadzał się z Witoldem Korczyńskim, zwykłym sobie powolnym krokiem, młodego swego gościa od drzewa do drzewa prowadząc. Od wielu już lat na robotę w pole nie wychodził, i dla tego w okolicy nosił przezwisko „hrabiego.“ Wszyscy jednak wiedzieli dobrze, iż nie pracy unikał, lecz tłumu i gwaru, które snadź sprawiały mu dolegliwą przykrość, bo ilekroć wśród nich się znalazł, wyraz niepokoju, bolesnego niemal rozdrażnienia okrywał jego zmęczone rysy i napełniał blado-błękitne oczy. Prawie z przestrachem w postawie i ruchach otulał się wtedy kapotą, cofał się i usuwał. W zagrodzie swéj za to cichy był jak otaczająca go tutaj cisza, i od wschodu słońca aż do zachodu czynił wszystko, co do czynienia było: kosił, grabił, sadził, podléwał, grodził, doglądał bydła i owiec, a w zimie cepem bił o klepisko, heblem, piłą, młotkiem i siekierą pracował około ulów, parkanu i domu. Wszystko to robił powoli, lecz nieustannie, z monotonnemi ruchami, w których tkwiło wieczne jakby zamyślenie duszy, daleko od obecnéj rzeczywistości ulatującéj.

Dziś, przez dzień cały, z pomocą najętego parobka układał w stodole snopy przez synowca z pola przywożone; a gdy już snopków zabrakło, parobkowi po wodę zejść kazał do rzéki, sam zaś doglądał kasztana i gniadéj, których Jan po raz piérwszy może w życiu sam nie dopatrzył z gorączkowym pośpiechem na pole wracając.

Wyszedłszy ze stajni, Anzelm jak wryty stanął przed wrotami, z ręki daszek sobie nad oczami robiąc, w głąb ogrodu patrzył. Żółty Mucyk, z lisim pyskiem i ogonem, miotał się tam jak szalony, ujadając i zarazem trwożliwie cofając się przed wielkim czarnym wyżłem, który poprzedzał dwóch, środkiem ogrodu postępujących ludzi. Jednego z tych ludzi Anzelm poznał od razu. Był to fanfaron i elegant Michał, w ubraniu z dymki kanarkowego koloru, idący tu pewno w nadziei zobaczenia Antolki, do któréj od przeszłéj zimy widocznym był aspirantem. Ale drugi... Tego drugiego poznał Anzelm dopiéro wtedy, kiedy się znalazł przed nim o kilkanaście kroków. Nie poznał nawet, lecz raczéj domyślił się kim on był, i mimowolnym ruchem otulając się kapotą, cofnął się nieco. W oczach jego zagrał bolesny niepokój, a cienkie, blade wargi ironicznym uśmiéchem drgnęły pod płowym siwiejącym wąsem.

— Korczyński — szepnął, — młody Korczyński... na co? po co? dla ja... ja... kiéj przyczyny?

Jednak, tak jak i w ów wieczór, gdy po raz piérwszy zobaczył Justynę, powoli, ale uprzejmie naprzód postąpił i grzecznym gestem czapkę nad głową podniósł. Zdawać się mogło, że pomimo cierpienia, jakie sprawiało mu wszelkie zetknięcie się z ludźmi, — z *tymi* może szczególniéj ludźmi, — okazywanie się wobec nich uprzejmym, nawet wytwornym, za konieczność dla własnéj godności uważał. Jak wtedy ręki Justyny, tak teraz śpiesznie ku niemu wyciągniętéj dłoni Witolda końcami palców zaledwie dotknął, i nie na gościa, lecz kędyś daleko patrząc, przemówił:

— Nie spodziewałem się, nie spodziewałem się takiéj promocyi i ta... ta... kiego miłego spotkania!

— Widzi Witold — pokręcając zaostrzonego wąsika, tryumfująco zawołał przystojny, śmiały chłopak w kanarkowém ubraniu.— Czy ja Witoldu nie mówiłem, że będzie grzecznie i jak należy przyjęty? A to Anzelm tak już za swoję dzikość na ludzkie języki padł, że Witold nijak do Anzelma iść nie śmiał. „Chcę, a nie śmiém,“ powiada. Aż ja wziąłem, przyprowadziłem, zaznajomiłem i koniec, i basta! A gdzież to panna Antonina?

I skoczył ku domowi, w którego sieni słychać było śmiejące się głosy i huk obracanych żaren.

W małéj, przyciemnionéj sieni, Starzyńska żwawo obracała okrągłym kamieniem żaren:

— Ot, tak panieneczko, ot tak robaczku, okręcać trzeba i okręcać...

Siwiejące włosy z pod białego czépka opadały jéj na twarz rozognioną i spotniałą, ale po całodzienném żęciu nie wyglądała wcale mniéj sprężystą i żwawą.

— O, ciężko! — zawołała Justyna, gdy kamienne koło zaturkotało pod jéj rękoma.

Oparty o oddrzwia wysoki mężczyzna, którego śnieżna koszula bielała, lecz rysy znikały prawie w półzmroku sionki, śmiał się cichym, w głębi piersi szémrzącym śmiéchem.

— Rączki już nadmiar zmęczone, niech już odpoczną sobie te miłe, śliczne rączki... Do takiéj pracy nie wzwyczajone...

Przez drzwi otwarte widać było kuchnię dość obszérną, w któréj po samym środku siedziała gromadka królików, tak ułaskawionych, że ludzkie głosy i kroki wcale ich nie płoszyły. Tylko w nierozwikłanéj téj mieszaninie długich uszu i czarnéj, białéj, szaréj sierści, z dziesięć par oczu błyszczało nakształt czarnych paciorek, w koralową oprawę ujętych. Przed niewielką kuchenną płytą, ogromnym kapturem osłonioną, stała Antolka, cała w świetle rozpalonego w piecu ogniska. Złotawe blaski obejmowały jéj wątłą, wysmukłą kibić, drobne rysy różowéj twarzy i włosy pełny więdnących kwiatów. Stawiając na płycie garnek pełny wody, nagle drgnęła,

Kanarkowy kawaler, wybornie naśladując kukułkę, za plecami jéj zawołał:

— Kuku! kuku! kuku!

— O, Jezu! — zawołała i usta nieco wzgardliwie wydęła, choć w ciemnych jéj oczach przebiegły wesołe błyski, — czy to pan Michał nic dziś nie zmęczony, aż tu jeszcze dokazywać przyszedł?

— Okropnie zmęczony! oj, oj, oj! jaki ja zmęczony! Chyba mnie panna Antonina usieść przy sobie pozwoli, bo jeżeli nie, to tak zaraz, hrym! i z wielkiego zmęczenia do nóżek upadnę!

— Nie zapraszam i nie zabraniam—uśmiéchnęła się dziéwczyna, — tylko ciekawość, dlaczego pan Michał na wieczerzę do domu nie idzie? Czy to pan zwykle wieczerzy nie jada?

— Kiedy ja biédny człowiek jestem, siérota bezżenny, i niéma dla mnie komu wieczerzy gotować!

— A ciotka?

— E! jaki tam smak w ciotczynéj wieczerzy! Ja tu przyszedłem w nadziei, że na tę wieczerzę zaproszony będę, którą panna Antonina własnemi rączkami zgotuje. Czy mnie do tych przynależéć przeznaczono, którzy nadzieję za matkę sobie mają?

— Nie potwierdzam i nie zaprzeczam, — filuternie odpowiedziała dziéwczyna.

On podłużnemi, z szarą źrenicą oczyma śmiało i razem czule na nię patrząc, dalej rozmowę ciągnął:

— A żebym ja był kotkiem, toby pani inaczéj mnie przyjmowała, bo bardzo kotki lubi. No, to ja zrobię się kotkiem.

I z wiernością niezmierną przeciągłe miauczenie kotów naśladować począł. Na ustach coraz różowszéj dziéwczyny przelatywały i drgały uśmiéchy. Spuszczała jednak powieki, wargi przygryzając.

— I kotka panna Antonina dobrém słówkiem pogłaskać nie chce? No, to ja siędę sobie na drzewie i przemienię się w płaczącego puhacza!

Siadł na ławce u pieca stojącéj, głowę nizko zwiesił, ramiona u piersi skrzyżował, nogi daleko przed siebie wyciągnął i zaniósł się żartobliwym, a do złudzenia podobnym lamentem puhacza. Było to już więcéj, niż znieść zdołała powaga dziéwczyny. Wybuchnęła takim śmiéchem, że aż na ziemi pod piecem przysiadła.

— Cha, cha, cha, cha! — dźwięcznym, niepohamowanym, szesnastoletnim chychotem śmiała się Antolka.

— Puha! puha! puha! — wtórował jéj śmiéchowi coraz zawziętszy i żałośniejszy krzyk puhacza.

W ogrodzie, w pełném jeszcze dziennem świetle, Anzelm swą pracę gościowi ukazywał. Wi-

told bacznie i z zajęciem oglądał młode drzewka, częste czyniąc uwagi nad niezupełnie dobrém ich hodowaniem. Tu gałęzie nie były obcięte jak należało, gdzieindziéj zbyteczne pędy pozostawione były, tam nie odjęto pąków, których istnienie wyniszczało drzewa. Anzelm ciekawie słuchał, i uważnych, zamyślonych oczu nie spuszczał z twarzy Witolda. Twarz ta ożywiona, nerwowa, z bladawą cerą i trochę zmęczoném czołem, tę miała właściwość, że jakiemikolwiek były myśli, które w chwili jakiéjś napełniały głowę młodzieńca, płonęła w nich cała, jakby w łunie z wewnętrznego pożaru bijącéj.

— Pan tego wszystkiego uczy się teraz,— powolnym, monotonnym swym głosem zaczął Anzelm,— i widać, że uczy się nieobojętnie. Ja bez żadnéj nauki sadek ten założyłem, a i poradzić się także nie było u kogo. To téż i dowiaduję się ze słów pana, że nie jednę zrobiłem pomyłkę... wierzę... wierzę... Nauka ludzkim czynnościom przyświéca...

Mówił z widoczném roztargnieniem, o czém inném myśląc, a wzrok jego coraz przenikliwiéj i głębiéj zatapiał się w twarzy młodzieńca. Nagle, policzek na dłoń spuszczając, cicho szeptać zaczął:

— Ale jaki pan jest podobny do stryja swego, pana Andrzeja! Chryste, jakiż podobny! I czoło,

i oczy, i głos, i mówienie, wszystko takie... jakby pan Andrzéj z mogiły powstał...

Blade źrenice jego wejrzeniem pobiegły daleko, ku zaniemeńskiemu borowi, a potém znowu w twarzy Witolda utkwiły.

— Tylko—zaczął jeszcze,— nie daj Boże panu takiego... lo... lo... losu!

Zająknął się dlatego może, że we wnętrzu swém zaraz słowom swym zaprzeczył. Podniósł pochyloną dotąd głowę, czapkę na niéj poprawił, powoli wyprostował przygarbione plecy.

— Albo i nie,—ze srébrnym błyskiem oczu, poprawił się, — albo i nie! Daj Boże każdemu dobremu tak żyć i tak umrzéć, choćby i przedwcześnie!

Serdecznym i zarazem ostrożnym jakby ruchem Witold w obie swe dłonie wziął jego rękę.

— Za drugie życzenie dziękuję! — wzruszonym głosem wymówił; — życia bez wyższych uczuć i dążeń nie chcę, i wolałbym umrzéć wcześnie z wielkim ogniem w piersi, niźli kamieniem lub mętną wodą żyć wieki!

Zrazu, przy dotknięciu młodego człowieka, Anzelm uchylił się nieco i zwykłym sobie trwożnym ruchem otulił się kapotą. Nie ścisnął téż ręki Witolda, ale w słowa jego cały wsłuchany, usta w zdziwieniu otworzył i z cicha wymówił:

— Nie spodziéwałem się... nie spodziéwałem się już w swojém życiu mowy takiéj słyszéć... Chryste! czy ubici mogą drugi raz ożyć?

— Nie — zawołał Witold, — oni sami śpią na wieki, ale uczucia ich i myśli krążyć nie przestają w przestrzeni i płonąć w powietrzu, aż wejdą znowu w żywych, młodych, silnych, kochających ziemię i ludzi!

— Amen! — dokończył Anzelm, poczém obaj stali przez chwilę wzruszeni, milczący, wzajemnie w siebie wpatrzeni.

— Może być — zaczął Witold, — że kiedykolwiek, gdy po ukończeniu nauk do Korczyna wrócę, w wielu względach o pomoc pana prosić będę.

— Mnie? — zdziwił się Anzelm i cofnął się znowu.

— Ej nie!—ze spokojném już zamyśleniem mówił daléj, — ze mnie już żadnéj pomocy nikomu nie będzie. Lata sił ujmują i ubiegłéj wody nie wrócisz. Ale to jest prawda, że kiedy pan w Korczynie osiądziesz, trudno będzie, trudno... uskutecznić dobre zamiary. Mnie, w moim zaciszku siedzącemu, zdaje się podczas, że jakieś wielkie lody świat ten pokryły i zrobiło się na nim nadmiar już zimno. Z nieba na nas leje się pochmurność, a my w téj pochmurności, tak prawie jak groch rozsypany, którego każde ziarnko toczy się poosobno i poosobno gnije... Niegdyś to były między ludźmi insze myślenia i insze zamiary, ale

wszystkie czasy mają swój czas i każda rzecz przed oczyma człowieka jak woda ubiega, jak liść zwiędły żółknie...

— Dziwnie pan smutny jesteś, i zdawać się może, że już o wszystkiém dobrém zwątpiłeś,—z palącą ciekawością w twarz mówiącego wpatrując się, przerwał Witold.

Zamyślony uśmiéch przewinął się po ustach Anzelma.

— Zasmęciłem się ja raz w życiu swojém tak, że i na zawsze smętny już ostałem, to jest prawda. Ale co do zwątpiałości, to bynajmniéj! Widziałem ja owszem stare drzewa, co próchniały i waliły się po lasach, swoje przeżywszy, ale naokoło nich wychodziły z ziemi latoroście zielone i swoją koleją w silne drzewa wyrastały. Ot i pan teraz taką prawie jest latoroślą, co nowy las przepowiada, a jeżeli panu w jakiéj trudności, czy w jakich zamiarach pomocy będzie trzeba, to nie odemnie pan ją weźmiesz, ale od mego Janka, który zarówno jest jak latorość, co na mogile silnego dębu wyrosła. Tymczasami...

Nagle ożywił się i prędzej nieco mówić zaczął:

— Tymczasami, ja cościś już i słyszałem o różnych pańskich rozmowach z ludźmi, i radach, które pan dajesz. Ot wczoraj Walenty przyszedł do nas i mówił, że pan z usilnością ludzi namawiał, żeby złożyli się wszyscy i ze cztéry studnie w okolicy wykopali, toby nam woda tak prawie

krwawa nie była. I Michał rozpowiadał, że pan zbudowanie wspólnego młyna doradzasz, aby już na żarnach mléć potrzeby nie było, i różne tam insze myśli ludziom do głów podajesz. Owszem. Mnie tylko dziw brał, zkąd to wszystko wzięło się u syna pana Benedykta Korczyńskiego, który dla nas wszystkich prawie taki jest obojętny, jakby on tylko był człowiekiem, z duszą przez Pana Boga jemu daną, a my kamieniami, które nogami trącać i odpychać trzeba?

— Niech pan tego nie mówi, o! niech pan tego nigdy przedemną nie mówi! — porywczo zawoła- Witold i płomienne rumieńce uderzyły mu do czoła.

— Sam to już czuję, że zbyt śmiele przed synem na ojca powiedziałem i o wybaczenie proszę — znowu trwożnym ruchem, owijając się kapotą, przemówił Anzelm.

— Nie to, nie! Pan nie byłeś zbyt śmiałym, tylko widzi pan, ja ojca mego... mnie ojciec... no, ale nie mówmy już o tém! lepiéj ja panu opowiém niektóre z moich myśli: czegobym dla was pragnął i o czém myślę, że być powinno...

Przechadzali się zwolna pomiędzy drzewami, w jaskrawych blaskach zachodu, którego ukośne strzały ślizgały się po ich głowach i twarzach. Witold mówił jak zwykle prędko i popędliwie, z gestykulacyą żywą, z ruchliwą grą rysów, o czémś towarzyszowi swemu opowiadając, coś

mu tłumacząc. Anzelm, z przygarbionemi plecami i twarzą prawie nieruchomą słuchał go uważnie i ciekawie, rzadko kilka słów zapytania lub odpowiedzi w rozmowę wtrącając. Parę razy, jak w tęczę wpatrzony w twarz młodzieńca, cicho do samego siebie przemówił:

— Jaki do stryja podobny! Chryste! jakiż podobny!

I w miarę przedłużania się rozmowy, ściągła, chuda, zlekka zaróżowiona twarz jego, pod wielką, baranią czapką okrywała się wyrazem dziwnie z sobą zmieszanych uczuć: marzycielskiéj radości i niezgłębionéj tęsknoty. Wejrzenie jego coraz częściéj biegło daleko, ku zaniemeńskiemu borowi, a długie, blade ręce, do połowy w rękawy kapoty wsunięte, splatały się palcami silnie, trudno było odgadnąć, czy w radości niespodziéwanéj, czy w żałości wspomnień.

Na długiéj ławce, u ściany domu stojącéj, pod sięgającą dachu, ogromną gałęzią sapiéżanki, za wysokiemi malwami i wieczornikami, w woniach rezedy i piwonii, dwoje młodych ludzi rozmawiało z sobą długo i z cicha? Oni jedni tylko przyczynę tego znać mogli, jeżeli sobie z niéj sprawę zdawali, bo tajemnicy żadnéj w rozmowie ich nie było. Mężczyzna trzymał w ręce garść dzikich kwiatów i ziół, które jedno po drugiém kobiécie podawał.

— Widzi pani, jak bławatki posiwiały, a takie były szafirowe, śliczne! To tak prawie, jakby i jasne lato starzało razem z niemi... A to przekwitły brodawnik, zdaje się tylko taka kulka puchu, a przy słońcu wygląda jakby z najpiękniejszego szkła była zrobiona. Szkoda, że jak dmuchnąć rozleci się zaraz na wszystkie strony i zniknie. Może to i szczęście człowieka, takie samo, jak ta kulka puchu. Dziś jest, a jutro przeciwny wiatr powieje i daleko odegna wszystko, co człowiekowi nad życie miłém było. Jak pani myśli, panno Justyno, czy szczęście człowieka zawsze jest takie niestałe?

— Nie wiém—odpowiedziała kobiéta,—ja myślę czasem o szczęściu takiém, któregoby żadne najprzeciwniejsze wiatry rozwiać nie mogły...

— To panna Justyna myśli, że ludzie mogą ciężko pracować i wszelakie biédy znosić, a szczęścia swego nie utracić?

Wpół poważnie, wpół z uśmiéchem, odpowiedziała pytaniem:

— A Jan i Cecylia?

Chwilę milczeli.

— Ot ta gałązka z temi ładnemi kitkami nazywa się tymotka, a ten różowy kwiatek, to zajęczy lenek, a te żółte, takie jak prawie ogień żółte kieliszki...

Z głębi domu, z kuchni, w której Antolka wieczerzę gotowała, doleciało grube i długie bełko-

tanie indyka, przy którém wybuchnął srébrny i nieposkromiony śmiéch dziéwczęcy.

— Cha, cha, cha, cha, cha! — nieskończoną, zda się, gamą śmiała się dziéwczyna.

— Bołtu—bołtu—bołtu! — śmiéchowi jéj wtórowało wyborne naśladowanie indyczego krzyku.

— Michał, widzi pani, już z rok do Antolki chodzi i chce z nią żenić się. Może co z tego i będzie, tylko nie zaraz, bo stryj i ja nie pozwolimy jéj w szesnastu latach za mąż wychodzić. Jeżeli wiernie kocha, to niech jakich lat dwa albo i trzy poczeka, póki dziéwczyna wzmocni się w sobie i pomądrzeje. Drugiemu smętny byłby ten odkład, a jemu nie! Zawsze wesoły i wszelakich konceptów pełno ma w głowie. Ja temu dziwuję się, bo choć z przyrodzenia smętliwy nie jestem, ale kiedy w jakich zamiarach swoich przeciwności doświadczam, to zdaje się do grobu poszedłbym zaraz.

W kuchni wesoło i donośnie zagwizdała wilga, a jakby w odpowiedź jéj z zagrody Fabiana doleciało także gwizdanie, na nótę pieśni:

— „A kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie do wojska służyć...“

— Te kieliszeczki takie prawie żółte jak ogień, to kwiat mokrzycy, a ta gałązka, widzi pani, ja ją do rączki pani przyłożę i zaraz przylepi się

tak, że i oderwać będzie trudno, dla téj przyczyny i nazywa się ona lepka.

Ostrożnie, z uśmiéchem, na ręku jéj położył zieloną gałązkę, która téż istotnie mnóztwem swych drobniutkich, zaledwie widzialnych kolców, do niéj przylgnęła.

— Czy pani doprawdy popłynie z nami jutro na Mogiłę?

Pochylił się trochę i nieśmiało w twarz jéj spojrzał.

— Bo to troszkę i wstydno, że do tego czasu nigdy jéj pani nie odwiédziła...

Śmiałość tego zarzutu, w dziwnéj była sprzeczności z nieśmiałością, z jaką na mgnienie oka w twarz jéj spojrzał.

— Pani pewno popłynie jutro z nami?

— Najpewniéj.

— A jeżeli czasem stryj zostanie w domu?

Spojrzała na niego pogodnie, ufnie, i odpowiedziała:

— Popłynę z panem.

Tuż, obok zielonéj gałązki, na ręku Justyny, czerwieniła się szrama od draśnięcia sierpem pochodząca. Jan patrząc na tę różową linią tak jakby oczu od niéj oderwać nie mógł, z cicha mówił:

— Bo to widzi pani, ja już dziś z twarzy stryja widzę, że go jutro chandra schwyci. A kiedy go już ta pochmurność napadnie, to za nic z do-

mu nie wyjdzie, nie jé, nie pije i z nikim gadać nie chce. Tak czasem przeżyje dzień jeden, a czasem dwa i trzy dni... My pod ten czas z Antolką na palcach chodzim i cicho gadamy, tak, jakby umarły w domu leżał... Taka już u niego duszna choroba jakaś!

W téj chwili Anzelm, niezwykle śpiesznym krokiem Witolda wyprzedzając, zbliżył się do jednego z otwartych okien.

— Ja panu zaraz te książki pokażę—mówił,—zaraz po... po... po...każę!

Wązka ławka nie broniła wcale przystępu do okna; owszem, Witold przyklęknął na niéj i do wnętrza zajrzawszy, jedném spojrzeniem ogarnął dość szczególnie wyglądającą izdebkę. Był to tak zwany przeciwek, dla tego tę nazwę noszący, że sień go rozdzielała z obszérną świetlicą. Malutka to była izdebka, więcéj długa, niż széroka, z nizkim, belkowanym sufitem i chropowatemi, skąpo pobielonemi ścianami. Drewniany tapczan z siennikiem, poduszką i na domowych krośnach wytkaną kołdrą, prosty stół pod oknem, zielona skrzynia, zapewne z odzieżą, i jedno stare krzesło z drewnianą tylną poręczą, stanowiły wszystkie sprzęty, znajdujące się w téj izdebce. Nad łóżkiem wisiały trzy spore obrazy: najwyżéj, prawie pod sufitem, Ostrobramska Marya w ramach, złoconym i dość jeszcze błyszczącym papiérem oklejonych; niżéj, prawie nad samą pościelą, dwa

szare, w drewnianéj oprawie wizerunki siedzących na koniu rycerzy. Z za ramy świętego obrazu wychylał się pęk palm święconych, na szare wizerunki, opadała na ćwieczku zawieszona mała korona cierniowa. U okna, na stole, stał niewielki dzban z wodą i przy nim dnem do góry przewrócona szklanka, a daléj, przy saméj ścianie, za lampką z wysokim kominkiem leżało kilka książek, w zniszczonéj oprawie. Po te książki Anzelm rękę wyciągnął i jednę po drugiéj podawał je Witoldowi. Przytém powoli czytak ich tytuły:

— „Psalmy“ Kochanowskiego... Niech pan spojrzy na te dwa wyrazy, co na boku wypisane.

— Andrzéj Korczyński, — głośno przeczytał Witold.

— „Pan Tadeusz...“ Niech pan spojrzy na te dwa wypisane wyrazy...

— Andrzéj Korczyński...

— „Ogrody północne...“ Niech pan spojrzy...

W ten sposób kilka tytułów przeczytał, bladym swym palcem wskazując napisy im towarzyszące, z jednostajném zawsze brzmieniem. Jeden tylko był nieco dłuższy. Zawiérał się w cztérech wyrazach: „Andrzéj Korczyński — Jerzemu Bohatyrowiczowi.“

— Ojcu Janka, jego ojcu,—ze szczególném ku Witoldowi mrugnięciem szepnął Anzelm, a potém książki znowu na stole złożył.

— Wszystko to od niego, i tyle tylko u nas światłości jest, ile on jéj zostawił. Gdzie tam! i tyle już niéma, bo jedni pomarli, drudzy zgłupieli i zapomnieli, a są i tacy nawet, co bez uszanowania i wdzięczności, owszem z pośmiéwiskiem go wspominają. Z mułu ziemskiego zlepieni jesteśmy, i o to tylko dbamy, co tycze się mułu tego, czyli naszego ciała. Ale kto raz choć troszkę dusznе radości poznał, ten dla pana Andrzeja wieczną wdzięczność zachowuje i czuje po nim wieczną tęsknotę. On tu siał, on oświécał, on ten ogień, o którym pan tylko co mówił, w sercach ludzkich podtrzymywał, on za niego i młodą głowę swoję oddał... Niechże mu światłość twoja niebieska, Boże sprawiedliwy! świéci na wieki wiekuiste. Amen!

Głowę ku rękom splecionym pochylił, i dwie grube łzy ściekły na dwie ogniste plamy, które przy ostatnich słowach wybiły mu się na policzki. Witold, wpół klęcząc, na nizkiéj ławie, o ramę okna ramieniem oparty, wpadł w zamyślenie długie i posępne. Dość dziwną było rzeczą, jak ta twarz młodzieńcza mieniła się stosownie do wewnętrznych poruszeń duszy. Przed godziną wesoły, prawie jak dziecko swawolny, potém oblany łuną apostolskiego zapału, teraz wyglądał tak, jak gdyby skąpał się cały w cierpieniach, klęskach, upadkach i nrąganiach, napełniających całe lat dziesiątki. Istotnie był on

w nich skąpany, wzrósł wśród nich, zaprawiły mu one krew i myśl, aż teraz, dziecko prawie, stał z chmurném czołem twardo doświadczonego męża i ponurym wzrokiem kogoś, kto patrzy w ciemne i niezgłębione otchłanie. Długo przecież trwać to u niego nie mogło, i po chwili, ciekawie znowu przypatrywał się wnętrzu izdebki Anzelma.

— Izdebka pańska przypomina klasztorną celę, — zauważył.

Anzelm także poskromił wzruszenie, albo je ukrył, i ze spokojnym już uśmiéchem odpowiedział:

— A tak. Ja téż ją celką swoją nazywam. W jednéj piosence są takie słowa... śpiéwałem ja tę piosenkę często dawniéj, kiedy jeszcze pogoda na świecie panowała:

„Ty będziesz panną, ty będziesz panną
Przy wielkim dworze;
A ja będę księdzem, a ja będę księdzem
W białym klasztorze...

IV.

Czółno, wysłane gałęźmi srébrnéj topoli, Jan silnie od brzegu odepchnął, a potém sam w nie wskoczył. Z wiosłem w ręku, z czołem nawpół tylko daszkiem czapki osłonioném, w krótkiéj, kolan nie sięgającéj siermiędze, zielonemi taśmami przyozdobionéj, z uśmiéchem towarzyszki swojéj zapytał:

— Czy wygodnie?

— Wybornie, — odpowiedziała.

Zielone i wonne posłanie z liści było istotnie wygodném, przykrywała je do połowy jéj biała suknia. Kilka lat już minęło, odkąd ani razu nie pomyślała o przybraniu się w ten strój prosty i tani, ale świéży i zalotnie odkrywający szyję i ramiona. Oddawna téż nie układała swych czarnych włosów w sposób tak dobrze uwydatniający piękne linie nizkiego jéj czoła i nie zwijała ich z tyłu głowy w węzeł tak ciężki i malowniczo opuszczający się na kark, zlekka przez

ogorzeliznę pozłocony. W kilka godzin po południu, zstąpiła była z wysokiéj góry ku rzéce i na chwilę stanęła w tém miejscu, gdzie w równéj prawie linii z zagrodą Anzelma, pośrodku góry, na jéj małéj wypukłości, wyrastała gruba, rozłożysta topola. Pod topolą stanęła, pochyliła się i w dół spojrzała. W dole, na wązkiém, piasczystém wybrzeżu, tuż przy czółnie wysłaném zielenią, Jan spostrzegłszy ją, wysoko wzniósł czapkę nad jasno-złotemi włosami.

— Dzień dobry! — zawołał donośnie.

Woda pod dotknięciem wiosła zaszumiała, czółno zakołysało się i z przybrzeżnéj mielizny na toń spłynęło.

— A stryj? — zapytała Justyna.

— Chory. Wczoraj po pożegnaniu się z państwem, do swojéj izby poszedł i drzwi na kruczek zaszczepił. Przez okno tylko widać, że na tapczanie leży, oczy sobie ręką zasłoniwszy, senliwy taki, czy w myślach utopiony? Bóg to wié!

Płynęli powoli w górę rzéki. Nad rzéką wznosiła się z jednéj strony naga, żółta ściana, z nieruchomym borem u szczytu; z drugiéj wysoka, zielona góra, u któréj wiérzchu, białe i szare domowstwa okolicy, z gankami, świécącemi oknami i dymiącemi kominami, jak paciorki jedno po drugiém wychylały się z za zieleni potężnych drzew i przezroczystych gajów. Od każdego z domowstw biegły ku rzéce wydeptane ściéżki,

i łamiąc się w różne kierunki, rysunkiem białych linij okrywały zielony, w garby i płaszczyzny pogięty stok góry. Upalne słońce osypywało nieścigniony szlak wody ulewą iskier, a tu i owdzie, łamiące się w falach jego promienie, tworzyły ogniska olśniéwających świateł. Chwilami, te ogniska, wyrzucające z siebie nizkie snopy promieni, bladły lub całkiem gasły, a w błękitach wody, pod delikatnym rysunkiem drobnych fal, sunęły ciemne odbicia przepływających pod niebem chmur. Nie były to chmury natychmiastową burzą grożące, ale raczéj białe obłoki, mętną szarością wydęte, wydłużające się, z brzegami przeléwającemi się w coraz nowe linie i kształty. W cichém i parném powietrzu, powoli i nizko sunąc, co chwila przysłaniały one, to odkrywały rozżarzoną tarczę słońca, sprawiając tém w powietrzu zmienną grę promiennych jasności i nagłych przyciemnień. Tam, gdzie rzéka, daleko przed pomykającém czółném za bór skręcała, chmury zgromadzały się, łączyły i skłon nieba zasłaniały, ścianą wełnistych, ciemnych, srébrem obrębionych kłębów.

— Może dziś dészcz, albo i burza będzie,—zauważył Jan, który na wązkiéj ławeczce, w sam prawie dziób czółna wprawionéj siedział, i z pochyloną ku wodzie głową, powoli wiosłem fale jéj rozgarniał.

Na wysokiéj, zielonéj górze, zniknęły ostatnie

domy okolicy, a tuż za niemi, góra rozszczepiła się na rozpadlinę głęboką i długą, otwiérającą się od strony rzéki olbrzymim trójkątem ścian w tył odgiętych i ku szczytom rozwiérających się coraz szérzéj. Jan ruchem głowy wskazał Justynie parów Jana i Cecylii i napełniające go, nieprzebyte, różnemi odcieniami zieloności mieniące się, jaskrawemi barwami kwiatów i jagód nakrapiane gęstwie roślinne.

Justyna podniosła się trochę na siedzeniu. W tym chaosie linij i barw pragnęła odkryć stary grobowiec.

— Schowany on jest przed światem, i z nijakiéj strony zobaczyć go nie można,—rzekł Jan.— Chyba jesienią, kiedy drzewa i krzaki wszystkie liście swe utracą, zamajaczy on przed oczyma tego kto tędy płynie. Czy pani nie uprzykrzyło się płynąć?

Opowiedział, że do Mogiły, z Korczyna i Bohatyrowicz, dwie drogi prowadzą. Można przeprawić się na przeciwną stronę rzéki naprzeciw dworu lub okolicy i potém dobrą godzinę iść lasem; albo płynąć trzeba dłużéj, z pół godziny, i wylądować na piaskach, od których do tego miejsca i wiorsty nie będzie. Powiózł ją tą drugą drogą, bo chciał jéj pokazać piaski.

— Póżniéj powiém — dodał,— dla jakiéj przyczyny zechciało mi się, aby pani na tych pia-

skach była. Dla mojéj pamięci, to takie miejsce...

Nie dokończył, bo z uwagą, mrużącemi się nieco przed blaskiem oczyma, przypatrywać się zaczął pszczole, która z głuchém brzęczeniem, nizko nad wodą leciała. Z przeciwnego brzegu rzéki wracające pszczoły od czasu do czasu nad głowami płynących przelatywały, ale ta, opuszczała się coraz niżéj, okrywającą ją żółtą lepkością, jak kroplami roztopionego bursztynu, na słońcu błyszcząc. Jan, chwiejnego jéj i coraz niższego lotu z oczu nie spuszczał, i zręcznym ruchem, w chwili, gdy skrzydłami muskać wodę już zaczynała, podsunął ku niéj wiosło, na którém z głuchém stuknięciem osiadła. Potém ostrożnie, troskliwie omdlały owad z wiosła na brzeg czółna zsunął.

— Szkoda pracowitego zwierzątka — aby utonęło marnie, — zauważył. — Może ty moja? — uśmiéchnął się do pszczoły nieruchomo na brzegu czółna siedzącéj.

Za wielkim trójkątem, otwiérającym parów Jana i Cecylii, zielona góra przemieniła się w stromą, gładką i nagą wyniosłość, od pokładów marglu zaczerwienioną i u samego szczytu wystającą szérokim gzémsem twardéj, gorąco-żółtéj gliny. Pod tym gzémsem ciemniały otwory, z niezmierną regularnością zaokrąglone i w równych od siebie odległościach ciągnące się długim szeregiem.

— Co to? — zapytała Justyna.

Ale nim towarzysz jéj miał czas odpowiedziéć, w jedném z tych ziemnych wydrążeń zaczerniało cóś, bielą błysnęło, i ptak wysmukły, ze śnieżną piersią i długiemi skrzydły, szafirową czarnością połyskującemi, błyskawicznie szybko na dół spłynąwszy, krętym lotem prawie nad ich głowami przeleciał.

— Jaskółka! — zawołała Justyna.

— To są jaskółcze gniazda,—patrząc na okrągłe otwory, potwierdził Jan.— Taką ten ptak ma przemyślność, że w téj twardéj i gołéj skale mieszkania sobie wykuwa. Niegdyś nadmiar ciekawy byłem tych pałaców, i czy pani da wiarę? przekonałem się, że one tam sobie, te ptaki, prawdziwe pokoje i kurytarze budują... Ot i druga leci, i trzecia, i czwarta!...

Z pokojów i kurytarzy, w nagiéj i gładkiéj ścianie wykutych, ptaki wylatywały coraz liczniéj, czarnemi skrzydły i śnieżnemi piersiami na jéj czerwonawém i żółtém tle migocząc i szybko spuszczając się nad wodę. Szelestem ich skrzydeł spłoszona pszczoła, z odzyskaną w spoczynku siłą, zerwała się z brzegu czółna, i głośno, tryumfująco brzęcząc, w kierunku parowu i okolicy uleciała.

Jan ścigał ją wzrokiem.

— Ot i uratowane pracowite, dobre zwierzątko! — z pogodnym, zadowolonym uśmiéchem na ustach i w oczach, zwolna wymówił.

— Zawsze to o jednę śmierć mniéj, a o jednę kroplę słodyczy więcéj na świecie, — dodała Justyna, a zdawać się mogło, że pogodne zadowolenie z uśmiéchu Jana na jéj twarz spłynęło.

— Prawdę pani mówi,—odparł zatapiając wiosło w wodzie;—umiérania i goryczy zawsze pełno na świecie, a słodycz na nim bardzo jest droga...

— Zkąd pan wié o tém?—żywo zapytała.

Popatrzył na nię długo, dziwnie, z trochę ironicznym uśmiéchem w oczach.

— Państwo myślą—zaczął,—że człowiek w prostym stanie będący uczucia swego i swoich myśli niéma. Ale może w tém jest pomyłka...

Chciał coś jeszcze mówić, ale powstrzymał się, krewkim tylko ruchem czapkę na czole poprawił i żywiéj wiosłować zaczął.

— Wiém i wierzę,—z powagą rzekła Justyna.

Uśmiéchnął się znowu i ręką skinął.

— Co pani wié?—trochę porywczo rzucił.

— To prawda, — odpowiedziała i cała rumieńcem spłonęła.

Jemu we wpatrzonym w nię wzroku zagrał żal.

— Niéma czego wstydzić się, ani smęcić,— łagodnie już przemówił; — tak już pani urodziła się i uczyła się téż czego innego...

W téj chwili usłyszeli żałosne skomlenie psa, oraz przewlekłym, gapiowatym głosem wymówione:

— Dobry wieczór państwu!

O kilkadziesiąt kroków od brzegu, w malutkiém czółnie, przymocowaném do tyki w dnie rzéki utkwionéj, siedział z wędą na wodę puszczoną Julek Bohatyrowicz, a na małym, zielonym przylądku, w wyciągniętéj postawie i z oczyma w pana wpatrzonemi, czarny Sargas coraz głośniéj i przeciągléj skomlił. Ten pleczysty człowiek, z wielką czerwoną twarzą i wydobywającą się z pod czapki gęstwiną ognistych włosów, w malutkiéj łupince nieruchomo nad wodą siedzący, miał w sobie coś prawie fantastycznego. Wziąćby go można było za bajecznego mieszkańca wód, który na chwilę tylko i w połowie przybrał postać ludzką, drugą połową ciała tkwiąc w swym rodzinnym żywiole.

Ale zupełnie ludzkim był uśmiéch, którym człowiek ten witał nadpływających. Widać było zresztą, że takim samym uśmiéchem, szérokim, dziécinnym, rząd śniéżnych zębów ukazującym, witał on wszystko, cokolwiek na niebie i ziemi spotykał, wzrokiem podłużnych, pełnych, szafirowych oczu, tak samo jak usta śmiéjących się dziecinnie, niewinnie i przyjacielsko.

— A dokąd? — na płynącą parę patrząc, lecz najlżejszego poruszenia nie czyniąc, zapytał.

— Na Mogiłę, — odpowiedział Jan.

— Che, che, che! proszę tylko nie bawić się długo!

— A dla jakiéj przyczyny?

— A dla téj, że przed zachodem słońca uléwa spadnie... che, che, che!

Czółno Jana otarło się prawie o drugie, na którém siedział śmiejący się wciąż wodny atleta.

— Czemu Sargasa do czółna nie wziąłeś?

— Przeszkadza.

— Głupie zwierzę! Mógłby przypłynąć do pana, kiedy tak już tęskni...

— Nie pozwoliłem!

Prędkim ruchem targnął wędę, i mała ryba, trzepocząc się u jéj końca, srébrną iskrą błysnęła w powietrzu.

Jan i Justyna płynęli daléj. Jan mówił o Julku. Dziwny to był chłopak. Od dzieciństwa durniem go nazywali, ojciec nawet często go bił za nierozgarniętość, i w familii był on zawsze ostatnim. Więc téż przyrósł do Niemna; zdaje się, jakby duszę swoję w téj rzéce zostawiał, tak pilno mu wracać do niéj, ilekroć opuścić ją musi. Rzadko téż ją opuszcza. Na wodzie jada, na wodzie, albo przy brzegu często i nocuje. Do roboty gospodarskiéj nadmiar leniwy i niezdatny, ryb mnóztwo łowi, w blizkiém miasteczku je sprzedaje i piéniądze regularnie ojcu odnosi. Niemen i jeszcze ten pies Sargas, to całe jego kochanie. Kiedy trzy lata temu do wojska iść miał, to po całych dniach lamentował, jak on bez Niemna wyżyje, i traf! skurczyły mu się

dwa palce u prawéj ręki. Ni z tego, ni z owego skurczyły się; okaleczał. Wszyscy dobrze wiedzą, co o tém okaleczeniu myśléć. Na to mu rozumu wystarczyło. Głupi niby, a chytry. Teraz za niego drugi z rzędu syn Fabiana do wojska pójdzie, i dla téj przyczyny u nich tam niezgoda w familii panuje.

— Ale ot!—przerwał sobie opowiadanie Jan,—już i piaski widać!...

Brzegi rzéki stawały się coraz uboższe i dziksze. Z jednéj strony, tam, gdzie przed kwadransem sielsko i malowniczo uśmiéchały się szare i białe domki okolicy, a potém wielki parów wspaniale rozchylał wargi, zielonością po brzegi nalane, teraz nad nagą, gładką, czerwonawą ścianą widać było stojące rzadkie zboża, tu i owdzie ocienione krzywą wiérzbą, albo starą gruszą. Z drugiéj strony, brzeg zniżał się, do równego z rzéką poziomu spływał, a gęsty bór nie znikał wprawdzie, lecz cofał się, usuwany jakby przez rozległe, białe, małemi wzgórzami zbałwanione piaski. Czółno wiozące dwoje młodych ludzi skierowało się ku tym piaskom, i wężowemi skrętami, prześliznąwszy się pośród wielkich kamieni, nad płytką wodą wystającemi, u lądu stanęło.

— Proszę stanąć i na około spojrzéć,— głosem cichszym niż zwykle, rzekł Jan.

Justyna usłuchała, i zatrzymawszy się, wzrokiem dokoła powiodła. Znajdowali się wśród

piaszczystego rozłogu, którego część nie bez trudności już przebyli. Podobne to było do jeziora z jednéj strony ujętego w ciemne półkole boru, a z drugiéj rozdzielonego z rzéką zasłaniającém ją pasmem piaszczystych pagórków. Jak powiérzchnia wody, tak piaski te pokryte były nieskończonemi łańcuchami zmarszczek, a choć z pozoru powietrze wydawało się nieruchomém, unosiły się z nich tu i owdzie nizkie tumany, które poziomym lotem, przebywając małe przestrzenie, opadały na ziemię pyłem cichym i tak miałkim, że prawie ziarnka od ziarnka rozróżnić w nim nie było można.

Bór, jakby niechętnie usuwając się w głąb widnokręgu, zostawiał za sobą szérokie pasy karłowatych, kolczastych, białością piasku przeświécających zarośli, i za niemi dopiéro, powoli, wzbijał się znowu w wysoką, ciemną ścianę. U stóp zarośli, różowate wrzosy rozciągały daleko suche i smętne girlandy, a potém już, od krańca do krańca téj pustki, nie było nic, prócz pomarszczonych, głębokich piasków i małych tumanów, które tu i owdzie wzbijały się na płaszczyznie, lub nakształt znikomych dymów wytryskiwały i nikły nad okrągłemi, nagiemi czołami pagórków. Ani drzewa, ani kwiatu, ani najdrobniejszego ziółka. Żadnego téż dźwięku, oprócz krakania wrony, która ciężko i wysoko wyleciała z nad rzéki i w borze przepadła; żadnéj barwy oprócz

białości piasku i szarawéj różowości wrzosów, żadnego ruchu, oprócz sunących po niebie ciężkich, długich, mętną szarością nabrzmiałych obłoków; żadnéj woni, oprócz suchego i krztuszącego pyłu, który wydawał się oddechem tego miejsca.

Stopy Justyny pogrążały się w miałkiéj, suchéj, gorącéj topieli. Wzrok jéj ze zdziwieniem przesuwał się po téj pustyni, któréj nigdy nie widziała, na którą téż prawie nigdy nie patrzyło żadne ludzkie oko, bo żadna praca, żaden plon i żadna dokądkolwiek prowadząca droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza, jeszcze większe uczuła zdziwienie.

Jan zdjął czapkę i zamyślonemi oczyma wodził po nagich szczytach pagórków. Miał postawę człowieka, który stanął w progu kościoła i wpatruje się w ołtarz. Możnaby myśléć, że nigdzie tyle, ile w tém miejscu, nie czuł się człowiekiem, i nigdzie tyle nie doznawał ludzkich, wyższych, od codziennego życia dalekich uczuć i myśli.

— Dawno tu nie byłem—zaczął téż takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia.—Może pięć, może sześć lat nie byłem. Stryj woli na Mogiłę tamtą drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

— Czegoż tak płakał?—ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.

— Bo długo chorym będąc, z chaty prawie nie wychodził i piérwszy raz wtedy po swojém wskrzeszeniu to miejsce zobaczył, przez które niegdyś z wielką kompanią jechał...

Zrozumiała i więcéj nie pytała o nie.

Jan ciągle na wzgórza patrząc, sam mówił daléj:

— Dla mojéj pamięci to miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca widziałem...

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek?... Dniem i nocą, latem i zimą pusty on stoi, i żadne nawet ziółko uczepić się go nie chce. A jednakże był niegdyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go ludzkie i końskie nogi, i łez niemało na niego spadło.

— Pan to wszystko dobrze pamiętasz?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedm lat pod ten czas skończyłem, ósmy mi szedł, to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód; Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Ztąd Niemna nie widać — zaczął,— ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny, albo może i trzy patrzyli na rzekę, którą przypływały czół-

na i łodzie, z jednéj strony i z drugiéj, ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach nie duży... Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się majowy. Jak dziś pamiętam, księżyc dobrze już posunął się był do środka nieba i tkwił nad samemi piaskami. Cichość panowała na rzéce, na brzegach tylko, w borze słowik śpiéwał... Wtenczas, ociec pocałował matkę, coś jéj poszeptał, a potém mnie z ziemi na rękach podniósł i całować zaczął. Wprzód nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcéj pochmurnym, niżeli wesołym, i częściéj w milczącém zamyśleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie. Nie tak jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno téż za tę pochmurność i za to utapianie się w myślach, tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzéj. Ale wtenczas ociec dziecko swe żegnający w zamkniętości swojéj nie wytrzymał, cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało, i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W téj saméj minucie pan Andrzéj żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem; stała téż tam panna Marta, która w tę porę młodą jeszcze była, i kiedy stryja żegnała, troszkę wprzódy święcony medalik jakiś na szyję mu powiesiła; stało i więcéj ludzi różnych ze dworu i z okolicy, może wszystkich

osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów brzęczy. Do tego, dwa konie osiodłane i pod pagórkiem tym stojące z niecierpliwości parskały kopytami, piasek grzebiąc. Kiedy mnie ociec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam; to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać bardzo płakałem i za łzami wprzódy zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiéro zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi, pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc wprost nad piaskami świécił, a w jego światłości, ociec i pan Andrzéj, jeden przy drugim, na koniach równéj piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli; konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos, tędy, przejechali, i tam... widzi pani to miejsce, gdzie jodły mieszają się z sosnami? tam, w tém miejscu z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiéwał...

Wyciągniętém ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli. W miarę zbliżania się do lasu, piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po széroko rozpościérających się, różowatych girlandach wrzosów. Milczeli chwilę.

— I więcéj nigdy już pan ojca swego nie widziałeś?

— Raz już tylko, po tém ostatniém rozstaniu, o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętéj Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzéwało i gdzieniegdzie żąć je zaczynali; staliśmy w okolicy, nad samym brzegiem, gdzie, pani wié? na naszém podwórku lipy rosną. Nie dużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i tak samo kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużéj, to krócéj, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w to miejsce biły. Słowik już wtenczas nie śpiéwał, za to gdzieniegdzie podejmowały się z nad boru chmury wszelakiego ptactwa, i jak zwaryowane, z przeraźliwemi krzykami latały nad borem, nad rzéką, na drugi brzeg uciekając, albo téż lecąc jaknajdaléj, zdaje się, na oślep... Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiéro przed samym wieczorem grzmoty zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a po całym borze podniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiełki. Ja wtedy tak przeląkłem się, że całego mnie trząść zaczęło, i mocno uczepiłem się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niéj z szeptaniem przybiégały, po cichu lamentowała. Potém

jednakowoż i krzyki zamilkły, noc nastała, widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy, ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali, albo siedzieli, ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całéj okolicy w ciemności nocnéj rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru naśladujące. W téj cichości i w tém szumieniu posłyszeliśmy jednakże na przeciwnym brzegu rzéki wielkie pluśnięcie wody, a potém już ciche, ale ciągle jednostajne pluskanie. Ktościś do wody skoczył, płynął, rzékę przepłynął i z pod lip naszych widać było cień jakiś, wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: „Anzelm!“ i zakręciła się na miejscu, jak nieprzytomna. Ale stary Jakób, który jeszcze wtenczas nie zupełnie był waryatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i światło rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałem. Jezu drogi! jak on wyglądał! Twarz miał czarną jak u Murzyna i tylko oczami wilczemi błyszczącą, odzież calutką w dziurach, rękę jednę opuszczoną i bezwładną, a z włosów i odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł i tylko kiedyniekiedy stękał, jakby w nim co pękało. Ludzie koło nie-

go szeptali, pytali, nawet go za ręce i odzież targali, on nic. Raz tylko na mnie spojrzał i łzy potokiem ściekły mu po uczernionéj twarzy. Za kołniérz od koszuli mnie schwycił, i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknąłem ze strachu. A potém zaczął do mnie mówić. Z początku niewyraźnie mówił i zrozumiéć nie mogłem, ale potém, nie wiém czemu, zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć, do p. Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedziéć jemu..... „O, Jezu drogi... powiédz ty jemu, że pan Andrzéj tu!...“ i na czoło sobie pokazał... „A twój ociec tu!...“ i na piersi sobie pokazał. A potém jeszcze dołożył: „Obudwóch niéma!“ i spytał się mnie: „Zrozumiałeś?“ Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziśdnia...

Do dziś to wspomnienie rwało mu głos w piersi, która przecież innym razem tak rozgłośne pieśni na pola rzucała.

Oboje nie spostrzegli, że już znajdują się w lesie; nie widzieli dokoła siebie drzew, świateł i cieni; nie słyszeli szczebiotu ptactwa, który nad nimi rozlegał się coraz głośniéj.

On szedł z nizko pochyloną głową, w ziemię patrzył i o towarzyszce swéj całkiem w téj chwili zapominać się zdawał. Ona, przeciwnie, ku niemu zwrócona, ani na chwilę nie spuszczała z twarzy jego swych szarych źrenic, które z pod czarnych rzęs i brwi, gorzały ciekawie i chmurnie.

— Żałość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ociec mnie tam z sobą brał i panna Marta często po mnie przysyłała. Niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał i z początku puszczać mnie daléj nie chciał. Ale dziécko całe we łzach obaczywszy, puścił. Ja przez salę stołową i drugi jakiś pokój, do gabinetu pana Benedykta wleciałem, i wprost przed jego nogami na ziemię padłszy, głośno zawyłem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień palił się, i biurkiem, którego wszystkie szuflady powysuwane były. Więcéj ja cień jego na ścianie, niż jego samego zobaczyłem, i zdało się, że na tym cieniu wszystkie włosy, jakby rozrzucony snop zboża, zjéżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. „A co?“ zapytał. Ja jemu tchu od płaczu nie mając, tyle tylko: „Stryj powiedziéć kazał, że pan Andrzéj tu!...“ i na czoło sobie pokazałem; „a mój ociec tu!...“ i na piersi sobie pokazałem. I dołożyłem jeszcze: „Obudwóch niéma!“ Tylko co zaś te dwa słowa wymówiłem, jak rozejdzie się po pokoju jakiś krzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, i wtenczas dopiéro obaczyłem, że w kąteczku pokoju, pani Andrzejowa, jak martwa kłoda, zwaliła się z kanapy, czy z krzesła na ziemię. Zwaliła się i leżała z twarzą do sufitu

obróconą, a taką białą jak kréda, z oczyma zamkniętemi. Pan Benedykt tylko obudwoma rękoma za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w rękach została, i jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jéj pokazał, a sam pędem z domu wypadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem... więc kiedy do chaty naszéj wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego co mówili, nie słyszałem. Jedno tylko to posłyszałem, że pan Benedykt zapytał się: „A Dominik?“ Stryj zaś znak taki około rąk i nóg zrobił, jakby je czémś wiązał, i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionéj twarzy, jakby w nieprzytomności, wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce woda ściekała. Pan Benedykt nie krzyknął, nie zapłakał, tylko do okna poszedł, i w nocne ciemności patrząc, kilka razy takim głosem, jak człowiek w momencie konania będący, imienia bozkiego wezwał...

— Straszne historye! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby obecność jéj w téj chwili sobie przypominając, nagle zwrócił się ku niéj, i długo patrzył na kilka łez, które jedna za drugą, cicho i powoli, z pod rzęs jéj spuszczonych stoczyły się na policzki. Przed siebie potém spojrzał, i żywym ruchem ramienia jéj dotknął:

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stanęła, i w téj chwili dopiéro spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W téj chwili téż poraz piérwszy do słuchu jéj dostał się ogromny gwar ptactwa, który od początku lasu rósł, wzbiérał, a tu wybuchł niepodobnym do rozplątania chaosem dźwięków. Zarazem, ogarnęły ją mocne wonie smoły, jałowcu, cząbrów, zmieszane z wilgotnym i cmentarze przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie wiecznym cieniem osłoniona, białą pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy,—powtórzył Jan.

To, co jéj ukazywał, było rozległą polaną, czy łąką leśną, objętą regularném i ściśle zamkniętém kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściéj tłoczące się i plączące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. Miejscami szérokie, aż do ziemi opuszczające się gałęzie jodeł i bujające dokoła nich, mnóztwem sęków zjéżone i girlandami szorstkich widłaków oplątane, młode zarośla jodłowe tworzyły długie ściany i grube kolumny zieloności tak ciemnéj, że prawie czarnéj. Gdzieindziéj, sosny wysmukłe, proste, gładkie, u szczytów swych dopiéro korony gałęzi rozpościérające, podnosiły się z nad kobiérca, wyhaftowanego w przedziwne wachlarze paproci i przedziwniejsze puchy mchów różnobarwnych. Te paprociowe linie strzępiaste,

wzajem na sobie spoczywające, lekkie choć ogromne, wszystkiemi odcieniami zieloności umalowane i te, wyglądające z pod nich, lub całkiem je zastępujące mchy seledynowe, brunatne, siwe, z niepojętą delikatnością w miryady drobniuchnych gałązek wyrzeźbione, słały się daleko, jakby w nieskończoność, znikając pod gęstwinami i odrodzoném morzem, wypływając znowu na przezroczyste przestrzenie boru. Na przezroczystych przestrzeniach, w rozległym półcieniu, po gładkich pniach sosen, po mchach i paprociach, w górze, u dołu, wszędzie, biegały, goniły się, ślizgały, tu pożarem wybuchały, tam rozbijały się w roje iskier, smugi, potoki, strzały światłości słonecznych. Wydawało się to świetną, zawrotną, w tajemnicy i milczeniu odbywającą się grą, jasnych i mrocznych geniuszów lasu.

Ale na otoczonéj lasem polanie gier tych nie było. W górze zaokrąglał się nad nią błękit nieba, nieustannie przysłaniany sunącemi pod nim chmurami; w dole okrywała ją przyćmiona płachta słonecznego blasku, przerywana długiemi, nieruchomemi słupami cieniów, padających od jodłowych gęstwin. Wysłaniem jéj była trawa nizka i nierówna, którą zrzadka usiéwały liliowe cząbry i brunelki, białe krwawniki, drobne pączki dzięcieliny i nieśmiertelników. Brzegiem rosły i ku środkowi wybiegały krzaki jałowców, twardemi jagodami, niby czarną, połyskliwą rosą osypane,

albo czerwonawą rdzawością, tu i owdzie, od ciemnéj zieleni, nakształt krwistych plam odbijające. Z suchych, kolczastych gałęzi jałowcu wychylały się żółte kwiaty wilczéj paszczy, i wypełzały, daleko po ziemi ciągnące się girlandy mnóztwa odmian powojów, bluszczów i widłaków. Tu i owdzie pod krzakami i śród nizkiéj trawy, czerwieniły się i żółciały grzyby najszczególniejszych kształtów, lub woń stęchlizny z siebie wydając, bielała pleśń ziemi. W głębi, pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, mający kształt podługowaty i łagodne stoki, niby wał, niby kurhan, widocznie rękami ludzkiemi usypany, i jak cała ta polana, nizką, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Jan, w milczeniu, pagórek ten Justynie ukazał; ona téż milcząc skinęła głową: wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — zapytała zcicha.

— Cztérdziestu,— odpowiedział i kroku przyśpieszył.

Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającéj wiéwiórki zaszeleścił w jodłach, kos gwizdał donośnie, trochę daléj szczygły zanosiły się od śpiéwu, jeszcze daléj gruchały gołębie i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żółn i dzięciołów. Zką-

deś, z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwém ćwiérkaniem, wzniosła się chmura drobnych leśnych wróbli; krasnoskrzydła sójka mignęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu, jak w kadzielnicy olbrzymiéj, głuszone zapachem pleśni, kipiały wonie jałowcu, smoły i cząbru.

Kiedy Jan i Justyna stanęli u Mogiły, na któréj gdzieniegdzie bujały proste i wysokie łodygi kampanuli, mające zda się tuż, tuż, przy najlżejszym powiewie, w delikatne, liliowe dzwonki uderzyć, Jan z głową odkrytą, u stóp mogiły stojąc, zwolna wymówił:

— Zupełnie jak w pieśni:

„Chyba czarny kruk zakracze,
Czarna chmura dżdżem zapłacze...“

Kwadranse upływały, godzina prawie minęła, a Justyna siedziała jeszcze na stoku mogiły, zatopiona w myślach i uczuciach prawie zupełnie dla niéj nowych.

Dziecko czasu, ciągnącego się pasmem ciężkiém i szarém, najdalszém wspomnieniem nie sięgała ona żadnéj z tych strzelistych i ognistych chwil, które serca, nawet maluczkich, obejmują pożarem i rzucają w górę. Kolébka jéj stała już w zmroku i milczeniu, przerywaném tylko szemraniem nizko, nizko przy ziemi krzątających się interesów powszednich i jednostkowych, lub skar-

gami podobnemi tym, któremi płaczą wiatry w ciasnych przestrzeniach zamknięte. Rosła w atmosferze trosk i klęsk, domowemi ścianami ogrodzonych; dojrzéwała w kole rozkoszy i strapień, we własném jéj sercu tylko źródło mających. Wszystko, co ją otaczało, pogrążone było w staraniach, w pracach, w rzadkich nadziejach i uciechach, w częstych obawach i żalach, zawsze tylko osobistych, ciasnych, powszednich. Dokoła niéj myśli ludzkie, jak ptaki z połamanemi skrzydłami, trzepotały słabo, ciężko, zakréślając nieustannie te same, malutkie kółka; uczucia ludzkie jak motyle, po świetnym momencie miłości i wzlotów, skurczone, zgniecione, podarte, padały na ziemię. Ani razu w swém życiu nie widziała tych błyskawic, które z nieba ideałów zlatują w dusze mieszkańców ziemi. Ani razu przed jéj oczyma nie wypadł z ziemi, nieba ideałów sięgający grot bohatérstwa. Nie widziała nigdy bohatérstwa, poświęcenia, walk, którychby pole nie mierzyło się rozległością majątku czy szczęścia jednostki, a celem były ludzkość, naród, idea. Odwiecznym porządkiem padały na świat błyskawice owe, strzelały z ziemi owe groty, staczały się one walki, ale daleko, daleko od miejsca, w którém się urodziła, wzrosła i dojrzała Justyna. Ani sztuka muzyczna, w któréj od dzieciństwa ćwiczył ją ojciec; ani lekcye, udzielane jéj przez nauczycielki; ani tyczące się obejścia i układu wskazówki

i przestrogi, których często nie skąpiła jéj pani Emilia; ani czytywane wspólne z kochanym człowiekiem poezye Musset'a i Feuilletowskie powieści, — nie podjęły przed nią zasłony, która tu i w tym momencie opadła na rzeczy ważne i wysokie.

Nieszczęście rzadko bywa mistrzem dobrym, a pognębienie, jak olbrzymia tłocznia, szczyty nawet wtłacza w padoły. W życiu jednostek i narodów bywają momenta, taką miarą nieszczęść napełnione, że nic już w nich więcéj zmieścić się nie może. Takiego momentu dzieckiem była Justyna, i dla tego z téj mogiły uderzyły w nię strumienie uczuć i myśli, jeżeli nie zupełnie dla niéj nowych, to nigdy dotąd żywo nie zaznanych i wyraźnie nie określonych. Pogrążyła się w nich tak, że całkiem zapomniała o sobie. Piérwszy może raz w życiu zupełnie, absolutnie o sobie zapomniałą, i tylko tego nie czuć nie mogła, że serce jéj stawało się większe i gorętsze, jakby z pod téj trawy, do którćj piersią lgnęła, wydobywało się i w nię wnikało niewidzialne płomię.

Samotność i zapomnienie mówiły do niéj. Ileż wiosen, ile zim i jesieni przeminęło nad tym pagórkiem, wznoszącym się za jeziorem jałowych piasków, w zamkniętém kole starego boru! Ileż przez ten czas przeniosło się po świecie hucznych, tryumfalnych, wesołych hałasów, których najlżejsze echo tu nie doleciało! Płynęły dni za dnia-

mi, lata za latami; kędyś, daleko, w wesołe pary łączyli się tancerze i zakochani; pracownicy z plonami w dłoniach wracali do ognisk domowych; wojownicy z chwałą na czołach nieśli zwycięzkie sztandary; po cmentarzach płonęły pochodnie żałobnych parad i kwitły róże, kochającemi dłońmi zasadzone. Tu, nad tym grobem, wiecznie było cicho i samotnie. Świat o nim nie wié nic, i tylko niebieskie sklepienie zapala nad nim w pogodne noce gromnice gwiazd i lampę księżyca, a w dżdżyste i burzliwe, rozciąga całuny chmur i huczy potężnym, żałosnym hymnem wichrów. Wiosny i lata grają mu rozgłośną muzyką ptasich śpiéwów, a zimy, kładąc po drzewach śniegi i szrony, zmieniają je w marmurowe i kryształowe grobowce. Wtedy tu bywa zimno i pusto; blade słońce miryadami iskier haftuje śniéżne wysłanie polany, a w kryształowych koronkach drzew przemienionych w grobowce, czerwony gil niekiedy zagwiżdże, sroka uderzy w żałobne skrzydła, lub siwe wrony, te kumochy lasu, osiądą na nich i ochrypłemi głosy zagadają o plotkach ziemi... Zupełnie jak w staréj pieśni:

„Chyba czarny kruk zakracze,
Czarna chmura dżdżem zapłacze...“

Chyba téż ziemia i drzewa powieją cmentarnemi woniami jałowcu i pleśni, a w letnie wieczory,

wysmukłe kampanule, tknięte powietrzną pieszczotą, uderzą w liliowe dzwonki na paciérz żałobny, który wyszepczą chyba nizkie trawy...

Justyna podniosła głowę, bo usłyszała szmér monotonny, prawie srébrny, podobny do tego, jaki wydaje łagodnie z wysokości spadająca woda. Podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą spływającą po czarności jodeł, széroką, ruchomą, srébrzącą się wstęgę. Ruchomość jéj i srébrzystość podobną była do ściekającéj z góry do dołu i wielkiemi kroplami przeléwającéj się wody. Co to było? Czarodziejska kaskada jakaś, przez rozrzewnioną dłoń leśnéj bogini nad mogiłą tą zawieszona? Była to grupa osin cienkich, blizko przy sobie rosnących, w liście bogatych i gałęźmi z sobą splecionych. Trafem, zdarzającym się dość często, wyrosły one wśród iglastéj gąszczy, srébrzystym potokiem przerzynały jéj ciemność, a listki ich okrągłe, drobne, gęste, jak srébrne krople w trwożliwém drżeniu błyskające, nieustannie, monotonnie, srébrnie szémrały, szémrały.

W pobliżu osin, o gładki pień sosny plecami oparty, Jan stał z rękoma na piersi skrzyżowanemi, wodząc roztargnionym wzrokiem po drzewach. Justyna z odległości kilkudziesięciu kroków widziała dokładnie profil jego twarzy i całą postać, wypukle w słonecznéj smudze odrzynającą się od tła lasu. Długo na niego patrzyła. Pa-

rę razy głowa jéj zakołysała się, jakby pod wpływem zdziwienia. Myślała może o niespodziance życia, która ją z tym człowiekiem, niedawno nieznanym, dalekim, zapoznała i tu z nim przywiodła. Potém we wpatrzonych w niego jéj oczach zamigotały światła coraz żywsze, i rozrzéwniony uśmiéch rozchylił wargi. Coś snuło się w jéj myśli i grało w sercu, snuło się coraz prędzéj, grało coraz głośniéj, aż prędkim, prawie porywczym ruchem wstała, i snadź nie chcąc deptać mogiły, obchodziła ją dokoła, ku niemu się zbliżając. Szła prędko i lekko; a suche nieśmiertelniki i zeschłe igły jodłowe szeleściły pod jéj stopami. On szelest ten usłyszał, twarz ku polanie zwrócił, ramiona rozplótł i na spotkanie jéj postąpił, ale zaledwie uczynił kroków parę, gdy ona przed nim stanęła, i z pochyloném, spłonioném czołem, ze spuszczoną, wilgotną rzęsą, podała mu obie ręce.

Nie porywczym ani namiętnym, owszem miękkim i nieśmiałym ruchem wziął je w szérokie swe dłonie, i nizko schylony, przylgnął do nich gorącemi usty. Gdy wyprostował się i ona podniosła powieki, oczy ich, poraz piérwszy odkąd się znali, utonęły w sobie długiém, pełném nieśmiałych żarów spojrzeniem, a potém, z trudnością odwracając się od siebie, jednocześnie zwróciły się ku mogile.

— Chodźmy, — rękę pod ramię mu wsuwając, rzekła Justyna.

— Chodźmy, — powtórzył.

Skierowali się ku wyjściu z polany, a gdy szli jedno przy drugiém, krokiem równym i jednostajnym, z twarzami trochę pochylonemi i mieniącemi się niemém wzruszeniem, możnaby mniemać — rzecz dziwna! — że w tém właśnie miejscu śmierci, zdwojonym potokiem wezbrało w nich uczucie życia. Szli po przezroczystych przestrzeniach lasu, przez smugi świateł i cieniów, okrążając miejsca zbyt gęsto paprocią obrosłe, stąpając najczęściéj po miękkich mchach, jeżących się gdzieniegdzie młodemi płonkami sosen i osin, nakrapianych czerwonością brzusznic lub granatem czernic. Kilka minut milczeli. Justyna, parę razy podnosiła wzrok na towarzysza, jakby przemówić chciała, lecz wnet spuszczała powieki. Widać w niéj było nieśniałość, która i w wyrazie twarzy zastąpiła dumę, albo raczéj hardą odporność, z jaką oddawna i najczęściéj stawała przed ludźmi. Zdawać się mogło, że zdjęła z siebie jakiś obronny puklerz; że porzuciła ją troska o ustrzeżenie swéj ludzkiéj albo kobiécéj godności; że ufna i spokojna, nieśmiałą tylko stała się w obec człowieka tego, który szczelnie w szérokiéj piersi wzruszenia swe zamykając, z głębokiém uszanowaniem wiódł ją przez miejsca bezludne; który tak jak ona kochając naturę, znał ją lepiéj i zżył się z nią ściśléj niż ona; który w ukrytych przed światem głębiach parowu i bo-

ru, ukazywał jéj przedwiekowe grobowce i zapomniane mogiły. Czyżby przez głowę przemknęła jéj myśl, że był on od niéj wyższym?

Jakkolwiek dziwną, może niepojętą myśl ta komukolwiek wydaćby się mogła, powstała ona niezawodnie w głowie téj kobiéty, która wiele prawd życia znalazła w gorzkich wodach bolu i obrazy, a przed którą życie podniosło z nad wielu zjawisk ułudne zasłony. Myśl ta niezawodnie w głowie jéj powstać musiała, bo nieśmiało zrazu i urywanemi słowy, a potém coraz ufniéj i żywiéj mówić mu zaczęła o tém, co było największą męką jéj życia i co najgłębiéj uczuwała na widok powszednich nawet prac ludzkich; cóż dopiéro, w obliczu spełnionych zadań i poświęceń, z których widmami oko w oko spotkała się u grobowca Jana i Cecylii i na Mogile! Tę mękę już od lat kilku sprawiało jéj uczucie zupełnéj, rozpaczliwéj bezużyteczności własnéj.

Zkąd uczucie to w niéj powstało? Rozumiała to dobrze, bo nieraz zastanawiała się nad tém długo. Powstało ono naprzód z doświadczeń życia, które serce jéj opustoszyły z wielu marzeń i złudzeń; może jeszcze z jakichś myśli i dążeń czasu, które ją zdala owionęły; może nakoniec z tego, że była bardzo dumną. Ci, pośród których żyła oskarżali ją o dumę. Słusznie. Była istotnie tak dumną, że głęboko upokarzały ją otrzymywane łaski i przysługi, których niczém

odwdzięczyć nie mogła, nadewszystko zaś dni i lata, które upływały marnie, bezczynnie. Porównywała siebie czasem do kamienia zalegającego darmo kawał pola, na którémby wyrość mogła jakaś garść plonu. Wstyd i nuda! Ciężką nudą przejmowała ją co rano myśl o dniu, który rozciągał się przed nią pustym, bezcelowym szlakiem; z ciężką nudą co wieczór kładła się do spoczynku. Czuła w sobie często bunt młodości, zdrowia i sił, które ją porywały, prawie niosły ku jakimś żywym i trudnym wysiłkom ciała i ducha. Pragnęła iść, biédz, komuś w czémś dopomagać, na celu coś miéć, ku czemuś zmierzać; pragnęła czasem choćby kamienie z miejsca na miejsce przenosić, choćby piłę żelazną pochwycić i drzewo nią przerzynać, byle tylko na cokolwiek przydać się mogła, byle rozgrzać stygnące dłonie, a ochłodzić rozgorzałe czoło.

Ale w jéj położeniu i otoczeniu, nie było dla jéj sił i chęci miejsca żadnego. Stary ojciec wprawdzie potrzebował niekiedy jéj usług, ale drobnych, niewiele czasu zabiérających, z których najważniejszą było wspólne z nim granie. Zresztą, wszyscy w Korczynie oddawali się swym zajęciom, nie potrzebując i nie przyjmując jéj udziału. Ilekroć przemocą prawie wedrzéć się w nie chciała, czuła się zawsze tém, czémby być mogło piąte u wozu koło. Nikt nawet w niéj nie przypuszczał téj potrzeby duszy, nikomu to na myśl

nie przychodziło. Była ubogą krewną domu, mogącą jeszcze wyjść za mąż, i czémże więcéj być mogła? Dla zajęcia czasu miała książki, fortepian, przechadzki po ogrodzie, wizyty sąsiadów,— czegoż więcéj potrzebować mogła?

Potrzebowała jednak, tak dalece, że po razy kilka niepokoiła ją myśl opuszczenia Korczyna i udania się gdzieś daleko, do jakiego miasta, w którémby znalazła pracę, niezależność, pełnię dni i cel życia. Ale najprzód, miałaż z sobą na walkę i biédę zabiérać ojca, tego rozpieszczonego starca, który w Korczynie czuł się jak w raju? albo go pozostawić na barkach krewnych, którzy sami wcale wolnymi nie byli od trosk i ciężarów? potém, dziécię wsi, rozłączenia z nią lękała się tak, jak gwałtownego rozłamania życia na dwie połowy. Raz tylko z panią Emilią była w wielkiém mieście, które sprawiło na niéj wrażenie ciasnoty, zaduchu, zamętu nierozwikłanego, blasku nie mającego dla niéj ponęty żadnéj. Nie znała świata, jego stosunków i wymagań; do rzucenia się w jego chaos i boje brakowało jéj odwagi. Nakoniec i zdolnościom swym tak dalece nie ufała. Nie należała do tych, którzy wyobrażają sobie, że wszystko potrafią; ani do tych, którym rojenia o stanowiskach wysokich sił i odwagi dodają. Namyślała się więc, wahała, wpadała w głuche bunty lub martwą apatyą,

a dni i lata, jak błyszczące, lecz wewnątrz puste paciorki, staczały się w przeszłość...

O wszystkiém tém mówiła coraz prędzéj, żywiéj, wzburzoną falą wyrzucając z ust zwierzenia, których dotąd nie czyniła nigdy przed nikim. Coraz śmielszą stawała się i coraz szérzéj duszę otwiérała, bo widziała, czuła, że ten, do kogo mówiła, słuchał jéj także wszystkiemi siłami duszy i rozumiał ją wybornie.

Mimowoli ku niéj pochylony, z wytężonym słuchem, ze skupioną uwagą, Jan od czasu do czasu czynił głową znaki potwierdzenia i zrozumienia.

— A tak!—wymawiał.— A jakże!... Naturalnie! To wszystko prawda!...

Raz, gdy umilkła, z namysłem rzekł:

— Wszystko to prawda. Smętnie to i wstydno bogactwa używać, a nie swego; wysoko stać, a nie na swoich nogach; młodym i silnym być, a jak w zgrzybiałéj starości, żyć w wieczném odpoczywaniu...

Innym razem, jakby do siebie samego przemówił:

— Ani ptak, ani mysz... jak nietoperz!

W ten sposób uplastycznił przed sobą to zmieszanie bogactwa i ubóztwa, oświaty i nieuctwa, dość wysokiego stanowiska społecznego i zupełnéj życiowéj nicości, które ona sobą przedstawia. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zupełnie, tak na-

wet subtelnie zrozumianą, jak przez tego człowieka, który do jéj życia i położenia przykładał miarę pracowitości i niezależności własnéj. Powiedział nawet, że nie pojmuje, jak ona taką mękę wytrzymać może; bo gdyby jemu kazano po dniach całych z założonemi rękami siedziéć, kawałka chléba, dachu, surduta, z cudzych rąk wyglądać, utopiłby się niezawodnie, albo na piérwszéj gałęzi powiesił.

— Dziecko, albo stary, to co innego, ale jak pani do téj pory tak wyżyć mogła, dziw mnie bierze... bo, chwała Bogu, zdrowie i siła aż biją od pani, i zdaje się, choć wiadra z wodą na plecy zarzucić, toby poniosła pewno...

Zaśmiała się i odpowiedziała, że najpewniéj wiadra z wodą dźwigaćby zdołała, skoro je dźwiga Antolka, dziecko jeszcze prawie i o połowę od niéj szczuplejsza.

Ale on, choć nie pojmował możności takiego życia, za winę go jéj nie poczytywał. Tak już urodziła się i tak już zwyczaje ludzkie zrządziły, że stała się, jak nietoperz, nito myszą przy saméj ziemi biegającą, nito ptakiem kołyszącym się pod obłokami. Dawno domyślał się, że nie była ona szczęśliwą; od ludzi to i owo o niéj słyszał. Co słyszał? nie powiedział tego wyraźnie, ale raz ręką gniéwny gest uczynił i pomimowoli wybuchnął:

— Ot! nie przyrodził się do ojca swego, ten pan Zygmunt Korczyński!...

Urwał, zmieszał się, strwożony czy jéj nie obraził, i z odwróconą od niéj twarzą nieśmiało wytłumaczył, że ludziom gąb pozatykać nie można, gadali, a on dziwił się, i przez ciekawość przypatrywać się jéj zaczął, ile tylko razy zdarzyło się mu ją widziéć. A zdarzało się czasem. Ona go nie widziała, on ją widywał, to w kościele, to znowu kiedy z panną Martą, albo z gośćmi na spacer szła. Popatrzył tedy na nię raz i drugi przez ciekawość, a potém, wiecznie już patrzéćby żądał, i ilekroć zobaczył, serce dzwonem w nim uderzało. Czyż on wié, dla czego tak było? Może i nikt na świecie nie doszedł jeszcze i nie wytłumaczył, co w jednym człowieku dla drugiego taką przyjaźń wznieca, że gdybyś i widłami od siebie ją odpychał, powróci. Zdaje mu się jednak, że piérwszą przyczyną jego dla niéj przyjaźni było to, że smętek i ubolenie w niéj rozpoznał. Twarz człowieka zdradza to, co się w sercu kryje. Nieraz myślał sobie, że Pan Bóg dał jéj tyle piękności i wysoko ją postawił, a szczęścia nie dał. A ile razy o tém pomyślał, jakby roztopiony łój do serca mu kapał, taką boleść w niém uczuwał i taką łzawość. Gdyby był mógł, byłby wszystko porzucił i na koniec świata skoczył po wodę gojącą dla niéj, tak jéj żałował. Ale o takiéj wodzie bajki tylko gadają i niéma jéj na

świecie. Więc tylko, ile razy ją zobaczył, cały dzień potém albo śpiéwał, albo miał ochotę zaśpiéwać tę piosenkę:

„Wyszła dziéwczyna, wyszła jedyna,
Jak różowy kwiat,
Rączki załamała, oczka zapłakała.
Zmienił się jéj świat.“

Raz, kiedy to ją wracającą z kościoła spotkał na drodze z panną Martą, popłynął ze stryjem na mogiłę i z przeciwnego brzegu zobaczywszy ją, w oknie stojącą, nie mógł wytrzymać i tę piosenkę do niéj zaśpiéwał. Ale pewno ona wtedy ani patrzyła na niego, ani słuchała tego, co śpiéwał...

Owszem, widziała go, pieśń, którą śpiéwał słyszała, i od tego właśnie dnia zapamiętała i rysy jego, i głos tak wyraźnie, że potém spotkawszy go orzącego w polu, poznała odrazu.

— Nie może być!—z wybuchającą na twarz radością zawołał,—to pani choć raz okiem na mnie rzuciła! a ja wtenczas myślałem, że nigdy tego szczęścia nie dostąpię!

Pochylił się trochę, w twarz jéj spojrzał, i taki ruch uczynił, jakby rękę jéj chciał pochwycić. Ale dotknąwszy tylko rękawa jéj sukni, ramię w dół opuścił, wyprostował się i z głębi piersi odetchnął. Zarazem, jak najczęściéj bywało, kie-

dy uczuwał się zmieszanym lub wzruszonym, przelotne spojrzenie rzucił w górę. Justyna w téj chwili ku niemu wzrok podniosła i już go przez kilka sekund nie spuszczała. Spostrzegła, że gdy tak patrzył w górę, błękitne oczy jego wydawały się nalanemi po brzegi roztopioném srébrem.

Wtém stanęli. Przed stopami ich, blado-żółtym pasem zieloność trawy i mchu przerzynając, wśród grubéj warstwy białych trzasek, leżała nawpół obrobiona gruba kłoda drzewa.

— A! — stając przed tą przeszkodą, zadziwił się Jan: — w tamtę stronę idąc, nie szliśmy koło téj kłody!

— Nie szliśmy,—potwierdziła Justyna.

Rozejrzał się dokoła.

— Co mnie stało się? zdaje się, że dobrze ten bór znam, a nie tędy kędy potrzeba panią powiodłem. Ślepota jakaś na mnie napadła...

Pilnie teraz patrzył na niebo, które nad drzewami tu i owdzie już tylko ukazywało małe kawałki błękitu, z za chmur łączących się w coraz większe i ciemniejsze płachty. U spodu boru pogasły wszystkie, niedawno tak świetnie igrające światła słoneczne, a po szczytach jego wiatr przelatywał krótkiemi jeszcze, urywanemi szumy. Ptactwo, ze zdwojoną żywością świégotało i gałęzie napełniły się trwożliwém fruwaniem skrzydeł. Jan, chwilę jeszcze rozglądał się po lesie.

— Niewielka biéda!—rzekł.—Nie zupełnie złą drogą idziemy, tylko dłuższą. Teraz trzeba nam ciągle na prawo iść, to za kwadrans na brzeg wyjdziem, wprost naszego czółna, i przez piaski już przechodzić nie będziem.

Przeskoczył kłodę i wyciągnął rękę, aby do przebycia jéj pomódz towarzyszce. Ale ona już także znajdowała się po drugiéj stronie i tylko suknią zaczepiła o gałąź zgnieciohego przez obalone drzewo jałowcu. Pochylił się, w mgnieniu oka przezroczysty zwój muślinu uwolnił od czepiających się go kolców i błyskawicznie prędko do ust go przycisnął. Justyna tego spostrzédz nie mogła, témbardziéj, że wnet prostując się, omglonym, lecz z pozoru obojętnym wzrokiem po lesie rzucił, i tonem przedmiotowo czynionéj uwagi rzekł:

— Piękne drzewa! Pan Korczyński dobre pieniądze mógłby wziąć, gdyby ten las sprzedał. Ale ot, nie sprzedaje jakoś...

Po chwili, mówił daléj:

— Do nas téż piękny kawałek tego lasu należy, to jest, nie do stryja i do mnie, ale spólnie do całéj okolicy. Wszyscy mają prawo w nim rąbać, a że w tém rąbaniu żaden porządek zaprowadzony nie jest, powstają z tego kłótnie i niezgody. Las niszczą tak, że za lat kilka śladu po nim nie ostanie, i między sobą za włosy się o niego ciągają. Z panem Korczyńskim téż, z racyi

tego lasu, ciągłe wojny idą, i gdyby on dobry był toby już dawno zamianę jaką z nami uczynił, czy tam pewne rozgraniczenie jakie, byle po sądach siebie i ludzi nie włóczyć. Jeszczeby i nam do zaprowadzenia porządku dopomógł. Ale on i gadać z nami nie chce, chyba z przyczyny interesu jak do psów zagada, a inszym razem spotkawszy i nie spojrzy nawet na człowieka, jak wilk w ziemię patrząc...

Rzucił ręką i usta trochę wydął.

— Co tam o tém gadać! Każdy teraz o sobie tylko myśli i siebie kocha. Pan Korczyński podobno inszy był niegdyś, a potém go coś odmieniło... nie wiadomo tylko co takiego!...

Justyna próbowała bronić krewnego i opiekuna, opowiadając o jego uciążliwéj pracy gospodarskiéj i majątkowych kłopotach, ale przed tém sercem świéżém i nienawiścią niezatrutém, długo bronić go nie potrzebowała.

— Pewno! pewno! — twierdząco wstrząsając głową powtarzał Jan, — utrapienia i „aprensye“ złość w człowieku rodzą. Ja sam, pamiętam, kiedy kilka lat temu Fabian mnie prześladował, na kłótnie wciąż wyzywał i pole moje jak swoje zaorywał, w taką złość wpadłem, że do domu przyszedłszy, garnek co na stole stał o ziemię cisnąłem i roztłukłem, siostrę małą jeszcze złajałem i stryjowi jeżem się postawiłem. A wszystko to uczyniłem niedobrowolnie, tylko przez

zgryzotę i „aprensyę.“ Często cierpiąc, zdarza się, że nie ścierpisz!...

Opowiadał, że w okolicy żyjąc, wiele zgryzot i krzywd przenieść trzeba. W jedném gnieździe, nie jednaki ptak się lęgnie. Szczenięta od jednéj psicy urodzone, niejednostajne mają przyrodzenie. Tak samo i między ludźmi. Są w okolicy ludzie dobrzy i spokojni; są i tacy, co jak psy rozjudają się na sąsiadów. Ale najwięcéj złych jest dla tego, że mało mając, z chciwością ubijają się o więcéj, i blizko siebie żyjąc, fałdów jeden drugiemu przysiaduje.

— Pijactwa pomiędzy nami niéma, ani rozpusty nijakiéj, ani złodziejstwa. Chatę choć na cały dzień otworem zostawić można, a nikt marnego węgla z pieca nie wyjmie. Za toż każdą grudkę ziemi jeden drugiemu z gardłaby wydarł, a za najmniejszą szkodę, albo ubligę, do czubów się biorą lub do sądów ciągną. O szkodę zaś i ubligę łatwo tam, gdzie zagony, jak groch w worku, zmieszane, a okno w okno patrzy...

Stryj i on sam—mówił Jan—zatargów i procesów, jak tylko mogą ubiegają, po prostu za wstyd je poczytując, a także i dla tego, że smaku ani téż pożytku w nich nie znajdują. Hojniejsza jedna garść z pokojem, niżeli dwie z wojną. Lepiéj z małego garnuszka jeść w spokojności, niż morze wychłeptać ze zgryzotą. Cukru garścią nie jedzą, ale niedostatku nijakiego nie cierpią.

Prawda, że za bogatych w „okolicy“ (wieś szlachecka, zaścianek) uchodzą, a to z téj racyi, że gospodarstwo do nich dwóch tylko należy, raczéj do stryja, ale to już wszystko jedno. Przytém i ziemi mają sporo, morgów dwadzieścia. Trzech tylko w „okolicy“ gospodarzy tyle jéj ma, ale za to większe u nich gromady, jak u Fabiana naprzykład: dusz siedem w domu. Inni daleko mniéj mają, po dziesięć, osiem, pięć morgów, a i tacy są, którzy jak naprzykład Ładyś, i ćwierci beczki na swojéj ziemi nie wysiéwają. Cóż dziwnego, że w cudze lazą? Pusty żołądek mruczy. I u nich samych biéda była, kiedy stryj był chory, a on jeszcze mały i niebardzo do czego zdatny. Teraz zaś, to już nie tylko dobrze sobie żyją, ale i Antolka dostanie posag, jak za mąż wychodzić będzie, nie duży, pięćset rubli, ale Michałowi, który i bez tegoby ją wziął, wielką tém pomoc przyniesie, a zawsze późniéj większéj poszany i od męża i od jego familii doświadczy, jeżeli się choć małą rzeczą do spólnego dobra przyczyni. Dziéwczyna téż zasłużyła na to, bo pracowita, i choć taka młoda, ze wszystkiego korzyści ciągnąć umié: z krów, z ptactwa, z przędziwa, z tkania. Krów mają cztéry, owiec dwadzieścia; więcéj miećby potrzeba, ale z wypasem i łąką biéda. Dwie ciężkie biédy „okolica“ przenosi: jednę, że łąk i wypasów zamało ma, a drugą, że woda nadmiar krwawa. Zresztą, praca około gospodarstwa nie

Bóg wié jaka; człowiek się nią nadwerężyć nie może. Bywają czasy harowania i czasy odpoczywania, — w zimie naprzykład. Robota i wtedy jest, ale nie ciągła; wieczorami, to już chyba tam koło stolarstwa majstruje, inni sieci na ryby wiążą, jest jeden, co obuwie szyje, zresztą, zbiérają się po takich domach gdzie świetlice największe, grają na harmonikach i skrzypcach, śpiéwają, czasem tańczą, czasem czytają. Czytaliby więcéj i częściéj, ale te książki, co u stryja są, dawno poprzeczytywane, a inne...

Tu przerwał mówienie i niespokojnie obejrzał się za siebie. Z głębi boru leciał i kulą w powietrzu toczyć się zdawał szum do głuchego turkotu podobny. Wiérzchołki sosen zakołysały się i gałęźmi jak wachlarzami poruszyły; na dno lasu, niby welon z ciemnéj krepy, spadł zmrok szarawy, wszędzie jednostajny i gdzieniegdzie tylko smugami krwistych świateł błyskający. Ptactwo znieruchomiało, ucichło, zrzadka tylko odzywając się urywaném ćwiérkaniem, miarowe pukania dzięciołów i żółn ustało; w krzakach i pod paprociami słychać było pośpieszny szelest owadów; wiewiórka wbiegająca na wysoką sosnę, zatrzymała się w połowie drogi, i na sęku zawieszona, z odwróconą głową, czarne, zlęknione oczy w pociemniałą ziemię utkwiła. Nad kołyszącemi się czołami i powiéwającemi gałęźmi drzew, niebo usłało się puszystą, wzdętą szarością; wrony pod

niém chmurą przeleciały, przeraźliwie zakrakały i skryły się wśród ruchomych szczytów, nagle milknąc przed toczącym się w głębiach boru szumem i turkotem.

Jan niespokojnie na Justynę spojrzał.

— Burza nadlatuje. Czy pani nie lęka się? — zapytał.

Odpowiedziała, że trwogi najmniejszéj nie czuje i ciekawie rozglądała się w szczegółach ponurego w téj chwili obrazu przyrody. Jednak, wywiérał on snadź na nię wrażenie obawy czy przygnębienia, bo zbladła trochę i pod muślinową suknią dreszcz przebiegł jéj ciało.

Jan rozpaczliwym gestem rękę do głowy poniósł:

— Głupiec czy waryat ze mnie!—zawołał, żeby w lesie zbłądzić i panią na trwogę, albo i na przeziębienie narazić...

Wnet jednak poskromił wzruszenie i zimną krew odzyskał.

— W lesie pozostać na żaden sposób nie można, bo zaraz wicher gałęzie z drzew strącać zacznie, a niejedne cieńsze to i z korzeniami z ziemi wyrzuci. Lepiéj już płynąć. Z wodą czółno strzałą popłynie... Minut dziesięć i pod „okolicą“ staniem. Ulewy może nie będzie, albo bardzo krótka, bo chmury ptakami lecą, a choćby i była, lepiéj dostać na głowę wiadro wody, niż sosnę. Chodźmy prędko!

Ostatnie dwa wyrazy naglęco wymówił, i wziąwszy rękę Justyny w swoję, ku brzegowi lasu biédz prawie zaczął. W parę minut stanęli na wązkiém, kamienistém wybrzeżu, za którém rzéka, tak jak niebo ciemna, gwałtownym wiatrem gnana, toczyła fale wzdęte, w regularne fugi wyrzeźbione, białe plamy piany wyrzucające. Jan skoczył do czółna, silném pchnęciem z piasku na wodę je zsunął, i wiosłem u brzegu zatrzymując, do Justyny zawołał:

— Proszę!

Zawahała się. Spojrzała na wzburzony szlak rzéki, na małe czółno, które pod silnie przyciskającém je wiosłem woda rwała i targała; pobladła więcéj jeszcze i nie wiedziała co począć. Brwi Jana ściągnęły się nad oczami, z których strzelił błysk zniecierpliwienia.

— Tu czasu do medytacyi niéma. Proszę do czółna siadać! — wymówił, a głos jego, w szumie i huku wiatru, brzmiał stanowczo, prawie rozkazująco.

Wahanie Justyny zniknęło bez śladu; podbiegła do czółna, wskoczyła w nie i na dnie jego usiadła. On szybkim ruchem poprawił gałęzie topoli wyściełające czółno, i szybko, ale łagodniéj już przemówił:

— Proszę nie lękać się. W różne ja pory i nie w takie burze, jak ta, po Niemnie jeździłem, a pływać umiém prawie jak ryba...

Widać było po niéj, że lękać się przestała. Z siły jego wlała się w nię ufność. Ale w téj chwili huk i turkot wichru zleciał już na brzeg boru, który rozległ się suchemi trzaskami łamiących się gałęzi, i skrzypieniem rozkołysanych sosen, a przestrzeń, od brzega do brzega widnokręgu, od ciemnego nieba do ciemnéj wody, stanęła jedną gęstą, i z każdą sekundą wzbiérającą dészczową mgłą. Justyna znowu od głowy do stóp zadrżała.

— Niewzwyczajona—szepnął Jan,—jak dzieciątko!...

Błyskawicznym ruchem zdjąwszy z siebie siermiężkę, rzucił ją na towarzyszkę, którą okryła ona od szyi do stóp, — a sam, u dzioba czółna stojąc, wiosłem o wodę uderzył. Wicher szalał, ciemne chmury pod niebem białą płachtą zaciągniętém, ptakami leciały, zrzadka rozsiane grusze i wiérzby wściekle miotały się nad wysokim brzegiem. Z drugiéj strony stał bór kipiący w głębi, lecz na zewnątrz nieruchomy jak kamienna ściana, a po ciemnym, wzdętym, białemi plamami usianym szlaku rzéki, czółno strzałą mknęło, wciąż ukośnie, ukośnie po falach puszczane, boki im umykając, a dziobem je porząc. Nie było samotném; przed niém, w ten sam jak ono sposób, mknęło drugie, trzecie, czwarte: to rybacy uciekali do domów przed gwałtownym wybuchem przyrody. Na spotkanie tych niby lotnych, czarnych pta-

ków, powoli z przeciwnéj strony sunęły, do wodnych potworów podobne, rudlami jak olbrzymiemi płetwami o wodę uderzające, ciężkie, spłakaną żółtością wśród powszechnéj szarości smutne „płyty“ (tratwy). W niespełna kwadrans, jak to przepowiadał Jan, ukazały się nad wysoką górą domy i drzewa „okolicy.“ Rybackie czółna stały już na piasku wybrzeża; a w przerzedzającéj się mgle deszczowéj widać było rybaków spokojnym krokiem wchodzących na górę. Za jednym z nich, najbarczystszym i na burzę najobojętniejszym, ciągnął się ze spuszczonym ku ziemi pyskiem i ogonem, czarny zmokły pies.

Kiedy Justyna stanęła na wybrzeżu, gwałtowny krzyk, który wydała z siebie przyroda, ucichł się, a płacz jéj ustał. Wichrem przygnane chmury, wicher przeniósł i pędził coraz daléj po jednéj połowie sklepienia, którego druga połowa oblekła się nagle promiennym błękitem i zajaśniała tarczą słoneczną czystą, wielką, zawieszoną nad zalegającym zachodni skłon nieba pasem roztopionego złota. Pas ten odbił się w rzéce, która popłynęła szafirem i złotem, a nad nią, z sunących wciąż powoli, rozjaśnionych płytów, podniosły się kręte złote sznury dymów. Zielona góra, z okrywającym ją rysunkiem ściéżek, stanęła cała w kryształowych kroplach, drgających i świécących na każdém źdźble trawy i na każdym liściu chwastów. U szczytu jéj wybuchnął

wiegot ptactwa, i z dołu dostrzédz można byłoś, w napełnionych światłem gałęziach drzew, które u góry rosły, tańczące z radości ptactwo. Wiatr słabł, opadał cicho jeszcze i zlekka dmąc w jednę stronę; chmury kłębiąc się i mieszając, zwijały się naprzeciw słońca w wał półkolisty i srébrem oblany.

Po jednéj z krętych ścieżek Justyna wstąpiła na górę, i u połowy jéj pod rozłożystą topolą stanęła. Jan czółno na piasek ściągnął i kilku skokami przy niéj się znalazł. Niespokojnym wydawał się i zakłopotanym; cienia uśmiéchu na twarzy jego nie było. W przemokłéj koszuli, ze zmokłą siermięgą na ramieniu, szybko oddychając, od razu kilka pytań rzucił.

— Przestraszyła się bardzo? Zmokła? Może przeziębiła się? Zdrowiu może zaszkodzi?

Ale dość było jednego na nię spojrzenia, aby zrozumiéć, że nie dręczącą wcale, lecz może rozkoszną chwilę przebyła. Odkąd usiadłszy w czółnie, w oczach jego blask odwagi, a w ramieniu, wznoszącém się do walki siłę i zręczność ujrzała, wszelka trwoga w niéj znikła, a natomiast przeniknęła ją do głębi słodycz zaufania. Ufała mu. Gdy stojąc u steru czółna, z brwią ściągniętą, z całą duszą w oczach skupioną, ku wodzie nieco schylony wiosłem odpędzał żywiół napastniczy i na wodném bezdrożu niezawodne torował drogi, wydawał się jéj samą śmiałością i siłą; uczuła się

także śmiałą, silną, dumną z niego i z tego, że zaufać mu potrafiła. Przytém wydawał się on jéj i samą dobrocią. Pod gęstą mgłą dészczową, z trudnością powieki podnosząc, widziała jednak kilka szybkich, zmartwionych, troskliwych spojrzeń, jakie na nię rzucił, i razem z ufnością, wdzięczność nieskończona dla tego serca, które tak prosto i szczérze słało się pod jéj stopy, upoiła jéj serce. Upojona i szczęśliwa stała pod topolą, upewniając go, że nie przelękła się, nie zmokła, nie przeziębiła się, i tego tylko żałuje, że wycieczka ich dłużéj nie trwała.

— To i chwała Bogu! — zawołał.

Widząc ją zdrową i wesołą, uspokoił się zupełnie. Widział téż, że nie przemokła wcale. Siermięga jego była tak grubą, i choć na nim wydawała się krótką, ją tak dobrze osłoniła, że dészcz suknię jéj tylko przejął wilgocią. W zamian, mokre włosy, zdwojonym ciężarem na kark jéj spadały. Wstrząsnęła głową, luźny i w czasie burzy więcéj jeszcze rozluźniony węzeł rozwinął się i czarną wilgotną falą okrył jéj plecy. Może sama nie czuła tego, że była w téj chwili zalotną. Ale on do tych opadłych, falistych zwojów przylgnął rozgorzałemi oczyma, i o krok za nię cofnięty, rękę ku nim wyciągnął, cofnął ją, wyciągnął znowu, aż lękliwie dotknął ich miękkiéj, błyszczącéj gęstwiny.

— Że téż to Pan Bóg takie cudności stwarza!

Szept ten, razem z jego gorącym oddechem ucho jéj musnął, na włosach uczuła dotknięcie jego ręki; w tył mocno głowę odgięła i nieruchoma stała, z twarzą różową, a wzrokiem utkwionym w széroki pas złoty, który pod tarczą słońca zdawał się na oścież roztwiérać błękitne niebo.

Na tém tle złotém, zamajaczyły białe, skrzydlate plamy, lecące nad rzéką to niżéj, to wyżéj, ku zielonéj górze. Były to ptaki dziwne i piękne, duże, niepokalanie białe, szérokoskrzydłe, z dziobami i nogami ognistéj barwy. Ze dwadzieścia ich było; wyglądały jak napowietrzne lilie, o ognistych łodygach i prętach. Od stóp zielonéj góry wzbiły się wysoko, i ciężkie, milczące, poważnym, lekko szumiącym lotem popłynęły daléj, daléj, z nad wody spłaszając malutkie wobec nich i trwożliwie przed niemi uciekające rybitwy. Justynę ciekawość o parę kroków naprzód rzuciła. Wydała okrzyk zdziwienia; piérwszy raz w życiu ptaki te widziała.

— To są morskie wrony — zmąconym głosem wytłómaczył Jan, — czasowe u nas ptaki i rzadkie. Nie każdego roku przelatują one tędy, podczas i kilka lat ich nie widać, potém pokażą się znowu, przelecą i polecą Bóg wié dokąd!

Z zadumą za śnieżnemi ptakami okiem rzucił.

— Ciekawość podczas człowieka ogarnie dowiedziéć się czego o tych stronach dalekich, do których ptaki latają... Żeby choć w książce albo

w rozpowiadaniu jakiém zobaczyć te morza, te kraje, te cudności i dziwy...

— Razem o nich czytywać będziemy. Czy dobrze?

Wszystkie promienie słońca w źrenicach mu zaświéciły.

— Żebyż to kiedy nastąpiło! Żebyż to doprawdy!...

Wiatr powiał; topol zaszumiała i strząsnęła na nich krótką ulewę kropel. Roześmieli się oboje głośno, jak dzieci.

— Chodźmy do chaty! — zawołał Jan.

— Chodźmy! — ochotnie powtórzyła Justyna.

Szereg lip, na podwórku Anzelma i Jana stojących, raz jeszcze osypał ich chłodną rosą, nim stanęli przed otwartém oknem przeciwka, czyli izdebki, którą Anzelm celą swoją nazywał.

V.

Pod otwartém oknem, na podługowatym, prostym stole, na kilku książkach w zniszczonéj oprawie, stała lampka z wysokim kominkiem; przy glinianym dzbanku i szklance z zielonawego szkła, leżał wśród grubych okruch niedojedzony kawał razowego chleba.

— Już kiedy okno otworzył i chléb jadł, to prędko i odżyje,—szepnął Jan.

W głębi izdebki pod ścianą, okrytą cienkim i chropowatym pokładem wapna, na tapczanie zasłanym kraciastą, domowego wyrobu kołdrą, Anzelm w kapocie i butach na wznak leżał, z jednėm ramieniem bezwładnie wzdłuż ciała spoczywającém, a drugiém na głowę zarzuconém.

Széroki rękaw kapoty zakrywał całkiem górną część jego twarzy i widać było z pod niego tylko bladoróżowe, siwiejącym wąsem ocienione usta. Układ tych ust był tak surowy, jakby wnet otworzyć się miały dla wydania słów gromiących, albo

gniéwnego okrzyku. W górze, nad leżącym w martwéj nieruchomości człowiekiem, blado błyskały ramy świętego obrazu i szaro majaczyły wizerunki rycerzy, cierniową koroną zwieńczone.

— Żeby teraz z fuzyi mu nad głową wystrzelić, ani poruszy się, ani przemówi, i żadne proszenie, ani krzyczenie, nic nie pomoże. Sam przez się potém dźwignie się i odżyje...

Odeszli. Z małego ganku, otoczonego gzémsem w grube floresy wyrzeźbionym, widać było ciemnawą sionkę, w któréj stały żarna, i przez otwarte drzwi, w kuchni czysto wymiecionéj, dwie naprzeciw siebie, u białego sosnowego stołu siedzące dziéwczyny. W niedzielnych sukniach, bijących w oczy morderową i granatową barwą, w obcisłych stanikach i kolorowych kokardach u szyi, łokciami o stół oparte, głowy owinięte gładko uplecionemi warkoczami pochylały ku sobie, szepcąc o czémś z ożywieniem i bezustanku. Pomiędzy niemi leżał na stole zaledwie rozpoczęty bochen chleba i stał gliniany, czarny garnek, z którego drewnianemi łyżkami czerpały gęsty, biały chłodnik, z mléka, octu i posiekanéj boćwiny złożony. Ujrzawszy wchodzącą Justynę, powoli wstały, do progu podeszły, a gdy im ona rękę na powitanie podała, Antolka dotknęła jéj nieśmiało i z krótkim dygiem, Elżusia zaś ścisnęła ją tak mocno, że aż całém ramieniem zatrzęsła, i wnet powiedziała:

— Panienka znowu do nas przyszła! Bardzo słusznie. Nam bardzo miło panienkę widziéć.

Uśmiéch, z którym to mówiła, był przyjacielski i wesoły; ale oczy jéj, tak jak u Fabiana małe i błyszczące, zdawały się ze złośliwą trochę ciekawością prześwidrowywać twarz przybyłéj, i złośliwie téż zérknęły za znikającym we drzwiach świetlicy Janem.

— Proszę usieść—przemówiła młodsza z dziéwcząt.—Czy Justynka nie bardzo zmokła, w dészcz z mogiły wracając?

— Oho!—zadziwiła się Elżusia.—Większa poufałość, niż znajomość, po imieniu panienkę nazywać.

Antolka zawstydziła się i twarz ku ścianie zwróciła.

— Kiedyż prosiła...— szepnęła.

Justyna, cienką jéj kibić otoczyła ramieniem, i w zarumieniony policzek pocałowała.

— Suknia mi tylko zmokła, ale chętnie ogrzałabym się przy ogniu...

— To ja zaraz rozpalę!

Skoczyła, kilka polan z sionki przyniosła.

— Poczekaj! — zawołała Justyna, i zlekka ją usunąwszy, sama przed piecem na podłodze przysiadła i ogień rozniecać zaczęła.

— Oj, oj! nie potrafi! — na całe gardło zaśmiała się Elżusia.

— Potrafię! Nie święci garnki lepią! — odpowiedziała Justyna.

— Bardzo słusznie, tylko że panienka nie do tego stworzona!

— Ot widzicie, że już się pali...

Kawał brzozowéj kory płonął istotnie w piecu i językami ognia obejmował suche polanka. Popielaty królik z pod pieca wyjrzał, Justyna wzięła go na ręce, i ułaskawione, łagodne stworzenie wnet do piersi jéj przylgnęło. Za tym piérwszym ukazał się drugi, trzeci, czwarty, i wszystkie zwinąwszy się w jeden jedwabisty, pstrokaty kłębek, czarnemi oczami w czerwonych oprawach na nię patrzyły.

— A my o panience tylko co mówiłyśmy. O wilku mowa, a wilk tu. Bardzo słusznie!

— Ona do Justynki ma wielką prośbę,—kruczkiem drzewo w piecu poprawiając, uśmiéchnęła się Antolka.

Elżusia łokciem ją trąciła i dłonią chciała zamknąć usta. Ale Antolka chychocząc i głowę odwracając, rękę jéj odepchnęła.

— Ona Justynkę chce na wesele swoje zaprosić. Mówi, że wesele większy dla niéj walor będzie miało, jeżeli Justynka i młody pan Korczyński na niém będą. I w oczach ludzkich to jéj wielką promocyą zrobi. Młodego pana Korczyńskiego sam Fabian zaprosi, choć długo ani słu-

chać o tém nie chciał, ale on ambicyant i sam nie żartem żąda panów w chacie swojéj przyjmować.

Wesele to odbyć się miało w parę tygodni po żniwach, około Matki Bozkiéj Zielnéj. Fabian przed tygodniem na oględziny domu i gospodarstwa konkurenta jeździł i wszystko dobrze znalazł; nie zupełnie dobrze, bo w chacie gromada spora, matka, dwóch braci, siostra, ale za to ziemi u nich morgów z piętnaście, inwentarz piękny, bo aż dwadzieścia sztuk bydła, i familia bardzo porządna: matka Giecołdówna z domu, jeden z braci ekonomem u panów różnych służył, a teraz żeni się z Zaniewszczanką, aż tysiąc rubli posagu bierze i zaraz folwark jaki w dzierżawę weźmie.

— A pan młody? — zapytała Justyna.

Dziéwczęta zachychotały.

— Taki młodzieńki...— szepnęła Elżusia i rozrzewnienie napełniło jéj małe, błyszczące oczka.

— Może więcéj nie ma nad dwadzieścia jeden rok, a w sołdaty nie pójdzie, bo dwóch starszych braci już w wojsku służyło, — rozgadała się Antolka. — Ładnieńki sobie, tylko że bardzo maleńki...

— A tybyś chciała, żeby na świecie same takie Herody byli, jak twój Michał, — ujęła się Elżusia; — niech będzie sobie maleńki, ale milusieńki...

Znowu rozrzewniła się, aż łzy jéj w oczach stanęły, lecz zaraz potém opowiadać zaczęła, że ociec jéj sześćset rubli posagu przyrzeka, ale od razu dać mu nie może, bo pieniędzy nie ma. Więc połowę da gotówką, a na drugą połowę *weksele* wyda. Już to z familią narzeczonego umówione.

— Ale wesele to już huczne sprawi, taki ambicyant! — wykrzyknęła Antolka.

Wyprawę śliczną dostanie. Pościeli i bielizny cały kufer złożyła dla niéj matka, a ociec, jak do miasta jeździł, przywiózł jéj kaszmiru na suknię, prawdziwego czarnego kaszmiru, a to już jest najpiękniejsza suknia, jaka na świecie być może. I drugą jeszcze miéć będzie, morderowego koloru, ale tańszą...

O strojach mówić zaczęły. Justyna dopytywała się o cenę sukień, które na sobie miały, kto je szył, czy w święta je tylko noszą, albo czasem i na codzień. Teraz już obie rozgadały się, jak czeczotki. Suknie im krawiec szyje, żydek w miasteczku; mają takich po jednéj, po dwie najwięcéj, i noszą je tylko w święta. Na codzień, nie używają innych, tylko tych, które tką same, a która więcéj i ładniéj utcze, téj sława i honor. Żadna dziéwczyna w okolicy, tyle strojów nie ma, co Domuntówna. Bransolety nawet ma, „złotne“ kolczyki i pierścionki, bo i bogata jest, sukcesorką całego dziadowskiego gospodarstwa będąc, i Jankowi nadmiar przypodobać się pragnie. Ale

Janek wcale na jéj suknie z ogonami i złotne ozdoby nie patrzy; nawet mniéj upodobania w niéj znajduje, odkąd niemi popisywać się zaczęła. Raz, jak na *hurbie* (tak się u nich zebranie z tańcami nazywa) w broszce i kolczykach przyszła, a bransoletami tańcząc dzwoniła, cygańskim koniem ją nazwał. Dla téj przyczyny tak ją nazwał, że Cygani zawsze swojego konia we wszelakie błyskotki i dzwonki ubiérają.

Przy tém opowiadaniu aż zanosiły się obie od śmiéchu. Justyna śmiała się także.

Kiedy Jan, zdjąwszy z siebie przemokłą odzież, w kurcie z domowego sukna, z wywiniętym na nię kołnierzem białéj i cienkiéj koszuli wszedł do kuchenki, gwarno w niéj było i wesoło. Antolka przed chwilą do bokówki była wbiegła i wyniosła z niéj tak wielki pęk tkanin, że aż uginała się pod jego ciężarem. Rzuciła go na stół, i teraz wszystkie trzy oglądały te wyroby jéj rąk: suknie, dywany, kołdry mieniące się najróżnorodniejszemi barwami i wzorami, pasiaste, kraciaste, nakrapiane, z czystéj i z lnem pomieszanéj wełny.

Jan siostry o matkę zapytał: powiedziała mu, że do Starzyn poszła do męża, a jutro raniutko powróci jeszcze na dni kilka, aby im żąć pomagać. W Starzynach grunta nizkie, więc żniwa późniejsze, dla tego może ona przy żniwach dzieciom pomagać, a potém do swoich w porę dosko-

czyć. Dwie mile ujdzie dziś w jednę stronę, a dwie jutro z powrotem, i z sierpem na polu stanie, jakby nie pięćdziesiąt, ale dwadzieścia lat miała.

— Chwała Bogu za taką starość — zauważył Jan,—a z téj racyi jest ona taką, że matka zawsze wesołą była, i żadnych „aprensyj“ do serca nie dopuszczała. Ale nie każdy z takim charakterem urodzić się może...

Drzwiczki od przeciwka, w kącie kuchni umieszczone, a tak wązkie, że prawie ich widać nie było, otworzyły się po cichu, i ozwał się z za nich głos Anzelma:

— Czy mi się tylko tak wydało, czy doprawdy głos panny Justyny usłyszałem?

Justyna żywo ku drzwiczkom podbiegła.

— Przez próg nie witam! Przez próg nie witam! bo niezgoda jaka mogłaby z tego pomiędzy nami wyniknąć... a ja sobie niezgody z panią nie życzę... nie życzę! z rzadką u niego żywością i żartobliwością zawołał gospodarz domu, i w kapocie, z za któréj grubego kołniérza widać było koszulę, u szyi tasiemką związaną, wysoki próg przestąpił.

Justyna, w obie dłonie rękę jego wzięła, i chwilę milcząc na niego patrzyła. Więc był to ten sam człowiek, któremu na piaszczystym pagórku Marta niegdyś święcony medalik u szyi zawiesiła, i który potém, z twarzą uczernioną, z potoka-

mi wody ściekającemi z włosów i odzieży... Piérwszy raz zobaczyła go bez czapki. Czoło miał białą i cienką skórą powleczone, wysokie, z mnóztwem zmarszczek, które snopem leżały pomiędzy brwiami i ztamtąd cienkiemi nićmi rozchodziły się po całém czole, aż do przerzedzonych, siwiejących włosów.

Antolka podbiegła i w rękę go pocałowała.

— Jeszcze dziś piérwszy raz stryjka widzę! Dopilnował téj minuty, kiedy po wodę poszłam, i wtedy do kuchni przyszedł, aby sobie kawałek chleba ukroić. Przychodzę do domu, chléb na stole, a drzwi od przeciwka znów „zaszczepione“ wszystko zaś dla tego, żeby nie widziéć się z nikim...

— Taka już mnie czasem oblega zgryźliwość, że i najmilszy staje się niemiłym, — odpowiedział Anzelm, i mocniéj niż zwykle ściskając rękę Justyny, uważnie, prawie badawczo na nię patrzył.

— Żęła podobno wczoraj na naszém pólku? Dziś na Mogiłę z Jankiem jeździła? a? — uważnego wzroku z niéj nie spuszczając, przemówił. — Nowiny, prawdziwe no...no...no...winy! — jąkając się dodał jeszcze, i uśmiéch przyjazny, prawie radosny otworzył mu usta i rozszedł się po całéj twarzy, aż na wysokie czoło, którego zmarszczki wyciągnęły się jak ukośne promienie. — Proszę, do świetlicy proszę! Kto widział gościa w kuchni

przyjmować? Chata nasza nizka, ale nie ciasna, nie ciasna!

Jedną ręką poły kapoty u piersi przytrzymując, drugą na drzwi ukazywał i parę razy jeszcze powtórzył:

— Proszę! proszę do świetlicy!

W kuchni znajdowało się troje drzwi, z których jedne, zwykłych rozmiarów, otwiérały się do sieni, a dwoje innych, wąziutkich i nizkich prowadziło do przeciwka i do bokówki. Justyna, zawahała się, niepewna w którą stronę iść jéj wypada; stary to spostrzegł, ramię jéj podał, i przez sień do świetlicy prowadził. Niegdyś, niegdyś, widywał w korczyńskim dworze w ten sposób prowadzące się pary, i sam od obiadów, od wieczerzy wstając, podawał ramię wysokiéj, czarnookiéj, wesołéj pannie.

Świetlica była izbą nizką, lecz bardzo obszérną, bo więcéj niż połowę całego domku zajmującą, z trzema sporemi oknami, z których dwa były otwarte, ze ścianami gładko otynkowanemi, z podłogą ułożoną z prostych sosnowych, lecz gładko wyheblowanych i czystych aż do białości desek. U nizkiego sufitu, grube, wapnem pobielone belki, krzyżując się z cienkiemi deskami, tworzyły szeregi ciemnych próżni; całą prawie długość jednéj ze ścian zajmował piec, do sufitu prawie wysoki, z białych kafli zbudowany, a u dołu mający rząd małych sklepień, z których w zimowe

wieczory rozlegać się musiały na całą izbę ćwiérkania świérszczy. W kącie, samotna, rozłożysta, ogromna, sto lat może mająca stała kanapa z olchowego drzewa, na czerwono pomalowana i kraciastą, domowego wyrobu tkaniną obita. Naprzeciw znajdowało się łóżko z sosnowych, białych desek zbite i dostatnią pościelą wysoko, wysoko usłane. Między oknami, komodę olchową, na czerwono pomalowaną, zdobiła szkatułka z czeczotkowego drzewa, z ukośnie stojącém lusterkiem, nieduży czarny krucyfiks, wiankiem z żółtego rozchodniku okręcony, i mała lampa, z grzybiastym szklanym kloszem. Zresztą, pod ścianami, stały wysokie, zielone albo w kwiaty malowane skrzynie, o bombiastych, żelazem okutych wiérzchach, zydle z białych desek, przed niemi olchowe, czerwone stoły i kilka krzeseł, domowéj widać roboty i niedawno sporządzonych, bo niepomalowanych, z drewnianemi siedzeniami i tylnemi poręczami, z giętkiéj może grabiny, czy klonu w wysokie łuki powyginanemi.

Przez drzwi za olbrzymim piecem otwarte ukazywała się bokówka, mała, podługowata izdebka, z jedném znowu wysoko usłaném łóżkiem. Antolka tam sypiać musiała, bo wśród mnóztwa świętych obrazków, które nad łóżkiem ścianę okrywały, największemi rozmiarami i najjaskrawszemi barwami jaśniał obraz jéj patrona, w wianki, na Boże Ciało poświęcone, w palmy przed-

wielkanocne, w pęki suchych nieśmiertelników i świéżych nogietek ubrany. Przez otwarte okna zapachy kwiatów i ziół, wnikając z ogrodu, napełniały po brzegi całą świetlicę, a wtłaczające się przez nie gałęzie staréj gruszy, ocieniały ją zieloną, ruchomą firanką.

Anzelm do jednego ze stołów Justynę prowadził.

— Na krześle sieść proszę... wygodniéj będzie niż na ławie... proszę na krześle usieść...

I z żywością ruchów, któréjby nikt po nim spodziéwać się nie mógł, zgrabnie, dwornie, krzesło dla niéj niósł ku stołowi. Elżusia, która za całém towarzystwem wysoki próg świetlicy, jak pulchna kluska przeskoczyła, śmiéchem teraz na gospodarza domu patrząc, parsknęła.

— Już chyba skończenie świata nastąpi, kiedy pan Anzelm tak się rozruszał! — zawołała. — Takim „alegantem“ okazuje się jakby nigdy tetrykiem nie był!

— Ot i z głupia odezwała się! — żartobliwie odparł Anzelm;—bo gdyby mądra była, toby wiedziała, że kto niedźwiedzia przemoże, za nos go wodzić może. Widać, że mnie panna Justyna tak przemogła.

Potém sam siadając na zydlu, do Antolki zawołał, aby gościa wieczerzą poczęstowała.

— Sam téż—dodał— od wczorajszego wieczora tylko kawałek chléba przełknąłem, a i Janko-

wi po téj kąpieli, którą na Niemnie dziś wziął, głodno być musi.

Wczoraj jeszcze dowiedział się od synowca, że na Mogiłę z Justyną popłynie, a teraz dwojga młodych zapytywał, jak w czasie burzy wydobyli się z kłopotu, czy bardzo zmokli, ile czasu w borze spędzili? Opowiadał, że kilka razy spotkał się na mogile z panią Andrzejową, która to miejsce odwiédza czasem, ale bardzo rzadko i niby przypadkiem. Wielką panią jest i wszystkie oczy na siebie ma obrócone, to i trudniéj jéj takich wypraw dokonywać, niż naprzykład jemu, który przez nikogo nie postrzegany może sobie często pomodlić się i podumać tam, gdzie brat jego wiecznym snem odpoczywa. Dwóch ich tylko było i siostra, która do zaniewickiéj okolicy za mąż poszła, zkąd téż i matka ich pochodziła; a Jana matka znów Siemiaszczanka z Siemaszek, tak jéj zaś wypadło, że aż w cztérech okolicach życie swoje pędziła: najpiérwéj w ojczystéj, czyli w Siemaszkach, potém w Bohatyrowiczach, gdy za Jerzego wyszła, potém za drugim mężem w Jaśmontach, a na ostatku, za trzecim, w Starzynach.

— Niewiadomo, czy to już ostatni mąż i ostatnie jéj osiedlenie, — żartobliwie zauważył.— Bo mnie się zdaje, że gdyby dziś owdowiała, toby za rok poniosła się jeszcze za czwartego!

Justyna zapytywała go o rozległość i ludność

„okolic,“ których nazwy wymienił. Odpowiadał jéj chętnie i obszérnie; o szczegóły zaś, których nie wiedział, bo przez wiele lat nigdzie nie jeździł, do Jana się odzywał.

— Wszystkich ich pani po troszku na weselu Elżusi zobaczy—rzekł Jan;—bo Fabian pełno ma wszędzie krewnych i znajomych, a zechce pewnie, aby o weselu córki jego cały świat gadał.

Tymczasem Antolka i Elżusia stół szmatą płótna starły, i w przeciągu pół godziny zastawiły go wszystkiém zapewne, na co w téj chwili zdobyć się mogła chata Anzelma i Jana. Dokoła wielkiego bochna chléba zjawiła się misa kwaśnego mléka, w połowie z różową śmietaną zmieszanego; potém druga, z położonym na niéj plastrem miodu, razem z drewnianą ramką tylko co wyjętego z ula; dwa séry, z których jeden przywiędły, a drugi świéży i żółte masło na spodku; nakoniec przez zaczerwienioną od ognia Elżusię przyniesiona patelnia, z dymiącą jajecznicą.

— Już jak ja jajecznicę zrobię—zawołała wesoła dziéwczyna, — to bardzo słusznie! sam ociec czasem pochwali, choć jemu dogodzić tak prawie trudno, jak przez ten dom przeskoczyć...

— Ja myślę, że Elżusia kiedykolwiek i przez dom przeskoczyć potrafi, taki z Elżusi kozak, — zażartował Jan, ale na miód spojrzawszy, brwi ściągnął.

— A kto do ula chodził?— z gniéwem zapytał.

— A któżby, jeżeli nie Antolka? Tylkoż siestra i mogła tak śmiele postąpić, — odsarknęła córka Fabiana.

— A raz na zawsze tego jéj wzbroniłem!— zawołał Jan, i po brzegi włosów zarumieniony, ręką w stół uderzył. — Nieświadomy wszystko zepsuć może, a ona kiedy nie uczyła się, jak z pszczołami postępować, to niech nosa w nie swoje nie tyka!

Wstawał już, aby do siostry z wymówkami iść, ale z bokówki, cicha i zalękniona, wysunęła się dziéwczyna, z ustami skrzywionemi, ręką policzek przyciskając.

— A co? ukąsiła? — zawołał Jan.

— Żeby ją cholera...— ze łzami, kręcącemi się w oczach, jęknęła Antolka.

Jan trochę jeszcze nasępiony nic już siostrze nie powiedział, a Anzelm zażartował znowu:

— Nie dbaj, że pszczoła kąsa, byleś miodu dostał! Co tam, że troszkę boli? nim za mąż wyjdziesz — przestanie!

Kiedy chléb w ręku podniósł i kroić go zaczął, na spodzie bochna ukazały się wyraźnie odbicia suchych dębowych liści, któremi gospodynie, wkładane do pieca pieczywo, od zetknięcia się z gliną i popiołem zabezpieczają.

Na zydlu i krzesłach, wszyscy dokoła podługowatego stołu zasiedli, nabiérając sobie na gliniane talerze jajecznicy i kwaśnego mléka. Przez

parę minut nikt nic nie mówił. Anzelm, Jan i dwie dziéwczyny jedli w sposób dość szczególny. Z grubo pokrajanych porcyj chleba, małe kąski odłamywali i dwoma palcami do ust je nieśli. Drewniane łyżki trzymali w palcach, zgrabnie, delikatnie i zawartą w nich żywność powoli w usta wkładali, powoli też i cicho ją przeżuwając, poczém łyżki na stołach kładli i po kilku sekundach dopiéro, lub po minucie, znowu delikatnie je ujmowali i powoli do ust nieśli. W tym szczególnym, przesadnie powolnym i delikatnym sposobie jedzenia, widać było od dzieciństwa nabiéraną, albo i z krwią dziedziczoną obawę przed okazaniem grubiaństwa i żarłoczności. Anzelm przemówił piérwszy. Spojrzał na Justynę i jakby sobie coś nagle przypominając, zapytał:

— A możeby pani herbaty wypiła? My ją rzadko kiedy pijemy, ale zaraz można zrobić...

W bokówce, na olchowéj, czerwonéj szafie stał niewielki blaszany samowar, i Antolka już się z krzesła zrywała, aby biédz go nastawiać. Ale właśnie w chwili, w któréj Anzelm pytanie swoje uczynił, Jan, położywszy łyżkę na stole, ręce na kolana opuścił i z uśmiéchem głębokiego zadowolenia patrzył na Justynę, która w porcyi ciemnego chleba, złotawym miodem posmarowanego, ze smakiem zęby zatapiając, także na niego patrzyła. Oboje mieli uśmiéchy w oczach, i pytanie

Anzelma usłyszeli dopiéro wtedy, gdy je powtórzył.

— Zdaje się — powoli zauważył Jan,—że apetytu po spacerze nie braknie, i może obejdzie się bez herbaty...

— Obejdzie się z pewnością! — zaśmiała się Justyna.

— A ja teraz już na siestrę i nie gniéwam się, że sama do ula po miód poszła.

Zaśmiał się tak, jak śmieją się szczęśliwi, bez widocznéj przyczyny, głośno, serdecznie, z głową w tył odrzuconą, i bez widocznéj także przyczyny, siedzącą obok Antolkę po włosach pogładził. Poczém łyżkę ze stołu delikatnie ujął i mléka nią zaczerpnąwszy, powoli do ust poniósł. Rękę miał dużą, w skórę ciemną i grubą obleczoną, bardzo czystą, o szérokiéj dłoni i długich, cienkich palcach.

Dnia tego pan Anzelm był niepospolicie ożywiony, mowny, i każde ciekawe oko długo zatrzymywaćby się mogło na tym ociężałym, schorzałym, piętnem wielkich boleści przyobleczonym człowieku, kiedy dziś, pobudzany jemu tylko znanemi uczuciami, dworną uprzejmość i przyjacielską gościnność okazywał, rozmowę z gościem podtrzymać usiłując. Zobaczywszy na ręku Justyny czerwoną pręgę, zapytał, czy pochodzi ona od sierpa?—a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź,

długo dziwnie migocącemi oczyma na nię popatrzył.

— Ciężka praca! a? chociaż to wszystko od uzwyczajenia zależy. Nie wiém ja tylko, i wątpliwość mam co do tego, czy osoba tak pięknie na fortepianie grająca, do takich grubych robót uzwyczaić się może.

Opowiedział, że nieraz idąc wybrzeżem rzéki, albo przeprawiając się na jéj drugą stronę, słyszał ją wspólnie z ojcem grającą.

— Słodka muzyka — uśmiéchnął się, — uszy głaszcze i serce przenika. To jest prawda; ale druga znów prawda, że tak prawie po całych dniach w instrument stukać, to może i nie mniejsza fatyga, niż pléć, albo żąć...

Na podwórku rozległo się ryczenie krów; dziéwczęta zerwały się z siedzeń i pośpiesznie naczynia ze stołu sprzątać zaczęły; potém Elżusia nie ukazała się już więcéj, a Antolkę widać było z „dojnicą“ (skopkiem) w ręku, prędko przez sień na dziedziniec wybiégającą. Słońce zaszło już było od pół godziny; świetlicę napełnił szarawy zmrok. Jan małą lampę na komodzie zapalił i stryjowi oznajmił, że idzie najrzéć, czy parobek dobrze w nieobecności jego bydła i koni dopatrzył. Anzelm i Justyna zostali we dwoje.

Niespodzianie dla Anzelma i może dla saméj siebie, Justyna z krzesła swego zsunęła się na

zydel, i ku staremu pochylona, ustami do ramienia jego przylgnęła.

Nie zdziwił się bardzo, tylko zrazu, jakby przelękniony, w tył nieco uchylić się i kapotą otulić się spróbował.

— Nowina! — wyszeptał, — no...no...wina!

Ale ona z czoła i ramion wilgotne jeszcze włosy swe odgarniając i z wyrazem pieszczoty oczy ku niemu wznosząc, z cicha mówiła:

— Wiém stryjku, wszystko, wszystko wiém...

— A zkąd? Kto mówił? Pewno już Janek językiem nasiekł... Nic ja w tém złego nie widzę, bo jeżeli pani jest tak łaskawa, że z nim w przyjaźni chce pozostawać, to i nie powinien miéć żadnych przed panią skrytości.

Potrząsł głową.

— Ale żeby ktokolwiek, choćby i on, wszystko to widziéć i przeniknąć mógł, o tém wątpię... Głęboko trzeba kopać, żeby wodę znaleźć, a tém bardziéj człowieka, żebyś nie wiedziéć ile lat z nim przebywał, jeszcze wszystkich skrytości jego nie rozpoznasz...

Ze wzrokiem kędyś daleko, za otwarte okno puszczonym, mówił daléj:

— Wszelako zdarza się na świecie. U Boga i mucha, kiedy każe, żołniérzem być musi. Mały ja człowiek jestem, ale na wielkie rzeczy w młodości swojéj patrzyłem, i w nich maleńki udziałek wziąłem, a z tego i całe późniejsze życie moje

wyciekło. Korczyn! oj! i domyślić się teraz nie można, jakie tam wtenczas rozlegały się mowy i postępki... Zdaje się, że wszystko, co ludziom Pan Bóg dał dobrego, poruszyło się wtenczas i zagadało. Brat obejmował brata, nie zważając na to, czy bogatego, albo ubogiego obejmuje, rozumni głupim drogi pokazywali... Nas do tego festynu nie tylko dopuszczono, ale i zapraszano, żądając, abyśmy życie narażali, ale tym, co go nie utracą, takie rzeczy pokazując, że aby je dostać, każdy chętliwie głowę pod niebezpieczeństwa podstawiał... Wielebym ja mógł w téj materyi mówić i opowiadać, ale...

Długo wstrząsał głową, patrząc na parę gwiazd, przez gałęzie sapieżanki przebłyskujących.

— Senne widowiska... czasowe mary...

Justyna, blizko do niego przysunięta, z jedną ręką, pieszczotliwym ruchem na jego ramieniu złożoną, a na drugiéj twarz swą wspiérając, w milczeniu słuchała mowy jego powolnéj, częstemi milczeniami przerywanéj, w części tylko zwróconéj ku niéj, a daleko więcéj do snutych półgłosem bolesnych myśli i wspomnień podobnéj.

— W książce jednéj wyczytałem: „Jak muchy padną w boju syny ludzkie...“ Taka to już być musi kondycya nasza, ale serce człowieka podczas za słabe bywa, żeby ją cierpliwie i pokornie przenieść. Widać zamało cierpliwy i pokorny byłem, bo kiedy już te rzeczy obróciły się na złą

stronę i zaćma nieprzenikniona świat ogarnęła, zacząłem doświadczać nieścierpliwego żalu i gniéwu, sam nie wiedząc nawet przeciw czemu i przeciw komu ten gniéw obrócić. Odżałować tego, co przeminęło, nie mogłem, ani téż przywyknąć znów do zwyczajnego życia, od którego jakby na skrzydłach mnie odniosło. Co dawniéj miłe było, obrzydło; co bawiło i radowało, wydało się samą marnością. Pójdę bywało z pługiem w pole i tylko wspominam, co w tamtych „złotnych“ domach widziałem i słyszałem, twarze różne, postępki, sprzéczki i zdania wspominam, i z pamięci swojéj umyślnie je wybiéram, podobnie jak skąpiec dukaty ze skrzyni wybiéra, oglądając je i lubując się niemi. Tak czasem pośród mgły wiosennéj i pół dnia na polu przy pługu przestoję, zapominając o robocie, do któréj wprzódy byłem chętliwy i zdatny. Albo zimową porą, do wesołéj jakiéj świetlicy bywało wejdę i patrzę, jak ludzie rychło o wszystkiém zapominający, śpiéwają, weselą się, tańczą. „Czy oni powaryowali?“— myślę sobie, słupem niemym i nieruchliwym w kącie stojąc, — a im więcéj oni weselą się, tém widoczniéj staje mi przed oczyma ta polana leśna, z tym swoim smętnym pagórkiem i śniegiem, co na nię, w ciemności nocnéj, białemi płatami pada. Co nowy taniec zagrają, to ja zaszepcę: „Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie!“ Co nową pieśnię kto zawiedzie, to ja znów: „Wieczne od-

poczywanie!“ Co głośniejszym śmiéchem kto wybuchnie, w mojéj głowie rozlega się: „Wieczne odpoczywanie!“ Na weselnych ręką machnę i do chaty pod śniegiem padającym idę, a w chacie... Chryste!... miejsce po bracie jedynym już i zastygło, żonka jego już po drugich weselnych godach, tylko siérotka mały mnie spotyka i tuli się do opiekuna jedynego, który mu na tym świecie pozostał...

We drzwiach bokówki ozwał się szelest; Jan stał na progu, plecami o drzwi oparty, z ramionami na piersi skrzyżowanemi. W cieniu postać jego rysowała się w liniach prostych i wyniosłych. Cała świetlica pogrążona była w cieniu, bo mała lampa, na olchowéj komodzie stojąca, słabe rzucała światło i tylko wązki jéj promień spływał na ciemną kapotę Anzelma i na połyskliwe, rozpuszczone włosy Justyny. Po długiém milczeniu, Anzelm półgłosem i powoli znów mówić zaczął:

— Każdemu jednakże stworzeniu dany jest zmysł ratowania się i od ostatniéj zguby ubiegania. Tak i ja w jedném miejscu ratunek dla siebie postrzegając, do niego się udałem. Nie miałem wtenczas więcéj nad lat trzydzieści; nie dziwno tedy, że kochanie tyle prawie dla mnie znaczyło, co życie i szczęście. Widać, że przeznaczoném było, aby wszystkie miody i trucizny z Korczyna na mnie ściekły, bo tam mnie obja-

wiły się te widowiska senne, po których pocieszyć się nie mogłem, i tam też gwiazda kochania mego świéciła. Może niejeden powié, że nadzieję nierozsądną miałem i że za wysoko odważyłem się spojrzéć, ale ja tak nie myślę. Wszak już mało nie dwa tysiące lat temu, Pan Jezus równość po świecie ogłaszał i dużo o niéj gadania w tym samym Korczynie słyszałem. Choć ta panna do pańskiéj familii należała, ale ja téż od niewolników rodu swego nie wiodę, a choć ubogi, żonie i dzieciom kawałek chleba dać mogłem, nie gorszy może od tego, który w te czasy niektórzy panowie jadać zaczynali, a może i spokojniejszy, pewniejszy. Do tego, choć z pańskiéj familii ona pochodziła, niewielka z niéj była pani... niewielka! Cudze suknie na grzbiecie nosiła, wszystkiego od łaski krewnych wyglądała. Czemużby jéj, zdaje się, własnego domu, choć nizkiego, i własnéj woli, przy mężu kochanym i kochającym, nie chciéć? Wzajemność zaś, wiedziałem, że mam... wiedziałem. Nie na ślepego przecież patrzyła ona swemi cudnemi oczyma, i nie głuchemu takie rzeczy nie jeden raz mówiła, które o wzajemności upewniają. Nie chciała. Nie można nawet powiedziéć, aby jéj familia wielkie przeszkody stawiła. Wiém, że były tam ze strony krewnych perswazye i pośmiéwiska, ale od ołtarza niktby gwałtem jéj nie odciągał. Sama nie chciała. I widziéć się ze mną nie chciała, aż ją raz w ogrodzie

dopilnowałem, i za rękę chwyciwszy, o przyczyny tego dekretu, który na mnie wydawała, zapytałem. Powiedziała przyczyny takie, że tylko na nie plunąć było warto. Perswadowac chciałem i przekonywać, ale wyrwała mi się i uciekła. Z płaczem odemnie uciekła. I sama desperowała, a jednakowoż nie chciała... nie chciała...

Od téj pory, zaczął się najgorszy czas jego życia. Tylko co był świadkiem przeraźliwéj zawodności wielkich walk i nadziei, teraz poznał zmienność kobiécego serca. Wszystko wydało mu się niepewném, nietrwałém, marném.

— Taka mnie ogarnęła zwątpiałość, że wszystko, na co tylko spojrzałem, okazywało mi się w postaci znikoméj mary. Dziś jest, myślałem sobie, a jutro rozwieje się i zniknie. Posłyszałem raz jak ksiądz w kościele mówił: „Z ziemiśmy poszli i w ziemię przemienić się mamy,“—i te słowa nigdy już z głowy mojéj nie wychodziły. Gorzéj od wszystkiego zwątpiałość ta mnie gniotła, bo żadnéj już chęci i żadnego zamiaru do serca nie dopuszczała. Kiedy jeszcze cokolwiek robiłem, to tylko o tym biédnym siérotce myśląc, żeby przy mnie z głodu nie zdechł; a dla siebie, tobym już i palcem nie kiwnął, bo ciągle mnie na myśli stało: „Na co? dla jakiéj przyczyny o tę marność i doczesność dbać?“ Przed Bogiem się upokarzałem, ale już tylko o zlitowanie dla nieśmiertelnéj duszy swéj prosząc; o to zaś, co mnie

w tém życiu spotka, bynajmniéj nie dbałem, pewien będąc, że wszystko na zawsze utraciłem, a gdybym znów nabył, zarazbym znów utracił... Jednak, zbyt młodym był może i zbyt proste, zdrowe życie dotąd prowadził, aby w tém zwątpieniu o trwałości i wartości rzeczy ziemskich zastygnąć mógł i zmartwiéć. Owszem, tęsknota ku lepszym dniom i żal po ukochanéj kobiécie, dręczyły go ciągle.

— Nie zaskórną, ale głęboko w sercu zasadzoną tęskliwość i boleść czułem. Gdyby człowiek mógł łzami do grobu ściec, jużbym wtenczas ściekł pewno. Samego siebie lękać się zacząłem, myśląc, że zwaryuję, albo nieprzyrodzoną śmiercią zginę; bo mi téż już gałęzie drzew i głębokości Niemna po głowie chodziły. Wstyd mię zdejmował, że mocy nijakiéj nad sobą miéć nie mogłem, i Pana Boga na pomoc przyzywałem, i niedobrowolnie łzy ciekły mi z oczu. Czasami dźwignę się już z myśli ponurych i samego siebie nauczam: „Siły do kupy ściśnij, na biédę oczy zmruż i rzuć ją pod nogi, a pocieszenia sobie jakiego szukaj, ażeby woli bozkiéj nie sprzeciwiać się i marnie nie ginąć.“ Zdaje się, że już i wyperswaduję sobie, desperacyą odpędzę i dzień, drugi, jak wszyscy ludzie przeżyję. Nie, do życia ochota nie bierze, i choć tak pracuję, że aż cały obléwam się potem, najmniejszym czasem o miłych nadziejach utraconych i o marności

wszystkiego myślę. Raz już nawet zaswatałem się do panny jednéj i sam pojechałem do niéj. Jadąc myślałem: „Ożenię się i kwita! Chatę zaludnię, rozweselę się i odżyję.“ Ale kiedym przyjechał i na pannę spojrzał: nie! Szpetna ona nie była, ani głupia, i to mi téż tajném nie było, że miłém okiem na mnie patrzyła. Nie i nie! Tamta przed oczyma stoi, a przytém, do czego inszego już uzwyczajony, co inszego poznawszy i pojąwszy, ani w jéj mowie, ani w obchodzeniu się, ani w zamiarach, które objawiała, smaku żadnego znaleźć nie mogłem. „Dużałem się“ tak z samym sobą, jak pływacz z wodą lat może ze trzy, a smętek zdrowia ubierał i czarne myśli siłę zjadały, aż bezsilny i z jakiemiś dziwnemi, przechodzącemi i znów powracającemi boleściami, na łoże padłem, dziewięć lat potém przez tę chorobę gnieciony, któréj doktorowie rady dać nie mogli i hypochondryą ją nazywali...

Znaczenia nazwy choroby nie rozumiał, ale wytłumaczył mu ją jeden z lekarzy, powiadając, że niemoc to jest więcéj duszna, niżeli cielesna, i że ją téż duszne lekarstwa więcéj niżeli cielesne ukrócić mogą. Zapewne tém duszném lekarstwem była wielka chęć dopomożenia synowcowi w dźwignięciu się z ruiny i biédy, a także pociecha, którą mu sprawiał widok dorastającego siéroty po bracie. Dziéwczynka téż, którą Jan naparł się wziąć od matki, mileńka była, weseleń-

ka i zawczasu już porządek w chacie robić zaczęła, a i bratowa, choć płocha i w romansach niepowściągniona, dzieci swoje często nawiédzała i jego doglądała, wesołą swoją gadatliwością babską śmiésząc czasem i rozrywając.

— U Boga i ubity, kiedy każe, drugi raz ożyć może. I ja téż wskrzesłem, choć niezupełnie... niezupełnie. Mnie zdaje się, że u ludzi wiele czujących i raz nadmiar zasmęconych, nie tylko na ciele, ale i na duszy robią się takie marszczki, które już nigdy całkiem nie znikną. Tak i ja, do téj pory nie mogę już ze wszystkiém do zwyczajnego życia powrócić. Ruchliwości wszelakiéj, hałasów, tłumliwych gadań ubiegam, bo śród nich prawie bezprzytomnym się staję. Każdéj nieznajoméj twarzy ludzkiéj najpiérw zlęknę się zawsze, nim pokonawszy siebie przybliżyć się do niéj zdołam. Podczas i boleści mnie napadają: cielesne i duszne. Od zaziębienia, by najmniejszego, w głowie łamania i bolu doświadczam, a kiedy w starych przypomnieniach i zgryzotach pomimowoli utopię się pamięcią, dwa i trzy dni jak martwy leżę, niczyjego widoku znieść nie mogąc, i samego siebie prawie nie czując. Ale oto wszystko bynajmniéj. Nie duże to dolegliwości i cierpliwie je przenieść można, spokojność i niejednę przyczynę do uciechy mając...

Cieszyło go teraz wiele rzeczy: domek, na miejscu starego i prawie już walącego się zbudo-

wany; sad, który własnemi rękoma założył; pszczelnik, który Jan umiejętnie pielęgnował i powiększał; dorodny i szanujący go chłopak; łagodna i gospodarna dziéwczyna; dobrze przez oboje prowadzone gospodarstwo; zresztą, słońce jasne, kwiaty pachnące, jaskółki gnieżdżące się pod okapem, cichość i spokojność, panujące w zagrodzie, w téj saméj zagrodzie, w któréj żyły dziady i pradziady jego, a on sam urodził się, wyrósł i postarzał, więc nie tylko każdy kącik i każde drzewko, ale każdą jéj trawkę i prawie każde ziarnko piasku znał, prawie w przyjaźni i poufałości z niemi żyjąc.

— Te wiatry okrutne, które mnie drogę życia zabiegły, przeszumiały, przeleciały i daleko już odemnie. Więcéj ja teraz dobrych godzin przepędzam, niżeli złych, i o to już tylko ubijam się przed Bogiem, aby Jankowi szczęśliwą dolę zesłał. Nic téż nigdy przeciw jego sercu i żądaniu nie uczynię, a choćbym sam kiedy cokolwiek inszego myślał i żądał, jego myślom i żądaniom wpoprzek nie stanę, owszem dopomódz w nich postaram się z całéj siły i możności. Nie wróg ja jemu, aby mu w czém przeszkody stawić, lub go do czego przymuszać, ale przyrodzony zastępca ojca i jak ociec, niczego, oprócz tylko jego dobra i szczęścia, żądający...

Jan szerokim krokiem przeszedł izbę, pochylił się i stryja w rękę pocałował. Potém, wstrzą-

śnieniem głowy odrzucił z czoła opadłą na nie gęstwinę jasnych włosów.

— Bardzo już państwo zasmęcili się oboje; stryjowi to niezdrowo, a u panny Justyny nawet łezki w oczach widzę. Co tam tak długo rozwodzić się nad staremi czasami!

Słów tych jeszcze nie domówił, gdy pod oknami dał się słyszéć szelest kroków i wyrazy, dość donośnym, ale dygocącym głosem wymawiane:

— Ho, ho! znajdę ja go! znajdę bałamutnika tego, zwodziciela, złoczyńcę! Znajdę i ubiję!... tak mi Boże dopomóż, że jak psa ubiję!

Drzwi świetlicy otworzyły się széroko, i naprzód wszedł przez nie trzęsący się staruszek, z kijem w ręku, z twarzą, która ceglastą różowością odbijała od śnieżnéj białości włosów i kapoty. Trochę tylko za nim, ramieniem go podtrzymując, ukazała się wysoka, barczysta dziéwczyna, dość szczególnie wyglądająca. Na piérwszy rzut oka trudno byłoby poznać w niéj tę Jadwiśkę Domuntównę, która bosa i rozczochrana, w ogromnym fartuchu niosła przez pole zielsko dla krów, a w porze żniw żęła aż do skąpania się w strugach potu i snopy do gumna zwożąc, z męzką siłą i zręcznością kierowała parą koni. Teraz, miała na sobie suknię z wełnianéj materyi tak jaskrawo szafirowéj, że patrząc na nię, oczy aż mrużyć się musiały, z obcisłym stanikiem i bardzo długim ogonem, który ciągnął się za nią we

flakowatych, niezgrabnych, od rosy i pyłu zabłoconych zwojach. Na głowie jéj piętrzyła się koafiura, od sukni jeszcze niezwyklejsza, wysoka, kołysząca się, pomadą nasiąkła, jaskrawemi wstążkami i błyszczącemi szpilkami upstrzona. Błyszcząca, bardzo licha brosza ozdabiała jéj stanik, liche także, ale błyszczące kolczyki i bransolety kołysały się u jéj uszu i brzęczały u rąk wielkich, czerwonych. Potężna jéj kibić, która wśród pola i w stroju pracownicy wiejskiéj, przypominała poetyczną i w sile swéj dobroczynną Cererę, która na drabiniastym wozie ciągniętym przez rzeźkie konie do pamięci przywoływała klasyczne atletki, w tym stroju zbyt ciasnym i zbyt długim, wydawała się spętaną i niezgrabną. Twarz jéj pięknie szafirowemi oczyma i kasztanowatemi brwiami przyozdobiona, wśród jaskrawych barw i błyskotek, uderzała grubością rysów i burakową czerwonością cery.

— Dobry wieczór!—zawołała w progu; ale gdy spojrzenie jéj padło na stojącą obok Jana Justynę, zdawać się mogło, że nagle oniemiała.

Stary Jakób za to, uwolniwszy się od ramienia córki, dygocącym krokiem ku gospodarzowi chaty postępował, srożąc się coraz bardziéj.

— Gdzie Pacenko? Niech mnie pan Szymon zaraz powié, gdzie tego krzywdziciela i naigrawcę mojego ukrył?... A jeżeli nie powié, to jak mi Bóg miły, chatę zrewiduję i sam znajdę... A jak

znajdę, to pomstę na nim wywrę, za to, że mi kobiétę na całe życie nieszczęśliwą uczynił, mnie w *gańbie* pogrążył...

— Znowu dziadunia Pacenką nastraszyli? — patrząc na Jadwigę, zapytał Anzelm.

— A jakże! — odzyskując mowę zawołała. — Taki był dziś spokojny, grzeczny, rozumny, jak już lepiéj i nie potrzeba. Zjadł na kolacyą kwaśnego mléka i mówi: „Jadwiśka, pójdziem sobie którego sąsiada odwiédzić.“ Może pana Szymona? — zapytuję, — bo już wiém, że gdyby powiedzieć pana Anzelma, zaraz obruszyłby się i powiedział: „Ja do błaznów nie chodzę.“ On zawsze myśli, że pan Anzelm młodym kawalerem jest, a gospodarzem w chacie nieboszczyk pan Szymon. Poszedł, i pięknie, grzecznie szedł sobie, nawet siłę dobrą mając, bo tylko trochę opiérał się na kiju; aż tu jak wyskoczą chłopcy z za płotu, jak krzykną mu w samo ucho: „Pacenko przyjechał i znów babulkę zabierze!“ Aż zatrząsł się cały, i żeby nie ja, na ziemię padłby... I już nijak jego nie wstrzymać, ani wyperswadować... drze się naprzód, tak, że i zawrócić go do chaty nie zdołałam...

Stary tymczasem, kijem wywijając i groźnie pokrzykując, z kąta do kąta dreptał, we wszystkie pilnie zaglądał, ciemną bokówkę nawet obejrzał i do świetlicy wróciwszy, pod wielką kanapą kijem jakiś czas wodził, aż do pieca przydreptał

i chciał zajrzéć w znajdujące się pod nim małe sklepienia. Ale, usiłując pochylić się do saméj ziemi, równowagę stracił i całym ciężarem wyschłego, kościstego ciała na podłogę runął. Najbliżéj upadającego znajdująca się Justyna, najprędzéj znalazła się przy nim, i pochylona zręcznym ruchem głowę jego podnosiła, gdy rubaszném i wyraźnie rozgniéwaném ramieniem odtrąconą się uczuła.

— Za pozwoleniem, proszę dziadunia mego nie ruszać... ja już sama dam rady... Już co się tycze dziadunia, to on pewno do mnie należy! — prędko i plączącym się ze wzruszenia językiem zagadała Domuntówna.

Jednocześnie, z niepospolitą siłą dziadka z ziemi podniosła, popędliwym gestem usuwając Jana, który chciał przyjść jéj z pomocą.

— Niech pan Jakób uspokoi się, — przemówił Anzelm.—Pacenki niéma; ani tu, ani nigdzie niéma, bo on już dawno z tym światem rozstał się.

— Niéma? — wspiérając się na kiju i jeszcze cały drżący, zapytał starzec; — czy doprawdy niéma? czy słowo honoru?

— Słowo honoru! — uroczyście przemówił Anzelm. — Ot, niechaj pan Jakób spokojnie sobie usiędzie i grzecznie z nami pogada...

W téj saméj chwili Jan do Justyny szepnął:

— Nadmiarbym chciał, aby on przy pani opowiedział jednę historyą, o dwunastym roku... któ-

ra zdarzyła się z jego bratem, kiedy tu Francuzi byli... On dużo ciekawych historyj pamięta...

Anzelm szept synowca może usłyszał, może też wiedział, czém najłatwiéj starca zupełnie już uspokoić można, bo posuwając ku niemu krzesło, przemówił:

— Proszę usieść, bardzo proszę. Ciekawość mnie bierze, czy téż pan Jakób pamięta jeszcze tę historyą, co bratu Franciszku wydarzyła się w dwunastym roku?... A może już o niéj zapomniał!

Na pomarszczoną, ceglasto-różową twarz starca, spłynęła taka sama łuna odradzającéj się i rozczulonéj pamięci, jak wtedy, kiedy mu Anzelm wspominał o grobowcu Jana i Cecylii. Zdawaćby się nawet mogło, że nogi jego nabrały nagle większéj mocy i odżyło całe ciało, bo nie zważając na podawane sobie krzesło, wyprostował się, obie ręce na kiju wsparł, czoło podniósł, ku sufitowi spojrzał.

— A jakże—zaczął,—a jakże! Pamiętam... ho, ho! jakby to wczoraj zdarzyło się... Najstarszy był... pięciu nas było... ja najmłodszy, a Franuś najstarszy... może mnie dziesięć lat było, a jemu dwadzieścia, kiedy pan Dominik Korczyński, pana Stanisława, teraźniejszego dziedzica Korczyna ociec, do legionów go zwerbował, przy Napoleonie obadwaj wojować poszli... Z pana Dominika dobry był kamrat... dobry... ja o tém wiém...

bo prawie we trzydzieści lat potém i sam z nim na wojnę chodziłem... Nad Franiem naszym, starszym będąc, opiekę rozciągał, i przez listy my o jego powodzeniach i promocyach wiedzieli... Aż tu dwunasty rok przyszedł... Francuzi idą! Ociec mówi: „Pewno i Franuś nasz z nimi idzie.“ A matka głową kiwa i odpowiada: „Pewno idzie! Może i do nas zajdzie! Może my jego jeszcze raz przed śmiercią obaczymy!...“ — „Może i obaczymy,“— mówi ociec... Czekali jego, spodziéwali się... Matka najmniejszym czasem w pole na drogę wychodziła, a my, młodsi bracia, tylko co oczu nie powyślepiali, brata oficera wyglądając.

Gdy stary to mówił, Jadwiga nie spuszczała z Justyny oczu, które coraz więcéj zapalały się i roziskrzały. Nie dosłyszała tego, co Jan do niéj przed chwilą szepnął, ale spostrzegła dobrze, że kiedy się nachylił ku niéj, na ustach miał taki uśmiéch, jakiego ona nie widziała u niego nigdy, a ciągle patrzył na jéj rozpuszczone włosy; zdawać się mogło, że poprostu oczu od nich oderwać nie mógł. Justyna zaś słuchała go ze wzniesionym ku niemu wzrokiem, z którego biły promienie cichéj, jakby nieśmiałéj radości. Z trochę jeszcze dygocącym, ale coraz wzmagającym się i czystszym głosem opowiadającego starca, złączył się gruby szept jego wnuczki. Zdawać się mogło, że szeptem mówiła dla tego, że trudno jéj

było wydobyć głosu ze wzburzonéj piersi, lub téż że sama lękała się tego, co mówiła.

— Aaaa! — nie spuszczając wzroku z Justyny zadziwiła się,— czy to teraz taka moda przyszła, żeby rozpuszczone włosy nosić?... Aaaa! rychło może i taka nadejdzie, żeby panny i gołe, albo w jednych koszulach chodziły!

Justyna, w opowiadanie starca wsłuchana, może złośliwych słów dziéwczyny na słyszała, a może téż udawała, że ich nie słyszy... Jan na mówiącą gniéwne spojrzenie rzucił, ale przygryzłszy wargi i ramiona u piersi krzyżując, milcząc plecami ku niéj się zwrócił.

Starzec prawił daléj:

— Tak my, w zaciszku naszym siedząc, wędrownika z dalekich stron po drogach wypatrywali, aż zima naszła, taka okrutna, jakiéj nigdy za ludzkiéj pamięci nie bywało. Ludzi ledwie kiedy z chaty wychodzących zamrozie po rękach i nogach opadały, a podczas z wielkiego chłodu prawie tchu odwieść nie było można. Śnieg téż często sypiąc, płoty zasypywał i góry, albo zdaje się kościoły na polu wystawiał. Jednego razu, samym rankiem, zawołał nas ociec, żeby my czegoś za nim szli w pole... już i nie pamiętam czego... Przez całą noc zawierucha była taka, że o dwa kroki domu albo drzewabyś nie rozpoznał. Śniegu moc nasypało. Idziem my w kożuchach przez ogród, w śniegu brnąc, aż na końcu ogrodu

ukazuje się nam cościś czarnego, stojącego... nito goły pień znagła wyrosły tam, gdzie go wprzódy nie było, nito *drzewniana* figura, do płotu plecami przyparta.— „A co tam takiego stoi?“— mówi ociec.—„Nie wiémy,“—odpowiadamy.—A matka, za nami idąca, nie wiadomo na co, ot tak, przez to chyba, że już ją ciągiem niespokojność jakaścić w pole i na drogi parła, powiada: — „Może to, nie daj Boże, człowiek zmarzły!“

Wszyscy my poszli prędzéj, tak, że matka, nie zdążywszy iść razem z nami, w tyle ostała. Przyszliśmy w to miejsce, pojrzeli, i tylko co ze strachu na ziemię nie popadali.—„Toż to człowiek!“— krzyknął do nas ociec. — A ja choć najmłodszy, ale najśmielszy, przyskoczyłem i z blizkości na tego człowieka popatrzywszy, takoż krzyknąłem: — „Oficer, tatku, oficer!“— Mundur na sobie ten zmarzły człowiek miał cały w dziurach, a czy obuty był, tego i widziéć nie można było, bo śniegu nasypało się jemu aż po kolana, i od kolan dopiéro wyrastał on z tego śniegu, zupełnie jak *drzewniany,* plecami do płotu przyparty, żółty na twarzy gdyby wosk, i tylko długie jasne wąsy na brodę mu spadały, a oczy były jak w głowę wstawione szyby. Jednę rękę miał opuszczoną, drugą bułkę w ściśniętéj garści przy gębie trzymał. Od razu już my domyślili się, że *uchrony* od zamieci i chłodu szukając, po polu wędrował, nigdzie nie trafił, bułkę, co ją pewnie w kieszeni

miał, z głodu gryźć począł, i tak go śmierć od mrozu pod samym płotem naszéj chaty uchwyciła. Stoim my, patrzym, dziwujem się, ociec żegnać się świętym krzyżem począł,—aż tu i matka nadchodzi. W śniegu brnęła, ale szła, cościś ją do tego miejsca parło... Przyszła, spojrzała, rękoma klasnęła i okropnym głosem wykrzyknąwszy: „Jezus, Marya! toż to Franuś!“ — na śniég padła... Podtenczas i my wszyscy rozpoznali, kim ten zmarzły oficer był...

Prawie jednocześnie, gdy stary słów tych domawiał, na uboczu nieco stojąca dziéwczyna głośniéj już niż wprzódy i z większém rozjątrzeniem zaszeptała:

— Wielka rzecz! Każdy, żeby tak włosy swoje rozpuścił, pokazałby, że ich nie mało ma... ale nam, prostym dziéwczętom, wstydno byłoby tak chodzić!... Oj! oj! włosów dużo, aby rozumu tyle!

Jan teraz prędko do niéj przystąpił.

— Niech panna Jadwiga żadnych przytyków nikomu w chacie naszéj nie robi, ja panny Jadwigi pięknie o to proszę, — cicho, ale z czołem poprzeczną zmarszczką przerzniętém, zaszeptał.

— To i co, że pan Jan mnie prosi? — z iskrzącemi się oczyma odszepnęła. — Może kiedyściś prośba pana Jana i miała dla mnie walor jaki... ale teraz to już widzę, że trzeba mnie zawczasu na ubocz schodzić, aby broń Boże, pan Jan,

z wielkiemi paniami przestawając, mnie za swoję poddankę nie poczytał...

Posrébrzane, pozłacane i paciórkowe bransolety, dzwoniły u jéj czerwonych rąk, które gwałtownemi ruchami splatała i rozplatała; we wzburzonym jéj głosie zadrżały i na kasztanowatych rzęsach zawisły łzy.

— Dla jakiéj przyczyny panna Jadwiga tak złości się i alteruje? A czy panna Jadwiga wié, że złość piękności szkodzi?— z trochą szyderstwa sprzeciwiał się Jan.

Stary Jakób, z wyrazem grozy na podniesioném czole, ze wzniesionym w górę żółtym jak wosk palcem, mówił jeszcze:

— Takim to on sposobem do swego rodzinnego zaciszka powrócił, i jak wartownik nieporuszony u wrót rodzicielskich stanął... Tak już jego w drzewnianą figurę przemienionego, my wszyscy z ojcem na rękach swoich do chaty wnieśli, a matka na tapczanie przy nim położywszy się, jak wilczyca wyła...

Do rozgniéwanéj wilczycy podobną była dziewczyna, która w téj chwili starca ramieniem objęła, i usiłując ku drzwiom go zwrócić, mówiła:

— Chodźmy ztąd, dziaduniu, no! chodźmy! Dość my już tu pobyli i miłych słów nasłuchali się... Tutaj nasza kompania nie potrzebna... Na co nam leźć w oczy gardzicielom, co wcale inszéj

przyjaźni i sławy żądają? Znajomych nam, chwała Bogu, nie zabraknie...

Policzki jéj i nawet czoło zachodziły sinym prawie rumieńcem; z oczu sypały się iskry. Dziadka, który w chwilach przytomności był jéj posłuszny jak dziecko, ku drzwiom uprowadzała i jeszcze mówiła:

— Jedno wschodzi, drugie zachodzi! Nas już tu nie potrzebują. Tu już dobre przy lepszém staniało. To i chwała Bogu! Owszem! Aby tylko wszyscy na tym handlu dobrze wyszli, bo wiadoma rzecz, że kto wiele ściga, mało dogoni. Dobranoc państwu! Zdrowia i dobrego weselenia się życzymy!

I gniéw nieposkromiony, i ambitna obraza, i łkania z całéj siły tłumione odzywały się w jéj głosie. Dziadka do sieni wysunęła, flakowaty i zabłocony ogon sukni dla łatwiejszego przejścia przez próg w garść zebrała, i z głośnym stukiem drzwi za sobą i dziadkiem zamknęła.

Po wyjściu tych dwojga ludzi, pozostali przez parę minut nic nie mówili. Jan piérwszy śmiéchem parsknął.

— Ot, językzna! — zawołał. — Ależ zła! Ja i nie spodziéwał się nawet, żeby aż taka była! Może komu taka szparkość i języczność upodoba się, ale już mnie to — bynajmniéj!

Anzelm nie zapytywał o nic, i żadnéj uwagi synowcowi nie uczynił. Widać było jednak, że

żmarkotniał, nad czémś zastanawiał się i czegoś żałował. Ale Jan, po wybuchnięciu śmiéchem trochę zmieszany, do ciemnéj bokówki wyszedł, a wkrótce raźnie już do świetlicy wracając, zawołał:

— Może panna Justyna chce zblizka popatrzéć, jaka zaraz na Niemnie śliczna iluminacya będzie?

— Jacicę łapią? — zapytał Anzelm.

— A jakże! tylko co z ogniami wypływać zaczęli...

— Już mnie i do domu pora! — wstając rzekła Justyna.

— Ja panią odprowadzę, bo na dworze zupełnie ciemno...

— Pójdę z państwem i ja, — powoli wymówił Anzelm; powoli z zydla wstał i Antolce, która z dzbankiem pełnym mléka do świetlicy weszła, powiedział, aby mu czapkę z bokówki przyniosła.

— Stryjka spacer po nocy sfatyguje,— zauważył Jan.

— Nie bój się. Choć i po nocy, kiedy zechcę jeszcze prędzéj od ciebie iść potrafię, — zażartował Auzelm.

W świetlicy zrobiło się trochę ruchu. Za Antolką wszedł Michał w kanarkowém ubraniu, uświetnionéni jeszcze z powodu niedzieli szafirowym, w kształcie motyla zawiązanym, krawatem. Nie dokazywał jak wczoraj, ale owszem, z powa-

gą ukłonił się, i wszystkim: „Dobry wieczór, państwu!“ powiedziawszy, z jedną ręką u zaostrzonego wąsika, a drugą na kłębie złożoną, w kącie izby stanął i ciekawie na Justynę patrzył.

Antolka z dzbanka do flaszki ciepłe jeszcze mléko naléwała.

— Może Justynka świéżego mléka wypije? proszę, bardzo proszę! — zapraszała.

Anzelm wielką baranią czapkę na głowę kładnąc, powolnym szeptem do synowca mówił:

— Czy sfatyguję się, czy nie, a żeby panna z twojéj przyczyny na języki padła, nie przystanę. Już niedobrze, że na Mogiłę popłynąć nie mogłem, a nocne spacery we dwoje odbywać i jéj za dobroć złością płacić, nijak nie wypada...

Jan objął go nagle, okręcił się z nim w kółko, i z głośnym śmiéchem w oba policzki go pocałował.

— Każdy młody głupi! — otulając się kapotą i trochę na synowca rozgniéwany, sarknął Anzelm.

Wieczór był ciemny, bo strzępiaste, wieloramienne, do rozwiéwających się dymów podobne obłoki, tu i owdzie zasłaniały niebo i gwiazdy.

— Jeżeli pani chce dobrze widziéć, to trzeba aż pod topolę zejść, — ozwał się Jan.

Justyna prędko zbiegła; Jan stryjowi zstępować z góry pomagał.

Z pod topoli widać było długi szlak Niemna, z jednéj strony, naprzeciw Korczyńskiego dworu, za wysoki brzeg skręcający, z drugiéj niknący w przestrzeni za dalekiemi piaskami. Justyna czwarty już raz dnia tego widziała Niemen w coraz to innéj postaci. Naprzód ciężkiemi chmurami był podszyty, a z powiérzchnią wybuchającą promienistemi ognikami świateł i skrzydłami jaskółek muskaną; potém wzburzony, ponury, wzdęte fale i białe piany toczący, z wlokącemi się w dészczowéj zawiei żółtemi *płyty* i chyżo mknącém stadem czarnych czółen; potém jeszcze, po burzy, najczystszym błękitem i złotem płynący, w złote dymy ubrany, z poważnym nad sobą chórem śnieżnych wron morskich i płochliwą gromadą atłasowych rybitew; teraz, pozornie nieruchomy stał się on w dole wstęgą, na dwa podłużne pasma przeciętą: głęboko czarne pod długim cieniem boru, a z drugiéj strony ciemno-stalowe. W tym pasie roztopionéj stali nie błyskały odbicia gwiazd, dymnemi strzępiastemi obłokami przysłaniane, ale natomiast ślizgały się po nim blade połyski i wypływać nań poczęły czerwone, jaskrawe, zdaleka kształt okrągły mające ognie. Z pod stóp wysokiéj góry wysuwały się one na różnych punktach, aż zrzadka uszykowanym szeregiem rzékę usiały. Gdy płynąć zaczęły, rozpoznać było można, że były to płomienie, rozniecone na drobnych czółnach i przez siedzących

przy nich ludzi wciąż podsycane. Sunęło się ich ze dwadzieścia. W głębokim dole, po nieruchoméj z pozoru rzéce, płynęły bardzo powoli, powoli téż ich odbicia kołysały się w ciemnéj toni, a w blasku ich zaczerwienione profile ludzkich postaci i twarzy, z wypukłością rzeźby i zarazem widmową tajemniczością, odrzynały się od ciemnego tła nocy i przestrzeni.

Lecz najdziwniejszém i prawie fantastycznie wyglądającém zjawiskiem była jakaś mgła gęsta, która niepojętém mnóztwem drobnych, jakby śniégowych płotków, osypywała czółna i siedzących w nich ludzi, często blask ogniów białą niby parą przyćmiéwając. W powietrzu jéj nie było, nie było téż na przestrzeniach rozdzielających czółna; nie wiedzieć zkąd się brała. Jednak wkrótce widoczném się stało, że składały ją niezliczone roje śniéżnych, malutkich motyli, które na skrzydłach jakby z krepy utkanych, wylatywały z wody. Może było ich tyle, ile ziarn piasku na dnie Niemna, w którego głębiach zrodzone, opuszczały swój żywiół rodzinny, aby z żądzą niepowściągnioną i niećcignioną chyżością wpadać w blask i upał płomieni. Podstępni rybacy, z żywemi ruchami ramion, cicho, szybko, zgarniali do worów tę skrzydlatą zamiéć, która ich głowy, odzież, czółna okrywała białością śniegu.

Cicho, bardzo powoli, bez najlżejszego odgłosu, któryby trwożliwe stworzenia wodne mógł spłoszyć i odstręczyć, nawet bez plusku wioseł, czerwone ognie i siedzące przy nich zaczerwienione profile ludzkie, płynęły zdala od siebie, w ciemnéj przestrzeni, po ciemnym szlaku rzéki, aż całą jego widzialną długość zajęły. Cicho było wszędzie: pod niebem, w powietrzu, na ziemi i na wodzie; tylko w górze, gdzieś nad drzewami, wysoko wzbite i w ciemności niewidzialne, brzęczały roje nadniemeńskich muszek. Było to brzęczenie monotonne, nieustanne, metaliczne; zdawać się mogło, że wydawała je z siebie struna, rozciągnięta i drżąca pomiędzy usianą płomienistemi punktami ciemną wstęgą rzéki, a niebem, pod którém wisiały obłoki, do rozwiéwających się dymów, lub do podartéj krepy podobne.

Troje ludzi u połowy góry pod topolą stojących, w jedném z czółen poznało Witolda. Piérwszy spostrzegł go Jan.

— Ot i pan Witold, z Kazinkiem, Walentego synem, płynie! — zawołał.

Nie z Julkiem tym razem, ale z innym jakimś rybakiem Witold płynął istotnie, cały śniéżną mgłą jacicy osypany, w milczeniu i pilnie, tę samę robotę co i towarzysz jego spełniając. Delikatny profil jego wyraziście zarysowywał się na tle ognia, naprzeciw grubszéj, lecz także młodéj i kształtnéj twarzy towarzysza.

— Syn pana Korczyńskiego tutaj i siestrzenica jego z nami—zcicha rzekł Anzelm.—Nowina... no...wi...na!... Już i nie spodziéwałem się nowin takich o...o...glądać! — cicho i mocno jąkając się, dodał....

Niewiele przed północą, Justyna bocznemi drzwiami weszła do Korczyńskiego domu, i zaraz w garderobie, w któréj się znalazła, usłyszała bardzo wyraźnie z sypialni pani Emilii dochodzące głośne czytanie Teresy. Przez dwoje drzwi nawpół otwartych widać nawet było część pokoju w błękitne sprzęty ubranego i oblanego błękitném światłem, w którém rozlegał się zbyt pieszczotliwy, ale przyjemnie brzmiący i biegle po francuzku czytający głos kobiécy.

— „Znalazłszy się przed królem, zrobiłam dyg aż do ziemi głęboki, i długo nie śmiałam spojrzéć na uwielbione oblicze wielkiego Ludwika! Kiedy nakoniec wzrok podniosłam, zobaczyłam przed sobą wszystkie wielkości i chwały Francyi, otaczające monarchę, tak jak gwiazdy otaczają słońce. Był tam wielki Kondeusz, książę de Luynes, książę Montmorency, książę Saint-Simon, książęta Broglie'owie, hrabia de la Rochefoucauld, margrabia Crequy i inni, a wszyscy oczy mieli utkwione we mnie, i we wszystkich tych oczach wyraźnie wyczytałam podziw i uwielbienie, któremi ich piękność moja przejmowała. To potwierdzenie świadectwa, które tyle już razy wydawa-

ło mi moje zwierciadło, ośmieliło mię do ogarnięcia spojrzeniem twarzy królewskiéj. Jakiż był mój zachwyt, gdy i jéj także uśmiéch, uśmiéch króla-słońca, powiedział mi, że na niebie jego dworu wkrótce zaświécę gwiazdą piérwszéj wielkości! Doświadczałam uczuć bozkich; myślałam, że wstępuję do raju wielkości, blasku, elegancyi i rozkoszy...“

— Moja Tereniu, — przerwał czytanie drugi głos kobiécy, słaby i łagodny,— czy możesz sobie wyobrazić podobnie piękną, podobnie promienną egzystencyą?

— Ach! takiego życia nawet wyobrazić sobie nie podobna! — westchnęła Teresa.

— Być gwiazdą piérwszéj wielkości na dworze wielkiego króla... bawić się, jaśniéć...

— Być kochaną! — przerwała Teresa.

— O, tak! i przez kogoż? przez takiego margrabiego de Crequy!... Jakaż musiała być miłość tych wykwintnych, pięknych, poetycznych ludzi!

— Ach! takiego szczęścia wyobrazić sobie nawet niepodobna!

— W takich warunkach, ja także byłabym zdrową, wesołą, zadowoloną, mogłabym tańczyć, nietylko chodzić, pełną piersią oddychać, słowem żyć! Prawda, Tereniu?

— O!

— Jakże nierówno pomiędzy ludźmi rozdzielone jest szczęście! — raz jeszcze westchnęła pani Emilia, i zapewne łza spłynąć musiała po jéj chudym i białym jak lilia policzku, bo słyszéć się dały perswazye Teresy:

— Niech tylko najdroższa pani nie denerwuje się, nie płacze, bo znowu atak być może... Moja najmilsza pani, proszę zapanować nad sobą i nerwy oszczędzać... może już kula dusi?...

Tego więc wieczora pani Emilia i jego towarzyszka, zamiast po rozłogach kuli ziemskiéj, podróżowały po przestrzeni czasu, zatapiając się w czytaniu pamiętników jednéj ze sławnych w wieku XVI-ym wielkich dam francuzkiego dworu.

Justyna weszła do ciemnéj sali jadalnéj, w któréj głębi, przez drzwi széroko otwarte, widać było gabinet pana domu, obficie oświécony dużą lampą na biurku stojącą. Przy biurku siedział Benedykt Korczyński i w rozwartéj przed sobą księdze rachunkowéj kréślił długie kolumny cyfr i notatek. W świetle lampy, wysoka i gruba jego postać, z długiemi wąsami, ciemną twarzą i gęstemi, rozrzuconemi włosami, uwypuklała się ciężko i ponuro. Było coś smutnego i bardzo poważnego w tym człowieku, pracującym samotnie o północy, w głębi wielkiego starego domu. Wydawał się tak w pracy pogrążonym, że żadna myśl jéj obca, żadna troska, nie mająca związku

z wychodzącemi mu z pod pióra notatkami i cyframi, dosięgnąćby go nie mogły. Jednak usłyszawszy w sąsiedniéj ciemnéj sali odgłos stąpania, żywym ruchem głowę z nad księgi rachunkowéj podniósł.

— Witold? — głośno zawołał.

Justyna w progu oświetlonego gabinetu stanęła.

— A! to ty! — wymówił takim tonem, jakby tylko co był się ucieszył, a teraz uczucia zawodu doświadczył.

Powiódł ręką po drgających od zmęczenia powiekach.

— Nie wiész czasem gdzie... Witold?

Powiedziała, że tylko co widziała go pływającego po Niemnie z rybakami, którzy jacicę łowią.

— A! — rzekł krótko, i znów się pochylił nad księgą rachunkową.

Justyna zbliżyła się ku niemu.

— Dobranoc wuju, — rzekła z cicha i dłużéj, serdeczniéj niż zwykle rękę jego ucałowała.

Po głowie jéj kręciły się słowa: „Nie krzyknął, nie zapłakał, tylko przed oknem stanął, i w nocne ciemności patrząc, takim głosem, jaki u konających bywa, kilkakrotnie imienia bozkiego wezwał.“ Całując go w rękę, w twarz mu patrzyła. Boże! ileż zmarszczek, ileż zmarszczek tę twarz okrywało! Tworzyły one grube fałdy i cienkie promienie na czole, na policzkach, do-

koła wypukłych oczu z piwną, posępną źrenicą. Która z tych zmarszczek była mogiłą obu jego braci? w których pogrzebane leżą ideały i zapały jego młodości? które wyrył czas, przez dwadzieścia kilka lat długo, ciężko, ołowianemi kroplami na głowę mu ściekający?

— Dobranoc, dobranoc!—z roztargnieniem odpowiedział, i szorstkiemi wąsami czoła jéj dotknął.—O nic jéj nie zapytał. Nigdy domowych nie zapytywał o nic, co się do nich samych ściągało. Wiecznie zajęty, zafrasowany, zamyślony,—na wszystko, co z gospodarstwem i interesami związku nie miało, zdawał się być obojętnym, a zapewne takim téż był istotnie. Jednak, gdy odeszła, znów podniósł głowę, odrzucił pióro i długi wąs gwałtownym ruchem w dół pociągnął. Coś w nim wrzało żalem, gniéwem, niepokojem.

— Z rybakami po Niemnie pływa... błazen! — gniewnie i prawie głośno sarknął. — Nigdy go w domu niéma... nigdy przy mnie... nigdy tak jak dawniéj... zły chłopak... bez serca... egoista!

Koniec wąsa do ust włożył, szklanym wzrokiem zapatrzył się w przestrzeń, i ze zdumieniem, cicho, kilka razy wymówił:

— Co mu się stało? co mu... co mu?... co mu się stało?

Wszedłszy na schody, do górnéj części domu prowadzące, Justyna uchyliła pocichu drzwi pokoju swego ojca. Rozlegające się w ciemności

przeciągłe głośne chrapanie, oznajmiało o głębokiem i spokojném uśpieniu Orzelskiego. Otworzyła naprzeciw znajdujące się drzwi, i znalazła się w pokoju swoim i Marty, oświetlonym lampką palącą się na stole.

— Aha! jesteś! przecież wróciłaś! O północy panienka ze spacerów wraca. Winszuję, ale nie zazdroszczę! Mnie lepiéj w łóżku leżéć. Starość i młodość! Wieczna historya!

Słowami temi powitał ją gruby i trochę ochrypły głos, z kąta dość obszérnego pokoju wychodzący. W kącie pokoju stało łóżko, na którém, watową kołdrą owinięta i w całéj długości swéj wyciągnięta, z twarzą ku sufitowi zwróconą, leżała Marta. W półcieniu, sztywne jej ciało podobne było do spowitéj mumii, żółta twarz majaczyła śród bieli poduszek i oczy jak czarne paciorki błyszczały.

Justyna, w milczeniu zbliżyła się do komody, nad którą wisiało przybite do ściany lusterko, i powoli suknię zdejmować i włosy splatać zaczęła.

Marta mówiła ciągle:

— Zkądże to bogi prowadzą? A miotły żadnéj z sobą nie przyniosłaś? Widziałam ja dziś, widziałam, jak stroiłaś się w muślinową sukienkę i z pół godziny włoski sobie przed lusterkiem układałaś. Byłam pewna, że spodziéwasz się wizyty bogatego konkurenta. Ot, biały kruk

znalazł się, słowo honoru! Biédną dziéwczynę, nie tak to wysoko edukowaną i nie tak to nadzwyczajnie piękną, wprost z rezydencyi u krewnych, za żonę chce wziąć i wielką panią zrobić! „No, no! myślę sobie: nic dziwnego, że sama nie wiész jak do niego przyozdobić się i ustroić!“ Aż tu wzięła, poszła i na pół dnia zginęła. Gdzie ty ginęłaś? Czy znów tam?... I poco to? Wieczne głupstwo! A żeby Różyc przyjechał, ha? Dwom bogom nie można służyć... albo książę... no, nie książę, ale w porównaniu z tobą więcéj niż książę, królewicz, — albo chłop. Po chłopskie miotły chodząc, królewicza stracić możesz, i lament będzie! i zrobisz się do cholery podobna, jak ja, albo do synogarlicy, wiecznie szyję po cukier wyciągającéj, jak Teresa! Wieczny śmiéch, słowo honoru! Cha, cha, cha, cha! Uf, nie mogę...

Zaśmiała się, zakaszlała, i zaraz znowu mówić zaczęła. Oprócz zwyczajnéj żywości i popędliwości, czuć było w jéj słowach niezwykły niepopokój. Nogami pod kołdrą czasem poruszała, i oczy jéj w półcieniu, coraz żywiéj połyskiwały.

— Cóż tam słychać?... ha? co ty tam robisz? o czém rozmawiasz? Alboż ty umiész z nimi rozmawiać? Oni tam nic o francuzkich romansach, ani o sonatach i uwerturach nie słyszeli, a przytém wyrazów takich śmiesznych używają: *smętek*, *przeddziady*, *złotny*, *siestra*... pamiętam... pamiętam! Niegdyś tak byłam do ich mówienia przy-

wykła, że i sama omylę się czasem i powiém: *przeddziad*, albo *złotny*, a potém aż palę się od wstydu. No, aż cię korci tak chcesz dowiedziéć się, czy królewicz dziś przyjeżdżał? Bądź spokojna, nie przyjeżdżał. Kirłowa tylko, zaraz po twojém wyjściu, przyjechała; Emilka przysłała po mnie, abym ją przyjęła, bo sama spodziéwała się migreny i już nawet poziéwać zaczynała... W gruncie rzeczy, nie tyle z powodu migreny Kirłowéj przyjąć nie chciała, ile dla tego, że leniła się rozmawiać. A Teresa znów mówiła, że jakąś bardzo ciekawą książkę dziś czytają. Wieczne głupstwo! Dość, że z Kirłową godzin ze dwie przesiedziałam, choć mnie aż z kanapy podnosiło, bo bułki dziś piekłam. Od piérwszego momentu o ciebie pytać się zaczęła: gdzie ty? co robisz? jak teraz wyglądasz? czy poweselałaś? Potém delikatnie naprowadziła rozmowę na Zygmusia, i po cichu mnie zapytała, czy ty już w nim aby troszkę zakochaną nie jesteś? Aż nareszcie i o kuzynku gadać zaczęła: jakie mu jeszcze majątki i bogactwa zostały, jaki on dobry, jaki nieszczęśliwy! Zapytałam się: dla czego taki nieszczęśliwy?—„Ot, mówi, żałuje, że młodość, zdrowie i tyle majątku zmarnował, a przytém...“ I cościś mnie takiego powiedziała, że nie zrozumiałam... Największe jego nieszczęście, zaczęła, i zaczérwieniwszy się, jak to ona czérwieni się zawsze, za język siebie ukąsiła. Mnie ciekawość

wzięła; dopytywać się zaczęłam: jakie to nieszczęście? Ze spuszczonemi oczyma jak truśka, mruknęła: „Morfina!“ I niczego już więcéj dopytać się u niéj nie mogłam. O tém już tylko mówiła, że pragnęłaby bardzo, aby się ożenił i w Wołowszczyznie stale osiadł, bo to jedno jeszcze mogłoby go ze wszystkich jego nieszczęść wyleczyć. Trzeba tylko, ażeby ożenił się z kobiétą dobrą, rozsądną, poważną i taką, która mu się bardzo podoba. Ta kobiéta byłaby z nim szczęśliwa, bo dobry jest, rozumny, szlachetny i tyle tylko jego winy, że będąc bogatym, za wiele sobie pozwalał. On sam to już zrozumiał i żenić się postanowił... Słyszysz, Justynko? Już postanowił, a ona zdaje się, dla tego tylko dziś tu przyjechała, aby wyrozumiéć, co ty o tém myślisz i jak postanowisz?... Na swachę wykierowała się, ale nic w tém dziwnego niéma: chce kuzynka od baletnic, bankructwa i jakiéjś tam morfiny wyratować, a on podobno dobry dla niéj i trochę jéj nawet świadczy... Widzisz, co ja tobie naopowiadałam! Może zła koleżanka ze mnie? Teraz możesz spokojnie położyć się i o panowaniu marzyć. Nie rozumiém tylko, słowo honoru, dla czego dziś w domu nie siedziałaś i na królewicza nie czekałaś? Papcio cały dzień sam grał, a nad wieczór zachciało mu się z akompaniamentem pograć... Jakiegoś nowego nokturna czy dyabła nauczył się i ciebie nauczyć chciał... Po

całym domu córeczki szukał, a córeczka jak w wodę wpadła. Gdzie ty przepadałaś? Pewno sama jedna jak mara nie włóczysz się po polach i lasach! Nim królewicza do reszty złapiesz, pasterza sobie jakiegoś wynalazłaś. No, przemówże choć słowo! Czy oniemiałaś? Ja do niéj gadam i gadam, wszystkie nowiny, które ją interesować mogą, opowiedziałam, od gadania aż ochrypłam, a ona nic powiedziéć mi nie chce... skryta, harda... nie dobra dziéwczyna... słowo honoru, nie dobra! Uf!

Łatwo odgadnąć było można, że pragnęła, aby ta, do któréj przemawiała tak długo, odpłaciła jéj wzajemném opowiedzeniem czegoś, co ją zajmowało, zaciekawiało gorąco, namiętnie. Namiętnym blaskiem gorzały teraz w półcieniu jéj czarne oczy; ręce z pod kołdry wydobyła i czyniła niemi niespokojne, prawie gwałtowne ruchy. W głosie, jakim ostatnie wyrazy wymówiła, brzmiał żal do towarzyszki.

— Skryta, harda, niedobra! — powtórzyła.

Zakaszlała, umilkła, i z oczami w sufit wlepionemi, nieruchomo znowu leżała.

Justyna, z warkoczem już splecionym i z tyłu głowy zwiniętym, w białym luźnym kaftanie, bosa, do łóżka już podeszła i przy niém uklękła. Rękę jéj dużą, kościstą w swoje ręce biorąc, blizko ku niéj schylona, cicho zapytała:

— Ciotko, dla czego ty żoną jego zostać nie chciałaś?

— A? co? — wzdrygnęła się stara panna, i całém ciężkiém ciałem ku pytającéj się zwróciła.

— Co? dla czego ja... jego żoną?... — głośnym i trochę świszczącym szeptem mówić zaczęła, — jego?... czyją? czy ty go naprawdę widujesz... znasz? Czy to on sam tobie mówił... o mnie mówił... wspominał... naprawdę wspominał?

— Wspominał, mówił ile przecierpiał, i teraz jeszcze nie stał się zupełnie takim, jak wszyscy...

— Przecierpiał! a jaż nie przecierpiałam? Nie zupełnie tak jak wszyscy?... a jaż taka? Wieczny smutek... wiecz-ny smu-tek....

Długie westchnienie széroką pierś jéj podniosło; ozwała się w niém chrypka, do jękliwego szmeru podobna.

— Dla czegoż? dla czegoż więc? dla czego? — rękę jéj coraz mocniéj w dłoniach cisnąc, z gorączkowym prawie pośpiechem zapytywała Justyna.

Rozgorzałe oczy Marty tkwiły w jéj twarzy, jakby przeszyć ją chciały i dostać się aż do mózgu, aż do najskrytszych myśli.

— Nie powiedział przyczyn? Wszystko powiedział, a przyczyn nie powiedział? Co?

— Nie powiedział.

Długo milczała; potem spokojniéj nieco niż wprzódy, od klęczącéj przy niéj dziéwczyny wzrok odwracając, mówić zaczęła:

— A ty chcesz wiedziéć? chcesz? przez ciekawość? Zawsze to rzecz ciekawa, dla czego panna kawalerowi, choćby takiemu, harbuza dała. Pewno myślisz, że o czémś ciekawém posłyszysz? Jakaś osobliwa historya... przymus... przeszkody... awantury... tragedye! Otoż mylisz się. Niczego osobliwego, romansowego, jak na teatrze odegranego nie było. Była to sobie rzecz ordynarna, prozaiczna, taka, co wszędzie rośnie, i tam nawet, gdzie jéj nie posieją. Było to wieczne głupstwo... moje własne głupstwo... widzisz jak prozaicznie...

Zaśmiała się.

— Przyczyny... — powtórzyła, — przyczyny... przyczyny!... Dwie były: raz, że królewna okrutnie bała się ludzkiego śmiéchu; powtóre, że bardzo téż zlękła się ciężkiéj pracy. Ot i wszystko. Zabraniać nie zabraniali, bo nikt téż i prawa do tego nie miał. Siérotą byłam i dwadzieścia kilka lat miałam. Ale wyśmiéwali, żartowali, kpili! Dopóki na świecie gotowało się jak w garnku i ludzie z pozapalanemi na karkach głowami chodzili, dopóty o równości mowa była; obejmowali się, ściskali, bratali, pan chłopa w karécie swojéj woził i pięknie prosił: „Kochaj ty mnie choć troszkę i nazywaj po imieniu: Wasylku! czy tam

Jurasiu, albo Anzelmku!“ Ale kiedy pożar zgasł, na zgliszczach znowu pokazały się góry i doliny, jak dawniéj, jak dawniéj... góry i doliny! „A ty, Wasylku, albo Anzelmku, nie waż się z doliny na góry wchodzić! A ty królewno, jeżeli z góry na dolinę zstąpisz, to my cię ani bić, ani prześladować nie będziemy, bo za rozumni jesteśmy na to i za delikatni, ale wyśmiejemy cię, tak wyśmiejemy, że aż kolki nas w bokach zeprą!“ Ot jak było. Nie przeszkadzali, nie prześladowali, tylko wyśmiéwali. „Ot, ślicznego konkurenta Marteczka sobie zdobyła!“ Darzeccy wyśmiéwali, ten błazen Kirło kpił, nawet pani Andrzejowa uśmiéchała się na samo wspomnienie, że jabym mogła wyjść za takiego człowieka, co własnemi rękoma orze. Ten błazen Kirło aż polegał od śmiéchu: „Co tam orze! orać to jeszcze pięknie, poetycznie; ale on sam gnój na pole wywozi i pewno od tego bardzo śmierdzi!“ I każdy, kto tylko o tym konkurencie posłyszał, aż kładł się od śmiéchu. A ja, wiész? jak w ogniu paliłam się we wstydzie. Bywało tak, że nocami płaczę z tęsknoty po nim i z wyobrażenia, jakabym z nim szczęśliwa była, jak bóbr płaczę; a w dzień, przed krewnymi i znajomymi, słowo honoru! zapiéram się jego jak Piotr Chrystusa, i... wiész? wieczna podłość! sama, sama z takiego konkurenta śmieję się, więcéj jeszcze niż oni. Czasem łzy gradem leją mi się po twarzy, a oni myślą, że to od

śmiéchu... Jeden Benedykt nie wyśmiéwał, bo mu i nie do śmiéchu wtedy było, i może nie tak prędko jak inni zapomniał o tém, że brat tego, którego tak wyśmiéwali, do jednéj mogiły położył się z jego bratem. Ale on znów z innéj beczki zaczynał. Perswadował: „Praca ciężka. Będziesz musiała sama pléć, żąć, krowy doić, gotować, prać... całą litanią wypowiadał tego wszystkiego, co ja robić będę musiała. „Nie wytrzymasz, zdrowie stracisz, zgrubiejesz, schłopiejesz!“ To mnie najwięcéj odstręczyło, jeszcze więcéj, niż drwiny i wyśmiéwania. W saméj rzeczy, jakimże to sposobem, ja miałabym pléć, żąć, krowy doić, prać?... Zamęczę się, pewno zamęczę się, nie wytrzymam, przytém i schłopieję! Zkąd to moje królestwo pochodziło? Dyabli chyba o tém wiedzą, bo nic nie miałam, w dziurawych trzewikach czasem chodziłam; edukacyą jakąś tam dano, ale bardzo, bardzo nieosobliwą, a pracowałam w Korczynie od najmłodszych lat, zawsze, i nie na żart, bo całym domem, folwarkiem, ogrodem zarządzałam, szyjąc przytém ubranie dla siebie i dla innych, dla siebie to tylko, które w prezentach od krewnych dostawałam. Ale z obywatelskiéj familii pochodziłam, krewni moi majątki mieli... Więc tedy i królewna... Naprawdę, takiéj pracy, jakąbym tam miała, przelękłam się... Co tam! zapomnę, odtęsknię się, odżałuję! A Darzecka trzepała: „Zdarzy ci się

pewno ktoś inny, stosowniejszy, ja ci sama wyswatam!“ — Nie zdarzył się, nie wyswatała, bo prędko zaczęła własne córki swatać, a czy ja odżałowałam i zapomniałam, o tém już tylko mnie i Panu Bogu wiadomo. Dość, że za chłopa nie wyszłam, nie żęłam, nie plełam i krów nie doiłam... bo co się tycze gotowania i prania, to zdarzało się, zdarzało się... Korczyn z wielkiego zrobił się małém królestwem, i wypadało w nim nieraz ręce przy robocie namozolić... Ale nie żęłam i nie pełłam... a to wiele znaczy... dla tego wyrzec się wiele warto... już to za wszystko wynagradza: i za kochanie, i za dach własny, i za te dzieciaki, któreby może pieszczotami życie słodziły, i za to, że człowiek nim postarzał, do cholery podobnym się zrobił, — za wszystko wynagradza... Za wszystko nagrodę sobie znajduję w tém, że nie żęłam, nie pełłam i nie schłopiłam się... To téż kontenta jestem, bardzo kontenta, i całe życie w wielkiém ukontentowaniu przebyłam... A przytém sława i honor mnie należy za to, że ot, wyratowałam się od wstydu i od poniżenia... sława i honor mnie należy... wieczny honor... wieczny honor!

— Ciotko! ciotko! biédna, biédna ciotko! — rękę rozgorączkowanéj i coraz śpieszniéj oddychającéj kobiéty w dłoniach swych tuląc, szeptała Justyna.

Ale ona, zwracając ku niéj żółtą twarz, na któréj policzki wybiły się dwie ogniste plamy rumieńców, prędkim, świszczącym szeptem pytać zaczęła:

— Cóż tam z nim? jak on wygląda? czy zupełnie wyzdrowiał? Podobno z synowcem w zgodzie żyje?

Długo obie z twarzami ku sobie przybliżonemi, szeptem z sobą rozmawiały.

— Dom nowy zbudował? Jakże tam we środku? Świetlica duża? czysto? porządnie?

A gdy Justyna na wszystkie pytania odpowiedziała, zapytywała znowu:

— Wspomina? jak wspomina?

Czasem zamyślały się obie i chwilę milczały. Potém, słychać było znowu szept pytający:

— Wspomina? czy często wspomina?

Przyjaźnie, łagodnie, z cicha, klęcząca przy łóżku, kwitnąca młodością i siłą kobiéta opowiadała drugiéj, — téj poranionéj, zestarzałéj, gorzkiéj i gniéwliwéj,—jak i kiedy o niéj mówił, opowiadał, wspominał.

Po wklęsłych, zwiędłych ustach Marty przewijać się zaczął uśmiéch, uspakajały się wzburzone jéj rysy, powieki opadały na ukojone, przygasłe źrenice.

— Wspomina! — szepnęła raz jeszcze i uciszyła się zupełnie.

Nie usnęła, ale cicho i nieruchomie leżała, tylko w jéj piersi, wzruszeniem i długiém mówieniem wzmożona, grała, jęczała, szemrała chrypka.

Justyna wstała, chwilę jeszcze na nieruchomie leżącą kobiétę patrzyła, aż pochyliła się i długo, cicho pocałowała ją w usta. Potém odeszła, lampę zagasiła i u zamkniętego okna usiadłszy, patrzyła na błękitnawe świtanie, wśród którego drzewa, niby zaczarowane straże, stały w nieruchomości kamiennéj, białe obłoki krepowym welonem zasłaniały niebo, a na Niemnie blado-srébrnym gdzieniegdzie pluskały ryby, w wielkie koła rozbijając zwierciadlaną powierzchnię wody, lub wyrzucając nad nię krótkotrwałe, nizkie fontanny.

Wkrótce, z nad boru, we wschodniéj stronie nieba, wychylił się różowy rąbek jutrzenki, po gałęziach drzew przebiegły szeleszczące dreszcze, ciszę zmąciło przeciągłe, donośne pianie koguta, które rozległo się blizko domu, potém powtórzyło się daléj i znowu daléj, coraz daléj, a zarazem słabiéj. Jak czujni wartownicy, na rozległéj przestrzeni rozstawieni i kolejno sobie hasło podający, tak ptaki te, wśród powszechnego uśpienia, powtarzały jeden za drugim, wschód dnia zwiastujące, tryumfalne krzyki.

Justyna, w coraz rozszérzającą się i gorętszą wstęgę jutrzenki wpatrzona, uchem łowiła kogucie pianie, które teraz słabym odgłosem docho-

dziło z „okolicy," z najbliższych zrazu jéj domów, potém z dalszych, nakoniec, zaledwie doslyszalne, z bardzo daleka, może aż z nad parowu Jana i Cecylii. Zamknęła oczy i głowę złożyła na wspartém o okno ramieniu. Marzyła, czy śniła? Widziała przed sobą wyraźnie, żywo, prawie jaskrawo, zagrodę blaskiem jutrzenki zaróżowioną, operloną poranną rosą i stąpającego po nizkiéj trawie dziedzińca młodego, pięknego chłopca. Do stajni poszedł, wrota jéj otworzył, wóz drabiniasty wyciągać z niéj zaczął. Młodziutka, bosa dziéwczynka, z wiadrami na ramionach, pod szeregiem starych lip przebiegała, ku rzéce dążąc; stary człowiek w grubéj kapocie, z promienistym snopem zmarszczek na wysokiém czole, otwiérał okno z przeciwka i blade źrenice ku porannemu niebu podnosił. Lecz któż to jeszcze wyszedł na ganek domu i stoi pod jego gzémsem, w grube floresy wyrzeźbionym? To ona sama... ona... w krótkiéj kraciastéj spódnicy, z kosą spuszczoną na luźny kaftan, z twarzą szczęśliwą, jak szczęście tego pięknego chłopca, który ku niéj oczy zwrócił, z sierpem w ręku...

Marzyła czy śniła? Wydało jéj się znowu, że zmrok panował na świecie, przezroczysty, ale bez dnia i słońca, a ona górą płynęła i széroki widnokrąg obejmowała wzrokiem, tak széroki, że widziała wyraźnie dwór korczyński, i okolicę, i w gęstéj zieleni ukryty grobowiec legendowéj pa-

ry, a u drugiego krańca widnokręgu, smutną pustynię piasków, za nią zaś, w zamkniętém kole wzgórzystości leśnych, samotną, wielką mogiłę. Wszystko to pogrążone było w przezroczystym zmroku; a ona, płynąc górą, trzymała w ręku lampę... lampę tę samą, która wczorajszego wieczora na olchowéj komodzie Anzelma płonęła. Widać ztamtąd ją wzięła i teraz podnosiła wysoko, a promienie jéj skąpe wprawdzie, wązkie, padały jednak na dachy domowstw, złote nici rzucały na spajacą zagrody sieć płotów i ścieżek, dostawały się z jednéj strony aż na prastary grobowiec, z drugiéj na opuszczoną mogiłę, wszystkie te punkta oświetlając i niby je wiążąc, łącząc, jak ogniwa jednego łańcucha.

Marzyła czy śniła? Na włosach, na twarzy, na ustach uczuła ciepłe, długie pocałunki. Były to promienie słońca, które wytryskując z za różowego pasa jutrzenki, rozdarły białą krepę obłoków i końce strzał swoich spuściły na drzewa, na trawę, na wodę, na rozszczébiotane nagle ptaki— i na nię. Lecz sen czy marzenie niosły jéj te pocałunki nie od gwiazdy dnia, ale od kogoś innego, innego... bo twarz jéj spłonęła rumieńcem i uśmiéch upojenia roztworzył ponsowe usta.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.